



UUK

TERRY BROOKS

KAPITAN HAK

Powieść oparta na scenariuszu, którego autorami są:

JIM V. HART i MALIA SCOTCH MARMO



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Od autora	3
Wszystkie dzieci, prócz jednego, dorastają	4
Mecz	11
W drodze do Anglii	18
Babcia Wendy	22
W dzieciennym pokoju	27
Przeszłość powraca	35
Opowieść Wendy	39
Dzwoneczek	47
Powrót do Nibylandii	54
Piraci!	60
Kapitan Hak	65
Zagubieni Chłopcy	76
Zemsta	86
Dlaczego rodzice nie cierpią swoich dzieci	92
Szczęśliwe myśli	98
Hurra, Piotr!	104
Cudowne chwile.	110
Muzeum Tik-Tak	117
Podkręcona piłka	122
Witaj w domu, Piotrusiu Panie!	128
Czarodziejski pyłek	135
Złe maniery!	141
Krokodyl	151
Ogromnie wielka przygoda	158

Od autora

To jest opowieść o Piotrusiu Panie. Ale nie ta, którą zna każdy, napisana przez J. M. Barriego, czytana przez mądre dzieci i ciekawskich dorosłych od ponad osiemdziesięciu lat. To nie jest nawet jedna z mniej znanych opowieści o Panie. Jest na to zbyt nowa, bo pojawiła się całkiem niedawno, a zatem od czasów J. M. Barriego dzieli ją wiele lat. To jest jej pierwsza oficjalna prezentacja.

Nie jest to też opowieść wyłącznie o Piotrusiu Panie — podobnie zresztą jak te, które już znamy. Mówi się tu także o wielu innych rzeczach, choć Piotruś na pewno nie zgodziłby się z tym, że są jakieś bajki warte opowiadania, które nie dotyczą w pierwszym rzędzie jego. Tytuł wskazuje na przykład wyraźnie, że ta książka jest nie tylko o Piotrusiu, lecz również o kimś innym. W każdej porządnej opowieści o Piotrusiu trzeba poświęcić wiele miejsca dla Jakuba Haka, ponieważ obok pozytywnego bohatera zawsze musi pojawiać się jakiś złoczyńca. Czytelnicy mogą również słusznie zauważyć, że Piotruś Pan został już raz wykorzystany jako tytuł i nie powinno się go używać po raz drugi tylko po to, aby zadowolić purystów.

Historia ta zaczyna się wiele lat po zakończeniu pierwszej, długo po tym jak Wendy, Janek i Michał wrócili ze swojej pierwszej wyprawy do Nibylandii. Nie przedstawia Piotrusia jako chłopca, ponieważ wszystkie baśnie tego rodzaju zostały już dawno opowiedziane. Mówi o tym, co wydarzyło się wówczas, gdy stała się rzecz nie do pomyślenia, to znaczy, kiedy Piotruś dorósł.

Przekazuję wam tę historię tak, jak sam ją usłyszałem, starając się najlepiej jak potrafię zachować wiernie wszystkie szczegóły. Czasami coś upiększam i dodaję swoje uwagi tam, gdzie nie potrafiłem zamilczeć. Obawiam się, że wszyscy pisarze popełniają ten grzech.

Proszę o wybaczenie J. M. Barriego za wykorzystanie jego pomysłu, a także wszystkich innych, którzy zrobili to z takim powodzeniem przede mną.

Jest to opowieść o dzieciach i dorosłych oraz o tym, jak niebezpieczna może być dorosłość.

Wszystko zaczyna się podczas szkolnego przedstawienia.

Wszystkie dzieci, prócz jednego, dorastają

Zgasły światła, wokół zaczęło się rozlegać „Pssst!” i gwar rozmów szybko ucichł. Wszyscy widzowie, młodszy i starsi, wyprostowali się w fotelach i zwrócili wzrok ku scenie. Za kurtyną trwały poważne przygotowania, ale ten podniosły nastrój zmały zaraz jakieś piski i śmiechy. W końcu kurtyna z wolna odsłoniła ciemną scenę; zatłoczoną salę oświetlał jedynie zielony napis „Wyjście”, umieszczony nad głównymi drzwiami.

Moira Banning, elegancka kobieta o nienagannie ułożonych, krótkich kasztanowych włosach, obejrzała się za siebie, a w jej zielonych oczach widać było irytację. Piotra wciąż jeszcze nie było. Obok niej siedział jedenastoletni łąk Banning, wpatrzony w scenę i cierpliwie oczekujący na rozpoczęcie przedstawienia. Był drobnym chłopcem o chochlikowatym wyglądem, ciemnobrązowych włosach i oczach; uśmiechał się półgębkiem, jak gdyby w coś powątpiewał.

Na scenie zapaliło się kilka świateł, a z tyłu widowni włączono reflektor. W wąskiej smudze światła ukazała się lekturowa makieta dzwonu Big Ben z koślawo wyrysowanymi rzymskimi cyframi. Zza sceny zaskrzypiała płyta i rozległ się głęboki, donośny dźwięk dzwonu. Bim-bom, bim-bom. . .

Moira uśmiechnęła się i trąciła syna, który wiercił się w krześle. Kiedy umilkł dzwon, rozległo się tykanie. Tik-tak, tik-tak. Scena rozjaśniła się nieco, ukazując w delikatnej poświacie dziecinną sypialnię. Ci nieliczni z widzów, którzy nie znali opowieści o Piotrusiu Panie, nie wiedzieli jeszcze, ile dzieci śpi na dwóch zaścielonych łóżkach. Obok stała skrzynia z zabawkami, kilka półek i biurko.

Potem pojawił się Piotruś Pan. Nadleciał zza sceny zawieszony na stalowej linie, która migotała w świetle reflektora jak wilgotna pajęczyna. Moira raz jeszcze spojrzała za siebie przeszukując wzrokiem tyły sali. Jack nie musiał pytać, kogo ona szuka, ani też jakie są szanse, żeby jego tata był tutaj.

Na scenie tymczasem pewien drugoklasista, który zdobył sobie względy reżysera sztuki i otrzymał rolę Piotrusia, potknął się przy lądowaniu i przejechał ślizgiem jeszcze ze dwa metry. Na widowni rozległ się śmiech. Chłopiec zerwał się pospiesznie, rzucił wylęknione spojrzenie w stronę sali i podszedł do biurka.

Natychmiast podążyła za nim nerwowo smużka światła z latarki rzucona z za sceny. Jack ucieszył się, że wie, o co chodzi. To oczywiście wróżka Dzwoneczek. Piotruś przetrząsnął szuflady biurka i wyciągnął kawałek czarnej szmatki, przycięty na kształt chłopczyka. Podniósł ją wysoko, żeby nikt z widzów nie przegapił jego odkrycia. Cały czas krążyło wokół niego światełko latarki, ale kiedy zamknął szufladę, światło znikło. Jack pokiwał głową. Wróżka została uwięziona. Tak samo jak w książce.

Piotruś usiadł trzymając swój cień, przez chwilę starał się go sobie przymocować, a potem rzucił go teatralnym gestem i zaczął udawać, że szlocha.

Jack ożywił się: czas na Maggie.

Jego siostra wyskoczyła spod kołdry z rozwianymi jasnorudymi włosami i otworzyła szeroko oczy. Miała na sobie swoją ulubioną kremową koszulę nocną w fioletowe serduszka.

— Dlaczego płaczesz, chłopcze? — wrzasnęła tak, że można ją było usłyszeć w promieniu stu kilometrów.

Miała może siedem lat, ale tego wieczora nikt nie miał prawa jej nie zauważyć.

— Ja nie płaczę — odparł Piotruś.

Wendy, którą grała Maggie, zeskoczyła z łóżka i podeszła aby podnieść porzucony cień. Klęcząc udawała, że go przyszywa. Kiedy już wszystko było gotowe, wstała i zgodnie z planem cofnęła się kilka kroków.

Piotruś uklonił się jej zamaszycie, trzymając jedną rękę za plecami, a drugą zataczając koło przed sobą. Czarodziejskie przywitanie. Wendy natychmiast mu się odkloniła.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Wendy Angela Moira Darling. A ty?

— Piotruś Pan.

— Gdzie mieszkasz?

— Druga na prawo i potem prosto aż do rana. Mieszkam w Nibylandii razem z Zagubionymi Chłopcami. To dzieciaki, które wypadają z wózków, kiedy ich nianie nie patrzą. Jestem ich kapitanem.

Wendy rozpromieniła się i klasnęła w ręce.

— To wspaniale! Czy tam nie ma dziewczynek?

— Nie, nie — odparł Piotruś, potrząsając energicznie głową. — Dziewczynki są na to za mądre, żeby wypadać z wózków.

Zrobił krok do tyłu, rozstawił stopy i oparł dłonie na biodrach. Kiedy światło reflektora zatrzymało się na nim, wyciągnął do góry szyję i zapał. Jack skrzywił się. Dobra, dawajcie piratów!

Nagle smugę światła przesłonił wielki cień, zakrywając przerażonego Piotrusia Pana. Głowy widzów odwróciły się do tyłu z zaciekawieniem, a niektórzy wyraźnie się zaniepokoiли. Jakiś człowiek przeciskał się wzdłuż rzędów kuląc się teraz, żeby nie zasłaniać światła, potracając krzesła i siedzących w nich ludzi.

— Przepraszam, proszę wybaczyć, najmocniej przepraszam — szeptał pochylony, nurkując w ciemnościach i wypatrując kogoś.

Prawnik Piotr Banning potracił nogę krzesła i mało się nie wywrócił. Zawsząd rozlegały się szepty „Cicho!” i „Pst!” Jego chłopięca twarz uśmiechała się przeprasząco, niesforny kosmyk brązowych włosów opadał mu na czoło, a w kąciakach niesamowicie niebieskich oczu czaiły się zmarszczki. Do piersi przyciskał lakierowaną skórzaną teczkę i zwinięty brązowy płaszcz przeciwdeszczowy. Kiedy wydostał się ze smugi światła, zaczął przyglądać się ciemnej sali i dostrzegł Moirę, która siedziała kilka rzędów dalej i machała do niego. Przyglądził kłapy swojego granatowego garnituru, poprawił ulubiony żółty krawat, po czym przemaserował obok poirytowanych widzów, depcząc im po stopach, aż dotarł w końcu do Moiry.

Jack uśmiechnął się do niego zapraszająco klepiąc wolne krzesło obok siebie. Piotr również się uśmiechnął, po czym pokazał Jackowi ręką, by zamienił się na miejsca z Moirą. Jack spojrział na ojca wymownie, a potem przełaził po matce i rzucił się na krzesło.

— Proszę siadać tam z przodu! — syknął ktoś za nimi.

Piotr usiadł obok Moiry, położył sobie na kolanach teczkę i płaszcz i nachylił się do żony całując ją na przywitanie. Ucieszona Moira melodyjnym szeptem odpowiedziała mu „Cześć!”

— Przepraszam. Miałem spotkanie z rodzaju tych, które nie mogą się skończyć. Wiesz, jak to jest. A później był straszny korek.

Potem nachylił się z uśmiechem do Jacka.

— Jak ci poszło, Jacku? Pracujesz nad rzutem przed jutrzejszym meczem? Popraw sobie koszulę.

Jack drgnął i odwrócił się z niechęcią. Piotr spojrział pytająco na Moirę.

— Co mu jest?

Moira potrząsnęła głową, a potem pokazała na scenę.

— Twoja córka robi furorę.

Maggie jako Wendy Darling obserwowała innego małego aktora bujającego się na linie, co miało oznaczać, że lata, i klaskała rozpromieniona. Z tyłu za nią dwóch drugoklasistów odgrywających role Janka i Michała zbudziło się właśnie i przyglądało Piotrusiowi.

— Och, ty potrafisz latać! — wykrzyknęła na cały głos. — To cudowne! Jak ty to robisz?

— Wystarczy pomyśleć o czymś wspaniałym i te cudowne myśli unoszą cię w powietrzu — odpowiedział Piotruś Pan, lądując nieco zgrabniej niż poprzednim razem. — Ale najpierw muszę dmuchnąć na ciebie czarodziejskim pyłkiem skrzydlatych wróżek.

Znów pojawiła się wróżka Dzwoneczek, czyli tańczący punkcik światła. Zza sceny dobiegło delikatne dzwoniczenie, a na Wendy i chłopców opadł błyszczący

pył. Niczym latawce unoszone przez wiatr, w powietrze wzbili się kolejno Michał, Janek, i na końcu Wendy. Widzowie nie posiadali się z zachwytu.

Piotr Banning był wstrząśnięty.

— Moira! — poderwał się nerwowo na widok Maggie huśtającej się na linie, ale Moira zaraz posadziła go z powrotem.

— Ona może spaść, Moiro! — wyszeptał z przejęciem. — Jak mogą im w szkole pozwalać na takie rzeczy? To jest zbyt niebezpieczne! Już na sam widok robi mi się niedobrze!

— Och, tato! — jęknął Jack, ale jego głos utonął w burzy oklasków. Moira tylko uśmiechnęła się do męża, klepnęła go uspokajająco w ramię i też zaczęła klaskać. Jack aż gwizdnał pod wrażeniem świetnego występu Maggie, nieco zazdrosny, że jego siostra może latać.

Za sceną rozległo się brzęczenie dzwonek zmieszane z dźwiękami ksylofonu, a Piotruś Pan wyprowadził wróżkę, Janka i Michasia przez okno. Maggie, czyli Wendy, rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku rodziców, po czym podążyła za tamtymi i kurtyna opadła.

Kiedy dzieci przygotowywały scenę do następnego aktu, na widowni rozbrzmiewał szmer rozmów i śmiechów. Piotr wyprostował się w krześle, stwierdzając po pięciu minutach siedzenia, że jest zdecydowanie niewygodne. Po chwili głosy i śmiech zaczęły z wolna przycichać.

Nagle rozległ się wysoki, przeraźliwy sygnał przenośnego telefonu. Wszystkie głowy się odwróciły. Piotr pospiesznie zaczął grzebać w swoim płaszczu i z jego kieszeni wyciągnął telefon. Moira jakby skuliła się, szepcząc „Piotr, błagam cię!” Jack widząc, że wszyscy patrzą na nich, zatkał sobie uszy palcami i starał się udawać, że go tam nie ma.

— Brad, mów szybko — wyszeptał do słuchawki Piotr. — Jestem z rodziną.

Kurtyna uniosła się, odsłaniając dekorację imitującą Nibylandię, przed którą stało siedem jaskrawo pomalowanych tekturowych drzew. W każdym z drzew otworzyły się drzwi, a z nich wyjrzało siedmiu Zagubionych Chłopców, ubranych w siedem różnych starych piżam. Wzięli się za ręce, stanęli przed widownią i zaśpiewali głośno: „Nigdy nie chcemy być dorośli”.

— Ja zawsze lubiłem poważne zabawki — powiedział do siebie Piotr, starając się dosłyszeć głos w słuchawce.

Zagubieni Chłopcy skończyli śpiewać i ten, który grał Piszczalkę, zwrócił się do pozostałych i zadeklamował: „Chciałbym, żeby Piotruś już wrócił. Kiedy go nie ma, zawsze bardzo boję się piratów”.

Z prawej strony wkroczyła na scenę gromada piratów, ciągnąc za sobą tratwę. Siedział na niej krępy chłopiec, któremu powierzono rolę kapitana Jakuba Haka.

Piotr Banning skupił całą swoją uwagę na telefonie. Mówił coraz głośniej.

— Brad, przecież po to zatrudniamy ekologa! Właśnie za to mu tyle płacimy! Przypomnij mu, że już nie pracuje dla Sierra Club!

Z różnych stron dobiegło go posykiwanie widzów. Obsunął się w krzesło i skulił nad telefonem osłaniając go własnym ciałem.

Tymczasem jeden z Zagubionych Chłopców biegał po scenie jak szalony uciekając przed piratami. Pirat Śmierdziuch, w okularach i w bluzce w paski wypchanej na brzuchu, wywijał groźnie kordelasem.

— Czy mam go połaskotać Jasiem Korkociągiem, kapitanie?

Chłopiec grający Haka stał sztywno.

— Nie, ja muszę mieć ich kapitana, Piotrusia. To on odciął mi rękę i rzucił krokodylowi na pożarcie.

Jack usłyszał, jak jego ojciec szepcze do telefonu.

— Słuchaj, Brad, jutro wieczorem lecę z rodziną do Londynu. Zwołaj zebranie na popołudnie.

Jack starał się zaprotestować.

— Tato, mecz!

Piotr spojrział na niego.

— Mój syn ma jutro mecz, nie zapomnij. Muszę tam być. A zatem krótkie spotkanie. Raz dwa pošlemy ich na dno.

Wyłączył telefon i wsunął go z powrotem do kieszeni. Jack popatrzył na niego z obawą.

Tik-tak, tik-tak, dobiegało ze sceny. Śmierdziuch i Hak nastavili uszu udając przerażenie.

— Krokodyl — wykrzyknął Hak. — Kapie mu ślinka, żeby zjeść mnie do końca! Na szczęście połknął budzik, bo inaczej nie słyszałbym, jak nadchodzi.

Dzieciaki z widowni, także i Jack, zaczęły naśladować tykanie. Piotr Banning skrzywił się i zatkał sobie uszy. Krokodyl, czyli dwóch chłopców wijących się pod starym zielonym kocem, wpełził na scenę pośród okrzyków widowni, zmuszając Haka i Śmierdziucha do ucieczki.

Piotr Banning zachnął się i zaplótł ręce na brzuchu, po czym głęboko westchnął. W tej sztuce było coś denerwującego.

Akcja toczyła się dalej i Jack jakby wbrew sobie wciągał się coraz bardziej w przedstawienie; kiedy doszło do sceny, w której Hak i Pan toczą ze sobą ostateczną walkę, był już całkowicie nim pochłonięty. W czasie pojedynku odbywającego się przed makietą pirackiego okrętu drewniane ostrza stuknęły o siebie trzy razy.

— Piotrusiu Panie, kimżeś jest — zawołał przerażony Hak.

— Jestem młodością i radością. Fruwam, walczę i pieję! — odpowiedział Piotruś Pan i na potwierdzenie swych słów zapiał donośnie.

Hak został pobity w walce i wpadł w paszczę krokodyla, który czatował na niego w pobliżu. Dekoracja zmieniła się po raz ostatni, ukazując znów pokój dziecienny, w którym wszystko się zaczęło. Kiedy zapaliły się światła, chłopiec w futrze, grający Nanę, głośno zaszczekał i na scenę wkroczył pan Darling; jego

płaszcz trzymali się rozradowani Zagubieni Chłopcy oraz Janek i Michał. Za nimi podążały Wendy i pani Darling, które zatrzymały się na widok Piotrusia Pana unoszącego się przy oknie.

— Piotrusiu, ciebie też chcę adoptować — powiedziała pani Darling.

Piotruś wzdrygnął się wkładając w to cały swój kunszt aktorski.

— Czy pošlesz mnie do szkoły?

— Oczywiście.

— A potem do biura?

— Tak myślę.

— I szybko stanę się dorosłym człowiekiem?

— Tak, bardzo szybko. Piotruś Pan potrząsnął głową.

— Nie chcę iść do szkoły i uczyć się ważnych rzeczy. Nikt mnie nie złapie i nie zrobi ze mnie dorosłego. Chcę być zawsze małym chłopcem i zawsze się bawić.

Dmuchał w swój drewniany flet, linka przymocowana do jego pasa uniosła go w górę i Piotruś odleciał. Kiedy zniknął, przygasły światła i scena opustoszała. Znów rozległ się głos starej płyty z dzwoniącym Big Benem.

Piotr zamrugał oczami znużony, zastanawiając się, ile jeszcze będzie trwało to przedstawienie. Przynajmniej Maggie nie trzymają już w powietrzu. Co za idiota wymyślił coś takiego? Wygładził swój krawat i poprawił ukradkiem spinki przy mankietach. Jego garnitur był już niemiłosiernie wymięty. Marzył o przyszłości i drzemce. O ciszy i spokoju. O czym była ta sztuka...? Marszcząc brwi wpatrywał się w scenę.

Na scenie tymczasem z wolna zapalały się światła, delikatnie rozpraszając panującą ciemność i rzucając wokół dziwne cienie. Dorosła Wendy, ubrana w perkalową sukienkę, w okularach na nosie, siedziała na podłodze dzieciennego pokoju przy kominku zrobionym z kolorowych lampek i cynfolii. Obok stało łóżko, a w nim leżało śpiące dziecko. Wendy szyła coś przy świetle padającym od kominka. Nagle usłyszała dobiegające pianie i spojrzała w górę wyczekująco. Okno otworzyło się gwałtownie i Piotruś Pan skoczył na podłogę.

— Piotrusiu — powiedziała Wendy — czy myślisz, że polecę razem z tobą?

Piotruś się obruszył.

— Oczywiście. Po to przyleciałem. Czy zapomniałaś, że już czas na wiosenne porządki?

Wendy potrząsnęła smutno głową.

— Nie mogę, Piotrusiu. Zapomniałam już, jak się fruwa.

— Zaraz znowu cię nauczę.

— Och, Piotrusiu, nie marnuj na mnie czarodziejskiego pyłku.

Wstała, żeby podejść do niego.

— Co to jest? — zapytał.

— Zapalę światło i sam zobaczysz.

— Nie, nie rób tego. Nie chcę niczego widzieć.

Ale ona zapaliła światło i Piotruś Pan zobaczył: Wendy nie była już mała. Była teraz dorosłą kobietą. Piotruś wybuchnął strasznym płaczem. Podeszła do niego, żeby go pocieszyć, ale on cofnął się gwałtownie.

— Co to ma znaczyć? Co ci się stało?

— Jestem dorosła, Piotrusiu. Już od bardzo dawna.

— Ale obiecałaś mi, że tego nie zrobisz.

— Nic na to nie mogłam poradzić. Jestem mężatką, Piotrusiu.

Potrząsnął energicznie głową.

— Nie, to nieprawda!

— Prawda. A ta mała dziewczynka w łóżku to moja córeczka.

— Nie! To niemożliwe.

Podszedł szybko do śpiącego dziecka i podniósł groźnie swój mieczyk. Ale nie uderzył, tylko usiadł na podłodze łkając. Wendy przypatrywała mu się przez chwilę, a potem wybiegła z pokoju. Jej córeczka, Jane, zbudziła się na odgłos płaczu i usiadła w łóżku.

— Dlaczego płaczesz, chłopczyku?

Piotruś Pan zerwał się i złożył jej ukłon. Jane wstała i odkloniła się mu.

— Witaj — powiedział.

— Witaj.

— Nazywam się Piotruś Pan. Dziewczynka uśmiechnęła się.

— Tak, wiem.

Podeszli razem do okna, szykując się do lotu. Wendy wbiegła do pokoju z wyciągniętymi rękami. Światła przygasły, kurtyna opadła, po czym wszystkie dzieci wyszły razem na scenę i zaśpiewały: „Nie chcemy nigdy być dorosłe”. Cała widownia biła brawo, a dzieci na scenie uśmiechały się i kłaniały.

„Bomba!” — pomyślał Jack. Rozradowany i pełen emocji posłał swojemu tacie promienny uśmiech.

— Co za szczęście, że to już koniec! — westchnął Piotr Banning, zupełnie nie zauważając uśmiechu syna.

Mecz

Przez korony drzew sączyło się jasne i ciepłe światło słońca. Wzgórza porośnięte były zielonymi, grubymi świerkami, wznoszącymi się ku wysokim szczytom gór, pokrytych połyskującym śniegiem. Ze stoków spadały rzeki i strumienie, szukając między drzewami drogi do jezior i stawów. Z prawej strony wypływał ze skały wodospad. A tam, po lewej, leżała łąka pełna dzikich kwiatów w kolorach tęczy.

„Wygląda niemal jak prawdziwe” — pomyślał Piotr Banning z zadowoleniem. Odwrócił się na chwilę, aby popatrzeć przez okno swojego biura na mgłę okrywającą całunem pejzaż San Francisco, a potem podszedł znów do makiety.

— Obrońcy środowiska dadzą nam spokój, jak ich przekonamy, że nasi klienci nie zagospodarują od razu całego terenu, że przedsięwzięcie będzie realizowane stopniowo i że troszczymy się o zachowanie warunków naturalnych — zamrugał oczami. — Brad, zajmiesz się tym?

— Ron się tym zajmie — odparł Brad, wysoki mężczyzna o żółtawej cerze.

— Dobrze — zgodził się Ron.

Niski, o krągłej, opalanej twarzy, stanowił, jeśli chodzi o wygląd, dokładne przeciwieństwo Brada. Mogli jednak pracować w jednym zespole, ponieważ myśleli podobnie, a co ważniejsze, myśleli podobnie jak Piotr Banning.

Piotr rzucił im ostre spojrzenie.

— Mam nadzieję. A zatem proponuję, żebyśmy zaczęli tutaj — pokazał na łąkę. — To otwarta przestrzeń i będziemy mogli od razu pozbyć się zieloniaków, zanim zbiorą tyle sił, żeby nas zastopować.

Sięgnął ręką do pudełka, w którym znajdowały się rozmaite plastikowe modele i zaczął wciskać je w makietę. Motele, wyciągi narciarskie, sklepy i domki jednorodzinne. Mnóstwo pieniędzy do zarobienia. Szybko zapełnił łąkę, po czym zawahał się przez chwilę i wyciągnął kilkadziesiąt plastikowych drzewek. Zastąpił je ośrodek wypoczynkowy, a w środku całego kompleksu umieszczony został mały plastikowy rezerwat przyrody, czyli park z alejkami.

— W porządku — Piotr Banning wsunął ręce do kieszeni marynarki, ale zaraz zdał sobie sprawę, że gniecie się od tego materiał i wyciągnął je z powrotem.

— Kiedy już ten rejon będzie zatwierdzony i wszystko zostanie załatwione, a młodzież z Sierra Club zajmie się czymś innym, zaczniemy rozbudowywać. Co jakiś czas po kawałku, aż to pustkowie zamieni się w wymarzony ośrodek dla naszych klientów.

Spojrzał na Brada i Rona.

— To jest. . . — zaczął jeden z nich.

— . . . wspaniałe — dokończył drugi. Piotr uśmiechnął się.

— Wiem. Miejmy nadzieję, że nikt nam nie nabruździ przed załatwieniem sprawy.

Nagle utkwiał wzrok w ściennym zegarze i przestraszył się.

— Cholera! Spóźniłem się na mecz Jacka! Odwrócił się od stołu i ruszył w stronę drzwi sali konferencyjnej.

* * *

Był rześki i jasny grudniowy dzień; silny wiatr szarpał rzędami proporców, reprezentujących każdą z drużyn ligi. U góry tablicy wyników, z której zwieszały się flagi, umieszczono transparent z czerwonym napisem: TRZECI DOROCZNY TURNIEJ ZIMOWY BASEBALLA. Poniżej widniały cyfry informujące o przebiegu gry. Było pięć do dwóch dla gości.

Jack stał pochylony w środku pola, trzymając ręce wsparte na kolanach; przygotowany na następne zagranie, przeszukiwał wzrokiem trybuny. Zrobiono je ze zwykłych desek umocowanych na metalowych podpórkach, a że było ich niewiele, poszukiwania nie trwały długo. Większość miejsc była zajęta. W trzecim rzędzie Jack dostrzegł matkę i Maggie, zawzięcie kibicujące jego drużynie. Po między nimi, na pustym wciąż miejscu, leżała czerwona poduszka. „Byłoby lepiej dla niego, żeby przyszedł” — pomyślał z determinacją Jack.

W weekend spadł deszcz i trawa na boisku nabrała zielonego soczystego koloru. Jack pogrzebał w ziemi czubkiem buta, wyprostował się i obserwował kolejną zagrywkę. To Kendall. Dobre uderzenie.

Raz jeszcze spojrzał na tablicę: dwa do pięciu, a czas leciał.

Potrząsnął rękawicą i pomyślał: „Lepiej, żeby przyszedł!”

Niespodziewanie zerwał się wiatr i sychnął kurzem, powodując przerwę w meczu. Sędzia podniósł do góry rękę, aby zatrzymać akcję. Jack westchnął. Wszyscy sędziowie byli przebrani za świętych Mikołajów. Wyglądali idiotycznie.

Wiatr ucichł i gra potoczyła się dalej. Kendall posłał mu wysoką piłkę, Jack zmrużył oczy, przyjrzał się jej uważnie i schwycił ją bez trudu. Wśród kolegów z drużyny i kibiców wybuchła radosna wrzawa. Jack odrzucił piłkę i wrócił truchcikiem na swoją pozycję.

Zaryzykował szybkie spojrzenie na widownię. Maggie, mama, a między nimi poduszka. Splunął. „Lepiej, żeby przyszedł!”

* * *

Piotr Banning ruszył labiryntem korytarzy mijając kolejne pomieszczenia, biura, magazyny i drzwi, za którymi nigdy nie był, a przynajmniej nie przypominał sobie tego. Firma Posner, Nail & Banning zajmowała całe piętro budynku. Jego ekipa podążała w ślad za nim — Brad i Ron; ich młody pomocnik, Jim Paige; doktor Fields, ekolog zatrudniony jako doradca przy obecnym przedsięwzięciu; planista, którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć, i recepcjonistka, której nazwiska nigdy nie znał.

Umysł Piotra pracował gorączkowo: „Jerry, Jack, Jim”. Nie mógł sobie przypomnieć imienia Paige’a. Wysoki, wysportowany, typowy lekkoatleta z Yale.

— Steve! Weź kamerę wideo i idź na mecz przede mną. Nakręcisz to, czego nie zdążę zobaczyć.

— Czy mogę coś powiedzieć? — wtrącił się doktor Fields, ale został zignorowany.

Jim Paige dopędził Piotra wymachując jakąś kartką żółtego papieru i dyskietką.

— Pana przemówienie na cześć pańskiej babci. . .

Piotr spojrział na niego przez ramię, wciąż idąc przed siebie i skręcając za róg korytarza niczym kierowca na ostatnim okrążeniu przed metą.

— Czy to będzie na kartkach?

— Tak, proszę pana, oczywiście.

— Ponumerowanych? Kto to napisał?

— Ned Miller, proszę pana. Piotr zrobił wielkie oczy.

— To świetnie. Nie mogłem się oderwać od jego rocznego raportu. Przeczytaj mi to.

Paige odchrząknął.

— Lordzie Whitehall, szanowni goście, i tak dalej, przez ostatnie siedemdziesiąt lat Wendy, której dziś składamy hołd, była nadzieją i podporą dla setek bezdomnych dzieci, sierot ze wszystkich. . .

— Znakomite, bardzo osobiste — wtrącił Piotr.

— Czy mogę coś powiedzieć? — spróbował jeszcze raz Fields.

Recepcjonistka wysforowała się do przodu, niemal tracąc oddech.

— Szanowny panie Banning, proszę przekazać moje gratulacje pańskiej niezwyklej babci. Na pewno jest pan z niej bardzo dumny.

Piotr uśmiechnął się do niej tak, jakby wymagała terapii psychiatrycznej.

Skręcił za róg i niemal zderzył się ze swoją sekretarką, która ruszyła na jego poszukiwanie z przeciwnego kierunku. Kobieta aż sieknęła, ale zaraz oprzytomniała i wsunęła mu do rąk filiżankę z kawą.

— Amando! Moje bilety, moje bilety — łyknął całą kawę jednym haustem, oddał jej pustą filiżankę i pomaszerował dalej korytarzem.

— Szybko, szybko, szybko.

— Proszę pana, tu zaszła jakaś okropna pomyłka — powiedziała Amanda, starając się dotrzymać mu kroku. — Te miejsca są w dwóch rzędach.

— Tak jest. Rząd czternasty i piętnasty przy skrzydłach koło wyjścia. Statystycznie najbezpieczniejsze. „Ten budynek się w ogóle nie kończy” — pomyślał w duchu Piotr.

— Ron, przygotuj przed moim powrotem czterysta cztery.

— Już jest gotowe — padła odpowiedź.

— Brad, raport o podmokłych terenach.

— Gotowy — wystękał ledwie dysząc Brad.

— Raport o Sierra Club?

Brad i Ron spojrzeli po sobie.

— Już prawie gotowy — wymamrotali niemal jednocześnie.

— Gotowy? Wolne żarty. Wcale nie gotowy.

Doktor Fields wysunął się naprzód. Był drobny, zasuszony, w nieokreślonym wieku, nosił grube szkła, a siwe włosy sterczały mu we wszystkie strony. Trącił Piotra w ramię.

— Zatrudnił mnie pan jako eksperta do spraw ochrony środowiska, ale ignoruje pan moje raporty.

Piotr nie zwrócił na niego uwagi i zapytał Jima Paige’a.

— Czy masz jeszcze coś z tego przemówienia? Jego młody asystent spojrzął na kartki, starając się jednocześnie nie wpaść na Rona.

— Budowa sierocińca imienia Wendy Darling jest gwarancją, że jej dzieło nigdy nie zostanie zapomniane i że obowiązek wobec przyszłości. . .

— Pan mnie nie słucha — wtrącił zdenerwowany Fields. — Musi pan zrezygnować z terenu matecznika.

— Doktorze Fields, wyznaczaliśmy obszar na matecznik obok hotelu dla narciarzy — zapiszczał Brad.

— Osiemdziesiąt hektarów. . . — zaczął Ron.

— Wyznaczyć matecznik? Czy to ma być jakiś żart? — oburzył się Fields. — Pan nie ma prawa zagospodarować nawet kawałka ziemi bez stwierdzenia, jak to może wpłynąć na żyjące tam zwierzęta. A jeśli tam są zagrożone gatunki? Jak na przykład, jak. . .

Piotr nie przystając odwrócił się i objął kościste plecy Fielda.

— Jak co, doktorze?

— Trójpalczasta ropucha płamista, białonogi jelen, wiele ptaków. . .

Piotr klepnął ekologa łagodnie w ramię, a jego głos stał się słodki jak miód.

— Wszyscy jesteśmy już dużymi chłopcami, dlatego niech pan mi śmiało powie, doktorze Fields, ile miejsca potrzebują te zwierzęta, żeby się parzyć? Bo większości z nas wystarczy bardzo niewiele.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Fields wycofał się czerwony na twarzy.

Piotr spojrział na Paige'a.

— Steve, jeszcze tu jesteś? Leć z tą kamerą!

Przed nimi widać już było windę.

— Po schodach! Jesteś przecież sportowcem!

Paige przekazał kartki i dyskietkę Amandzie i pognął przed siebie.

„Co takiego on uprawiał w Yale? Bieg na jedną milę? Czteryście? Może skok w dal?”

Dotarli do wind ciężko sapiąc. Piotr zdał sobie nagle sprawę, jaki zrobił się ociężały. Nie gruby, na pewno nie, ale ciężki. Spojrzął po sobie w dół i nie mógł dojrzeć swoich butów. Powoli, tak żeby nikt nie widział, wciągnął brzuch. Nie-wiele to pomogło.

Brad nacisnął guzik od windy.

— Zamówiłem kwiaty dla pana babci — relacjonowała Amanda, zaginając kolejno palce — odebrałam pana rzeczy z pralni i włożyłam do samochodu, pana torba podręczna jest w bagażniku. . .

— Panie Banning — Fields zaczął znowu. — Tak jak pan może być o czymś przekonany, są też na świecie ludzie pewni tego, że dzięki istnieniu trójpalczastych ropuch nie jesteśmy jeszcze wszyscy w piekle.

— Właśnie przed takimi musimy się bronić — wymamrotał przez ramię Brad.

— Ach, tu jeszcze są pana witaminy — dorzuciła Amanda. — A to dokumenty w sprawie Owensa, których pan szukał — włożyła mu do ręki kilka kartek. — A pod te numery musi pan oddzwonić z samochodu, kiedy będzie pan jechał na mecz Jacka.

— Mecz Jacka — przypomniał sobie Piotr. Pierwsza przyjechała winda z lewej strony i otworzyły się drzwi. Piotr ruszył do środka.

— Szefie, proszę zaczekać! — krzyknął bezimienny asystent. — Rzucam!

W powietrze frunął przenośny telefon w futerale. Piotr namierzył go uważnie i zręcznie schwycił. Nieźle jak na starszego faceta. Przytrzymując nogą drzwi windy, przytroczył sobie telefon. Naprzeciw niego stanął Brad, odsłaniał klapę swojej marynarki, za którą krył się podobny telefon, i przybrał pozycję rewolwerowca. Piotr stanął przed nim z drżącymi rękami. Naraz sięgnęli po swoje telefony i wyciągnęli je, przykładając do uszu.

— Szybciej miałem sygnał — oznajmił Piotr. — Jesteś martwy.

Kiedy chowali swoją broń, wszyscy się śmiali.

— Muszę lecieć samolotem — powiedział niepewnie Piotr.

— Nie przejmuj się. Więcej ludzi rozbija się w samochodach niż w samolotach — odparł Brad.

— To bezpieczniejsze niż przechodzenie po ulicy! — dodał Ron.

— Po prostu nie patrz w dół — poradził ktoś inny.

— I niech ci się ręce nie zmęczą! — krzyknęli wszyscy i zaczęli udawać machanie skrzydłami.

Doktor Fields pokręcił głową i odszedł.

— No, komu w drogę, temu czas — oznajmił uroczyście Piotr, a kiedy wszyscy naraz jęknęli, posłał im swój najbardziej uroczy chłopięcy uśmiech i wkroczył do windy.

Drzwi zamknęły się za nim z delikatnym szelestem. Przez chwilę wszyscy stali nieruchomo, patrząc bez słowa na szyb windy.

— Dobra — powiedział w końcu Brad, zwracając się do asystenta. — Frank, wysyłasz faxem do wszystkich propozycję jutrzejszego spotkania — odwrócił się do recepcjonistki. — Julie, zadzwoń do Teda. Musimy pozbyć się tego raportu Sierra Club. Amando, znajdź. . .

Nagle rozległo się dzwonienie. Wszyscy spojrzeli dookoła. W końcu Brad zorientował się, że to jego przenośny telefon. Wyciągnął go i włączył.

— Tak? Co? — opadła mu szczeka. — Dlaczego tak dyszysz? Masz taki głos, jakbyś przebiegł maraton. Co się stało?

Na końcu korytarza otworzyły się gwałtownie drzwi i pojawił się w nich Piotr. Zgromadzeni przed windą spoglądali na niego ze zdumieniem.

— Do diabła z telefonem! — stęknął Piotr, wsuwając swój aparat do futerału.

Nie mógł złapać tchu. „Jak tak dalej pójdzie, dostanę ataku serca” — pomyślał.

— Muszę jeszcze przed odlotem rzucić okiem na te robocze raporty. Tylko minuta.

Kiedy przemierzał z powrotem korytarz, Brad podążył za nim.

— Spóźnisz się na mecz twojego chłopaka!

— Nie martw się — uspokoił go Piotr. — Pójdę na skróty. Mam mnóstwo czasu.

Pozostali pomaszrowali bez słowa za nim. Windy zniknęły z pola widzenia.

— Aha, jest taki dowcip, który chciałem na was wypróbować — zapowiedział Piotr, starając się uspokoić oddech i uśmiechając się. — Czytałem niedawno, że teraz wykorzystują prawników jako zastępcze matki. Wiecie dlaczego?

Nikt nie wiedział.

* * *

Jack wziął głęboki oddech i cofnął się kilka kroków. Jego wzrok powędrował ku tablicy z wynikami. Ostatnia tura. Goście prowadzili dziewięć do ośmiu.

— Nie daj się, Banning! — krzyczał trener. — Trzymaj się, bo przegramy.

Koledzy z drużyny wołali coś do niego, udzielając wskazówek, dodając otuchy, zanosząc błagalne prośby. Jack spojrzał na swoje buty i pogrzebał nogą w ziemi. Już od dwóch kolejek nie patrzył na widownię, bojąc się tego, co zobaczy. A raczej, czego nie zobaczy. Mecz już był prawie skończony. Czy jego tato naprawdę mógł mu to zrobić?

— Śmiało synu, zagrywaj — burknął święty Mikołaj.

Jack wziął kolejny głęboki oddech i cofnął się. Kiedy przymierzał się do rzutu, mimowolnie, choć postanowił tego nie robić, spojrzął na trybuny.

Jego mama i Maggie stały koło siebie i dopingowały go. Obok nich, tam gdzie była czerwona poduszka, stał teraz człowiek z kamerą. Tato? Jackowi podskoczyło serce. Ale dostrzegł, że to nie jest ojciec, tylko pracownik z jego biura, człowiek, którego widział raz czy dwa.

Stał na miejscu jego ojca i filmował go z kamery.

Jack cały zdrętwiał. Nagle wszystko zobaczył jak przez mgłę: rozpaczliwie wykonał swoją zagrywkę, ale wiedział, że nic z tego nie wyjdzie.

— Koniec! — ogłosił sędzia.

W drużynie gości podniósł się radosny wrzask, a wśród jego kolegów rozległ się jęk zawodu. Przez chwilę Jack nie mógł się poruszyć. Hamując łzy napływające do oczu, opuścił powoli ręce i powłókł się w stronę ławki.

* * *

Kiedy Piotr wysiadał ze swojego BMW, słońce już zachodziło i chłód późnego popołudnia zmroził mu twarz. Szybkim krokiem ruszył w stronę boiska z płaszczem przewieszonym przez rękę i telefonem kołyszającym się przy biodrze. Z daleka spojrzął na tablicę wyników: „Ostatnia tura, goście prowadzą dziewięć do ośmiu. Jeszcze mogę zdążyć” — pomyślał. Kiedy zaczął biec, poczuł się tak ciężki, powolny i stary jak nigdy dotąd. Musi się wziąć za siebie.

Wybiegł zza rogu trybun i zatrzymał się. Widownia i boisko były już puste. Wokół wałały się tylko papierki po słodyczach i plastikowe kubki. Piotr starał się opanować swój oddech. Spojrzął znów na tablicę wyników i potrząsnął głową. Jack. Było mu głupio i wstyd. Odwrócił się w końcu i poszedł z powrotem do samochodu, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że wokół panuje absolutna cisza.

Był już niemal przy aucie, kiedy zadzwonił jego przenośny telefon. Wyciągnął go z futerału i włączył.

— Och, jak się masz, Brad — przywitał go drewnianym głosem. — Tak, cieszę się, że zadzwoniłeś.

W drodze do Anglii

Głuchy pomruk silników boeinga 747 mieszał się z nie ustającym płaczem dziecka dobiegającym z tylnych rzędów. Tak naprawdę jednak Piotr nie słyszał niczego, ponieważ jego myśli krążyły wokół błyszczącego ekranu przenośnego komputera, który stał przed nim na półeczce. Na ekranie widniały dwa zdania wypisane dużymi literami: BABCIA WENDY NAZYWA MNIE SWOJĄ UKOCHANĄ SIEROTKĄ. NIE WIEM DLACZEGO.

Piotr wpatrywał się w wypisane przez siebie słowa, usiłując rozwikłać ukrytą w nich zagadkę. To była jakaś tajemnica z dawnych czasów, z odległej, utraconej przeszłości, której dokładnie nie pamiętał. Babcia Wendy. Wendy Darling. Jego babcia. Dlaczego te słowa przyczepiły się do niego? Dlaczego tłuką mu się po głowie jak echo czegoś, co powinien rozumieć, ale nie potrafi?

Ostrożnie położył palec na klawiszu do kasowania tekstu. Migocący kursor zaczął cofać się po ekranie, połykając kolejne litery zagadki. Znikały jedna po drugiej i po chwili ekran był pusty.

Boeing wpadł w turbulencję i komputer ześlizgnął się z półeczki. Piotr ścisnął kurczowo oparcia fotela i starał się przytrzymać komputer samymi kolanami. Wstrząsy nie ustawały; ostre, nie słabnące uderzenia przypominały mu jazdę na sankach z wyboistej góry. Siedząca obok niego przy samym oknie Maggie podniosła wzrok.

— Chciałabym, żeby jeszcze mocniej walnęło. Piotr siedział sztywny.

— Twojemu tatusiowi w zupełności wystarczy to, co było.

Dziewczynka się uśmiechnęła.

— Pomyśl sobie, że to wielki, podskakujący autobus i nie będziesz się bał.

„Wątpię” — pomyślał ponuro Piotr, chcąc znaleźć się gdziekolwiek, byle tylko nie być zamkniętym w tym samolocie. Nie cierpiał samolotów. Nie cierpiał latania. Mówiąc ogólnie nie cierpiał wszystkiego, co wiązało się z wysokością. Lubił chodzić po ziemi, czuć pod stopami grunt, solidny i trwałe. Gdyby przeznaczeniem człowieka było latanie, otrzymałby. . .

Maggie trąciła go łokciem i Piotr spojrzął na nią pobłaźliwie. Na twarzy i na rękach była pomazana flamastrami. Przed nią leżała kartka papieru, którą pisaki zamieniły w szaloną płataninę kolorowych linii i zawijasów.

Maggie podniosła swój rysunek i podała Piotrowi.

— To mapa mojej głowy — wyjaśniła. — Żeby nie pogubiła się w swoich myślach. Rozumiesz? To jest nasz dom w San Francisco. Tu jest dom babci Wendy w Londynie. A to jest sierociniec, który nazwali imieniem Babci.

Piotr rozluźnił uścisk jednego z oparć fotela na tyle, by wziąć od niej rysunek. Udawał, że mu się przygląda, cały czas wsłuchując się we wstrząsy samolotu. Po kolejnym potężnym uderzeniu komputer ześlizgnął mu się z kolan i upadł na podłogę. Piotr rzucił rysunek Maggie i znów wpił się w oparcie.

— Tatusiu, zobacz, co narysował Jack — nalegała Maggie, podając ojcu drugi rysunek.

Piotr niechętnie wziął go do ręki. Na obrazku był spadający samolot w płomieniach. Moira, Jack i Maggie lecieli na spadochronach. Za nimi Piotr spadał głową w dół.

— Gdzie jest mój spadochron? — krzyknął. Obrócił się do tyłu, gdzie siedzieli Jack i Moira. Moira przeglądała program zawodów baseballowych. Jack obserwował ją, trzymając ręce na stosie baseballowych folderów, leżących przed nim na półeczce. Gdyby wiedział, że ojciec patrzy na niego, zachowywałby się inaczej.

— Dobra, mamo, zapytaj mnie jeszcze. Jeszcze raz.

Moira studiowała przez chwilę program, po czym zapytała:

— Kto był najlepszym zawodnikiem w 1985 roku?

— To łatwe. Wade Boggs. To chyba w ogóle jeden z najlepszych zawodników w historii ligi. Wiesz dlaczego? Po siedmiu sezonach ma trzecią średnią na liście wszech czasów. Widziałaś go kiedyś, jak gra, mamo?

Moira potrząsnęła głową spoglądając na Piotra.

— Nie, nigdy. Ale założę się, że twój ojciec go widział. Zapytaj go o Wade'a Boggsa.

Jack jakby rozważał przez chwilę tę myśl, wpatrując się swoimi ciemnymi oczami w leżące przed nim foldery, po czym powiedział:

— Zapytaj mnie jeszcze.

Moira była wyraźnie rozczarowana. Przyczesła swoje kasztanowe włosy i oddała program Jackowi.

— Za chwilę.

Jack wziął go bez słowa i nie podnosząc wzroku, zaczął z udawanym zainteresowaniem przeglądać leżące przed nim foldery.

Wstrząsy uspokoiły się i światelko „Zapiąć pasy” znów zgasło. Moira wstała, wygładziła sukienkę i przykucnęła w korytarzyku obok fotela Piotra.

— Piotrze...

— Moiro, musisz mi pomóc przy tym przemówieniu. Nie brzmi najlepiej.

Położyła mu rękę na ramieniu.

— Najpierw zrób coś dla mnie. Czy mógłbyś, zanim dolecimy, wyjaśnić z Jackiem sprawę tego meczu? On zupełnie nie może się po tym pozbierać.

Jak zwykle można było dostrzec u niej ślad angielskiego akcentu, pozostałość z czasów, zanim poślubiła Piotra i zamieszkała z nim w Stanach Zjednoczonych. Lubił brzmienie jej głosu i jego przyjemną, niepowtarzalną tonację.

Skinął posłusznie głową.

— Dobrze. Chcesz posłuchać, jak się zaczyna?

— Powinieneś być przyjsć na mecz.

Patrzył na nią bez słowa, z poczuciem winy i zakłopotania. Wiedział, że nie przychodząc na mecz sprawił zawód Jackowi; wiedział, że zawiódł ich oboje. Zamierzał to jakoś wynagrodzić Jackowi, tylko nie wiedział jeszcze, jak się do tego zabrać.

Moira spojrzała na niego wymownie i pokazała wzrokiem na Jacka. Pochyliła się i podniosła komputer. Czekala. Piotr westchnął, wstał i przesiadł się na opuszczone przez nią miejsce obok Jacka. Chłopiec odłożył już foldery i teraz podrzucał w górę piłkę i chwycił ją.

— Słuchaj, Jackie. . .

— Jack — poprawił go syn i podrzucił piłkę jeszcze wyżej.

Samolot znowu wpadł w dziurę i Piotr zaczerpnął głęboko powietrza, chwytając oparcie fotela. Jeszcze raz zapaliło się „Zapiąć pasy”. Jack wciąż podrzucał piłkę.

— Zbijesz okno — rzucił rozdrażniony Piotr. Jack nadal był pochłonięty swoim zajęciem.

— No tak, chyba pierwszy raz widzisz, jak rzucam.

— A może kiedy będziemy już w Londynie, obejrzymy sobie razem film z meczu?

— Tak? Całe dwadzieścia minut? Akurat ten kawałek, gdzie zawałem i przegrywamy mecz?

Piotr zacisnął usta.

— Dam ci parę wskazówek, jak rzucać.

Nie było odpowiedzi. Jack podrzucał piłkę coraz wyżej, aż zaczęła odbijać się od sufitu. Pasażerowie podnieśli głowy znad swoich czasopism i książek. Niemowlę zapłakało jeszcze głośniej. Jack znów rzucił piłkę w górę, ale tym razem Piotr schwycił ją.

— Nie zachowuj się jak dziecko! — warknął. Jack odebrał mu piłkę.

— Ja jestem dzieckiem!

Piotr dostrzegł w oczach syna złość i wyraźnie zmiękł.

— W następnym sezonie będę przychodził na mecze, obiecuję.

Jego syn spojrział na niego z rozpaczą.

— Tato, nie obiecuj już niczego, dobrze?

— Sześć meczów, słowo!

— Powiedziałem, tato, nie obiecuj!

— Moje słowo jest święte — upierał się Piotr i przyłożył rękę do serca.

Jack się odwrócił.

— Jasne.

Na jego twarzy widać było wściekłość.

— Twoje słowo nic nie jest warte.

Chłopiec rzucił piłką o sufit z taką siłą, że otworzyła się górna szafka i na Piotra spadły zwoje sznurków i maski tlenowe. Jego ręce zwały się mocniej na oparciach fotela, jakby walczył o życie, i zacisnął oczy.

Babcia Wendy

Przy Kensington Gardens ciągnęły się rzędy późnogotyckich domów o spadzi-
stych dachach ozdobionych wieżyczkami i ścianach z malowanego drewna, cegły
i kamienia. Na tereny posesji otoczonych ogrodzeniami wiodły bramy, za którymi
rozciągały się szachownice trawników przyprószone śniegiem i wspaniałe ogrody
z fiołkami i ostrokrzewami. Konary drzew spowijały domy cieniami w kształcie
pajęczyn, a ich stare, majestatyczne pnie obejmowały szpalerami alejki i żywopło-
ty. Przez mgłę późnego popołudnia z ocienionych ganeczków przeświecały lampy
niczym mokre robaczki świętojańskie. Z okapów, okien i drzwi domów zwieszały
się świąteczne ozdoby. Z oddali dobiegał dźwięk Big Bena oznajmiającego pół do
czwartej.

Przy domu z numerem czternastym zatrzymała się taksówka, z której wysy-
pała się rodzina Banningów; byli zmęczeni, ale i podekscytowani wizytą. Z sa-
mochodu wysiadł kierowca, pokaszując z przeziębienia, z którym zmagał się już
od paru tygodni, i podszedł do bagażnika, żeby wyjąć walizki. Jack zaczął ska-
kać w stronę drzwi domu prababci Wendy, ale Moira go powstrzymała. Maggie,
wymyta już z plam po flamastrach, szarpała w podnieceniu mamę za rękę.

— Mamo — powtarzała. — Ja chcę zobaczyć prababcię Wendy!

Piotr stał przy drzwiach samochodu pochłonięty przestawianiem zegarków.
Trzymał przed sobą swój zegarek kieszonkowy, rolexa Moiry i swatcha małej
Maggie.

— Już zaraz, jeszcze chwilę — mruczał nie wiadomo do kogo.

— To wszystko, proszę pana — powiedział taksówkarz po zanieśieniu bagaży
przed frontowe drzwi.

Piotr zapłacił mu ostrożnie przeliczając angielskie pieniądze, żeby nie dać zbyt
dużego napiwku, i nawet nie spojrzął, kiedy tamten odjeżdżał.

— Mamo, czy prababcia Wendy jest prawdziwą Wendy, Wendy z Piotrusia
Pana? — zapytała nagle Maggie.

— Nie — odparł zmęczonym głosem Piotr.

Tak jakby — odpowiedziała jednocześnie Moira. Spojrzeli na siebie zakłopo-
tani. Piotr podał żonie zegarek.

— A teraz uwaga — zawołał gromko Piotr, zacierając ręce dla dodania sobie otuchy. — Postarajmy się wyglądać jak najlepiej. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze.

Ustawił dzieci za Moirą, pierwszy Jack, druga Maggie.

— Skarpety podciągnięte, koszule wpuszczone i nie garbić się. Jesteśmy w Anglii, kraju dobrych manier.

Poprowadził ich do drzwi, zlustrował ostatni raz i zastukał wielką mosiężną kołatką, przymocowaną do metalowej płytki. Czekali cierpliwie. W końcu szczęknęła klamka i drzwi się otworzyły. Stał w nich siwiutki staruszek w kraciastej kurtce z wieloma kieszeniami, a wszystkie wypchane były czymś po brzegi. Z jego nieruchomej, niemal martwej twarzy spoglądały na nich wodniste oczy. Wydawało się, że patrzy gdzieś dalej, nie dostrzegając przybyszów.

— Wuju Piszczalko — powiedział łagodnie Piotr. — Witaj. . .

Staruszek spojrział na Piotra, jakby widział go pierwszy raz, i zatrzaskał drzwi.

Jack i Maggie zaczęli się śmiać i popatrywać na siebie. Piotr się zaczerwienił.

— Jack, nie śmieć się z gumą w ustach.

Drzwi uchyliły się po raz drugi i wyjrzała zza nich ruda kobieta o ostrych rysach. Po chwili drzwi otworzyły się na oścież i wyskoczył ogromny, kudłaty owczarek. Pies okręcił się wokół Piotra, minął go obojętnie i podszedł do dzieci. Piotr krzyknął ostrzegawczo, ale dzieci już obejmowały wielkie zwierzę, ściskając je i wołając: „Nana, Nana!”

W drzwiach znów pojawiła się koścista twarz kobiety; to była Liza, irlandzka służąca. Roześmiała się i zaczęła trajkotać jak najęta.

— Pani Moira! Ach, dzień dobry pani! Niech no se popatrzę na te śliczne dzieciaczki! Darlingowie, jakby skórę zdjąć! Prosimy do domu, prosimy!

Moira uścisnęła ją serdecznie.

— Jak się cieszę, że cię widzę, Lizo.

— Ach, pan Piotr — Liza spojrziała na niego niemal ze współczuciem. — Biedny wuj Piszczalka. Jest dziś jakiś nieswój. W ogóle nie bardzo z nim ostatnio — westchnęła. — Ale wchodźcie, wchodźcie.

Wmaszerowali z mglistego półmroku popołudnia w jasno oświetlony korytarz; Liza i Moira na czele, za nimi Jack i Maggie z Nana. Piotr zatrzymał się na moment, otrzepując się z psiej sierści, która przywarła do jego spodni od garnituru; czuł się jakoś dziwnie, ale nie umiał sobie wyjaśnić dlaczego. Zatrzymał się na progu i spojrział w górę na stary dom, na rzędy okien, na spadzisty okap dachu. Tu jest wysoko, pomyślał z niepokojem. Stał tak nie mogąc oderwać oczu i czując, że łapie go zawrót głowy.

Nagle pojawiła się obok Moira i chwytając go mocno za ramię pociągnęła do środka.

Drzwi zamknęły się za nimi. Stali w korytarzu, mając przed sobą duży pokój, po prawej stronie jadalnię i po lewej gabinet. Podłogi, gzymsy, listwy, półki,

komódki, belki i zdobione drzwi błyszcząły lakierowanym dębem. Wnętrze zastawione było ciasno meblami sprzed trzech wieków, dziwnymi świecidełkami i ozdóbkami z antykwariatów i pchlich targów, przedmiotami pięknymi i tajemniczymi albo, w zależności od punktu widzenia, paskudnymi i tandetnymi. W świetle witrażowych lamp i żyrandoli połyskiwały mosiądz i żelazo. Na półkach stały książki, zatechłe, zniszczone i zaczytane. W gabinecie jarzyła się wesoło choinka.

Moira wzięła od Piotra jego płaszcz i powiesiła razem z okryciami dzieci na wieszaku w kształcie głowy jednorożca. Podążając za Lizą i Naną szli korytarzem w stronę dużego pokoju. Obok nich zakręcały w górę schody. Do dużego pokoju prowadziły z różnych stron łukowate wejścia. Piotr rozglądał się wokół i wspominał.

Przez wejście wiodące do jadalni zobaczył wuja Piszczalkę, który chodził na czworakach i szukał czegoś.

— Gdzie są moje kulki — staruszek mrucał do siebie. — Muszę je znaleźć. Przepadły, zupełnie przepadły. . .

Piszczalka dostrzegł nagle, że inni mu się przyglądają. Wygramolił się spod stosu i kłęcząc uśmiechnął się promiennie do Maggie. Ona też się uśmiechnęła i kiedy skinął na nią ręką, podeszła do niego. Staruszek sięgnął do swojej kieszeni i wyciągnął stamtąd szybkim ruchem zmięty papierowy kwiatek, jak gdyby go wyczarowywał magiczną sztuczką. Wręczył jej kwiatek, a dziewczynka zaśmiała się uradowana. Piszczalka wstał, odwrócił się do Jacka i nieśmiało się uklonił.

Jack udawał zainteresowanie glinianym wazonem pomalowanym w tygrysy.

— Myślałem, że on wrócił do domu — szepnął Piotr na ucho Lizie.

Służąca potrząsnęła głową.

— Pani Wendy serce się krajało, proszę pana. Nie mogła tego wytrzymać. To przecie jej pierwsza sierotka, co nie?

Moira przywołała Piotra. Stała przed starym, ale wciąż pięknym stojącym zegarem. Na cyferblacie namalowany był uśmiechnięty księżyc.

— Człowiek na księżycu — powiedziała. — Pamiętasz? Zawsze patrzył na mnie z tak wysoka.

Piotr popatrzył na zegar, ale myślał o wuju Piszczalce i nie dostrzegł serdecznego spojrzenia Moiry.

Za ich plecami na schodach rozległ się jakiś szmer i odwrócili się. Powoli, majestatycznie, schodziła Babcia Wendy, przesuwając wzrok po wszystkich i zatrzymując go na Piotrze. Nieświadomie wyprostował się, w jego oczach pojawiło się coś zagadkowego, a przez twarz przebiegł mu jakby uśmiech czy grymas. Babcia Wendy była wysoka i szczupła; w kącikach jej oczu i ust biegły zmarszczki i choć miała siwe włosy, jej oczy płonęły tak żywo, że na pewno nie wyglądała na swoje dziewięćdziesiąt dwa lata. Miała na sobie luźną suknię przewiązaną w pasie, z fioletowymi wstążkami przy rękawach i pod szyją, i koronkami na piersi.

Jack i Moira stali bez słowa obok Lizy i przyglądali się Wendy. Ona dostrzegła ich, ale nie spuszczała wzroku z Piotra. Kiedy doszła do końca schodów, zatrzymała się.

— Witaj, chłopcze — wyszeptała.

Piotr zrobił krok do przodu i wydawało się, że stara się wyglądać dla niej młodziej i zgrabniej, czego nie robił dla nikogo od bardzo dawna.

— Witaj, Wendy — odparł równie cicho.

Nagle jakby się opamiętał.

— Przepraszam, że zjawiliśmy się tak późno. Tonę po uszy w nowej robocie i wiesz, jedna sprawa goni drugą i...

Był tak zaaferowany, że wydawało się, iż nie przestanie mówić. Wiedział, że dzieci patrzą na niego. Wendy wyciągnęła do niego rękę.

— Och, to wszystko nieważne. Chodź, Piotrusiu, i uściśnij mnie.

Piotr podszedł do niej zaraz i objęli się. Jej ramiona opasały go tak mocno, że Piotr nie spodziewał się po niej takiej siły. Jego uścisk był nieśmiały, niepewny.

— Och, Babciu, Babuniu. Jak się cieszę — zawołała Moira i uściśnęła Wendy.

— Moja kochana Moira — Wendy poklepała ją po plecach.

Odeszła parę kroków i przyjrzała się dzieciom.

— Pięknie. Ta śliczna młoda dama to chyba nie Maggie?

Maggie rozpromieniła się.

— Tak, to ja. A wiesz co, Babciu? Ja grałam ciebie w naszym szkolnym przedstawieniu!

Piotr zachnął się, ale Wendy uśmiechnęła się miło.

— To także nie do wiary — po czym zwróciła się do Jacka, przekrzywiając nieco głowę. — A czy ten olbrzym to może Jack?

Jack zmieszał się i zaczerwienił, ale był uradowany.

— Powiniennem... pogratulować ci twojego sierocińca, Babciu — zaczął płać mu się język.

Wendy potargała delikatnie jego czuprynę.

— Nie trzeba. Dziękuję, Jack.

Ustawiła przed sobą dzieci i położyła każdemu z nich rękę na ramieniu.

— A teraz uważajcie. Dopóki jesteście w moim domu obowiązuje was jedna zasada. Nie wolno być dorosłym. Jeśli wam się to przydarzy, macie natychmiast przestać!

Jack i Maggie roześmiali się i poczuli się swobodniej. Wendy nachyliła się, by uściśnąć oboje. Nagle spojrzała na Piotra.

To dotyczy również ciebie, panie Przewodniczący Zarządu Firmy Banning.

Piotr zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Przykro mi, ale już za późno na to.

Wendy podeszła do niego i wzięwszy go pod ramię prowadziła w stronę dużego pokoju.

— Jesteś ważnym biznesmenem, co? I to, co teraz robisz, jest takie okropnie ważne?

Utkwiła w nim swój wzrok, jak gdyby go hipnotyzując.

— No, rozumiesz, ja, wiesz. . .

Zaczął się więc, szukając sensownej odpowiedzi. Wreszcie wyrzucił z siebie.

— Zajmuję się nieruchomościami i fuzjami przedsiębiorstw, a ostatnio zagospodarowywaniem terenów, ach i. . .

Za jego plecami Jack udał odgłos wystrzału armatniego.

— Tak, tak. Tatuś posyła ich na dno.

Wendy spojrzała na chłopca, a potem uśmiechnęła się do Piotra.

— A zatem, Piotrusiu — powiedziała cicho, a jej oczy posmutniały — stałeś się piratem.

W dzieciennym pokoju

Nad numerem czternastym przy Kensington Gardens zapadał wieczór. Światło popołudnia przygasło i nastawała kojąca cisza. Dzień chylił się ku końcowi. Kiedy Piotr zatrzymał się na chwilę, by wyjrzeć przez okno na korytarzu, zobaczył grube płatki śniegu migocące w poświacie ulicznych latarni jak okruchy srebra.

Piotr zaszurał nogami po wytartym dywanie i przyjrzał się uważnie swoim wypastowanym butom. Stwierdził, że może je dostrzec, kiedy się trochę pochyli. Nacisnął sobie brzuch i westchnął ciężko.

Ruszył korytarzem w stronę sypialni Babci Wendy, skąd dobiegały śmiechy. Zerknął do środka i zobaczył Wendy w eleganckiej, fioletowo-różowej sukni z koronkowymi rękawami. Siedziała przy swojej toalecie, uśmiechając się do Moiry, która pochylała się nad nią, by zapiąć jej guziczki przy rękawach. Z figlarnym błyskiem w oczach unosiła ramiona, przeszkadzając Moirze. Ta delikatnie odtrąciła jej ręce i obie się roześmiały. Wydawać się mogło, że od czasów dzieciństwa Moiry nic się nie zmieniło i więc między nimi jest wciąż tak samo silna jak wówczas.

Za plecami Piotra rozległ się jakiś hałas; to Jack i Maggie biegli korytarzem, a za nimi pędziła Nana. Przebiegając obok ojca wpadli do pokoju Wendy i zaczęli skakać po łóżku i krzesłach. Nana była za duża, żeby wchodzić na łóżko, więc skakała dookoła jego rzeźbionych, drewnianych nóg szczekając donośnie.

Maggie dostrzegła ojca i zawołała:

— Tatusiu, chodź, pobaw się z nami!

Piotr uśmiechnął się i zaczął poprawiać sobie krawat.

— Później, kochanie.

Wszedł do pokoju i napotkał wzrok Moiry.

— Kacie — ruszył po nie, szurając nogami po podłodze.

— Nie widziałaś mojej złotej spinki?

Moira spojrzała na niego.

— Tutaj?

— Mogłem ją tu wcześniej gdzieś zgubić.

Wszedł do pokoju rozglądając się, po czym na czworakach zajrzał pod łóżko. Maggie natychmiast wskoczyła mu na plecy krzycząc:

— Wio, koniku, wio!

Piotr spojrział na nią ze stoickim spokojem.

— Maggie, mogłabyś chyba pomóc?

Maggie zeskoczyła z niego i uciekła. Piotr znów zaczął szukać, ale pod frędzlami pikowanej narzuty nie było niczego, nawet drobinki kurzu. Wyczołgał się z powrotem i podpełzł do fotela. Nagle natknął się na Piszczatkę, który również na czworakach prowadził własne poszukiwania. Obaj ledwie zatrzymali się w porę, żeby nie zderzyć się głowami.

Piszczątka popatrzył na Piotra. Jego oczy wyglądały jak małe szkiełka.

— Zginęły mi kulki — wymruczał.

Piotr skinął głową.

— A mnie spinka. Bez spinek czuję się jak bez ubrania.

Przeglądali się sobie przez dłuższą chwilę, a potem rozeszli się każdy w swoją stronę.

Nagle Piotr zawstydził się i wstał. Otrzeptał spodnie i wyszedł z pokoju. Będzie musiał zadowolić się perłowymi spinkami. To chyba jakieś przekleństwo, żeby nie móc znaleźć spinki. Co za dzień.

Pomaszerował korytarzem do swojego pokoju. Po drodze zobaczył przez okno, że śnieg wciąż sypie; wielkie, mokre płatki padały wokół miarowo i bezszelestnie.

Zbliżał się do pokoju dzieciennego, który na czas wizyty zajmowali Jack i Maggie. Zwolnił kroku. Drzwi były otwarte i zajrzał do środka. Jedyne światło w pokoju padało od ognia, który tlił się w kominku, rzucając na wszystkie strony tajemnicze cienie. Bagaże Jacka i Maggie leżały na dwóch spośród trzech niewielkich, zdobionych wiktoriańskich łóżek. Piotr przyglądał się przez chwilę walizkom, potem rozejrzał się po pokoju, usiłując dostrzec coś w mroku. Oparł się o framugę czując, że coś go w tym pokoju jednocześnie pociąga i odpycha.

Dlaczego tak się dziwnie czuje widząc ten pokój?

Z ciemnego kąta odezwała się sześć razy kukułka zegara. Piotr puścił się drzwi i wszedł do środka. Jeden krok, drugi, trzeci.

I nagle zmartwił.

Pokój wyglądał tak samo jak niegdyś, dawno temu, w przeszłości, którą ledwie pamiętał; tak jak zostawiła go matka Wendy, pani Darling, jako rezultat „kochającego serca i chudej sakiewki”. Trzy grubo wyściełane, wygodne łóżka, dwa po lewej, Janka i Michała, i jedno po prawej, Wendy. W delikatnej poświacie połyskiwały jedwabne narzuty. Nad każdym z łóżek stały na półeczkach porcelanowe domki wielkości ptasiego gniazda, służące jako nocne lampki. Ogień na kominku tlił się niedużym, spokojnym płomieniem, a cichy syk palonych szczapek rozbrzmiewał echem w ciszy. Rama kominka wspierała się na dwóch niezdarnie wyciosanych, drewnianych żołnierzach, których zaczął niegdyś rzeźbić pan Darling,

potem dokończyła pani Darling, a ostatecznie pomalował, choć niezbyt mu się to udało, pan Darling.

Przez głowę przemknęły Piotrowi wspomnienia, ale zaraz zniknęły. Przez chwilę rozpoznawał wszystko, ale teraz znów dotykał różnych rzeczy, jakby przebywał w obcym kraju, który jednak wydawał się dziwnie znajomy.

Szmaciany miś siedział na kominku oparty o pognieciony kapelusz. Piotr podszedł do misia i pogładził palcami jego kędzierzawy, wytarty nos.

Po chwili dostrzegł domek dla lalek Wendy i zajrzał do środka, żeby zobaczyć, czy ktoś tam mieszka. Przy ścianie było biurko i Piotr stanął za nim. Jego ręce przywarły do gładkich gałek szuflad; zaczął poruszać nimi delikatnie, zastanawiając się, co może być w środku.

W końcu znalazł okno zamknięte teraz o zmroku, z zaciągniętymi zasłonami. Stanął na progu, wyciągnął niepewnie ręce, odsunął zasłony, przekręcił klamkę i otworzył okno. Grube płatki śniegu spadły mu na nos i usta. Dotknął ich językiem. Ostrożnie wszedł na maleńki balkonik, zbliżył się do żelaznej poręczy i rozejrzał się; najpierw do góry, na niebo usiane białymi cętkami, a potem w dół, na ulice i dachy domów. Poczuł, że ziemia zaczyna wirować i chwycił się mocno poręczy. Zamknął oczy, żeby odpędzić nieprzyjemne uczucie i cofnął się do środka.

Popchnięta wiatrem firanka musnęła jego policzek i ponownie otworzył oczy. Na firance wyszyte były jakieś sceny, utkane w różne wzory sąsiadujące ze sobą niczym obrazy wiszące na ścianie. Przytrzymał zasłonę ręką i pochylił się nad nią.

Dostrzegł tam jakiegoś chłopca lecącego przez rozgwieżdżone niebo, potem tego samego chłopca z rękami na biodrach i przekrzywioną na bok głową, jakby udawał koguta, i znów chłopca walczącego z kapitanem piratów, który zamiast ręki miał hak.

Piotruś Pan.

Nagle w drzwiach pojawiła się Moira i zapaliła światło.

— Piotrze, dzwoni Brad. Mówi, że to bardzo pilne.

Piotr odwrócił się gwałtownie i wybiegł z pokoju.

W pokoju było znów pusto i cicho, ale zostały otwarte okna; wiatr dmuchnął nagle rozsuwając zasłony. Przez chmury na chwilę przecisnęło się światło księżycy i zalało pokój. Miało dziwny, tajemniczy kolor i rzucało cienie, falujące i opalizujące niczym duchy.

Światło powędrowało po podłodze i zatrzymało się na lustrach zdobionych drzwi starej, masywnej szafy, która mogła w sobie kryć marzenia lub koszmary.

* * *

Piotr popędził korytarzem spodziewając się najgorszego. Wziął ze sobą w podróż na wszelki wypadek swój przenośny telefon, bo przecież angielskim po prostu nie można dowierzać.

Po drodze minął Wendy, która zakreśliła się w koło jak dziewczynka rzucając mu:

— Podoba ci się moja suknia, Piotrusiu?

Piotr zdawkowo kiwnął głową i przeszedł koło niej nie zwalniając kroku. Wpadł do pokoju gościnnego, gdzie umieszczeni zostali razem z Moirą, i chwycił telefon leżący na łóżku.

— Tak? Brad? Co to znaczy, raport Sierra Club? Myślałem, że to już załatwione? Co? Sowa błękitna? — cały poczerwieniał. — Jeśli to gatunek zagrożony, to widać należało mu się to!

W pokoju zjawili się Maggie i Jack. Przeszli obok ojca i zniknęli za łóżkiem. Po chwili wyjrzała stamtąd Maggie krzycząc ze śmiechem:

— Tato, ratuj mnie, ratuj!

Zza łóżka dobiegały potworne ryki Jacka. Piotr nie zwracał na nich uwagi, zatykając sobie ucho palcem.

— Od początku świata ewolucja miała swoje ofiary! — warknął. — Czy ktoś żałuje dinozaurów?

— Ja! — krzyknął Jack i zaryczał groźnie.

Piotr zakreślił się w koło.

— Do diabła, Jack, bądź dorosły! Odejdz, Maggie! Moiro! — wrócił do rozmowy. — Ma trzydzieści centymetrów i potrzebuje obszaru łęgowego o promieniu stu kilometrów? Dlaczego po prostu ktoś od razu nie strzeli mi w głowę?

Maggie obiegła dookoła łóżko, wrzeszcząc w zachwycie i zaczęła się wspinać na plecy ojca. Za nią pędził Jack rycząc i machając rękami.

— Zamknijcie się wszyscy! — huknął Piotr, strząsając ich z siebie. — Powiedziałem, zamknijcie się wszyscy choć na tę jedną przeklętą chwilę! Moiro, na miły Bóg, zabierz ich stąd. To najważniejszy telefon w moim życiu!

Moira w końcu pojawiła się, wzięła łagodnie, ale stanowczo dzieci za ręce, przywołała Nanę i wyprowadziła wszystkich na korytarz. Stała tam Babcia Wendy rozkładając ręce, żeby objąć dzieci, a jej jasne oczy wpatrywały się w Piotra.

— A wiecie, że kiedy wasz ojciec był mały, stawaliśmy często przy oknie i zdmuchiwaliliśmy gwiazdy.

— Akurat — prychnął Jack.

Kiedy Moira weszła znów do pokoju, Piotr już skończył rozmawiać i siedział na łóżku z nieszczęśliwą miną. Wpatrywał się tępo w niewidoczny punkt.

— Wszystko się wali — przebiegł dłońmi po swojej brązowej czuprynie. — Nie powinienem być w ogóle wyjeżdżać.

Moira stała nie mówiąc ani słowa. Po chwili spojrział na nią i napotkał jej wzrok, w którym widać było złość i głęboki zawód. Moira ledwie powstrzymała się od płaczu. Patrzyli na siebie w milczeniu. Nagle Piotr wstał, ruszył w jej stronę, ale rozmyślił się i zatrzymał. Wykonał rękami kilka próżnych gestów, starając się coś powiedzieć, ale nie zdołał. Potrząsnął głową.

— Moira. . . przepraszam, ja po prostu, ja po prostu nie. . . — nie udało mu się znaleźć wyjaśnienia. — Nie umiem pozbierać myśli, nie wiem dlaczego.

Głos Moiry był cichy i miękki, ale w jej oczach niespodziewanie pojawiła się stanowczość.

— Nie byłeś tu od dziesięciu lat, chociaż Babcia zaprasza cię od roku. To znaczy, ile złamanych obietnic. . . — przerwała, starając się zachować spokój. — Obiecałeś dzieciom, że poświęcisz im tutaj czas, a ty nawet nie spojrzalesz na nie ani razu, poza strofowaniem i pokrzykiwaniem. . .

Telefon leżący na łóżku zadzwonił ostro, przenikliwie. Piotr zawahał się, ale sięgnął po niego.

— Daj mi to — rozkazała jego żona.

Piotr wpatrywał się w nią.

— Daj spokój, Moiro, nie.

— Daj mi telefon.

Proszę cię, Moiro. . .

Moira wyciągnęła rękę i chwyciła telefon. Podeszła do otwartego okna i wyrzuciła go. Piotr obserwował ją w głuchym milczeniu.

Moira odwróciła się do niego.

— Przykro mi, że nie wyszło ci z tą sprawą.

— I tak od początku ci się to nie podobało — wymamrotał Piotr.

Moira skinęła głową odgarniając do tyłu swoje ciemne włosy.

— Nie podobało mi się, ale współczuję ci, Piotrze. Twoje dzieci kochają cię, chcą się z tobą bawić. Czy myślisz, że długo tak będzie? Przez całe życie? Za trzy lata Jack nie będzie nawet chciał, żebyś wchodził do jego pokoju. To jest tych parę wyjątkowych lat, kiedy nasze dzieci chcą mieć nas przy sobie. Później to ty będziesz zabiegał choćby o odrobinę uwagi z ich strony. Posłuchaj mnie. Ja jestem z nimi w domu, ja je obserwuję, ja się z nimi bawię. Wiem, co tracisz, ale nie potrafię ci tego opisać; musisz sam usiąść na podłodze i pobawić się z nimi, żeby zrozumieć. Czy ty wiesz, ile razy pytają: „Gdzie jest tato, kiedy tato przyjdzie do domu?” — wzięła głęboki oddech. — Do diabła, mówię ci, żebyś nie tracił czasu! Ciesz się nimi, póki nie jest za późno!

Zacisnęła wargi i przyglądała mu się, czekając na odpowiedź. Piotr stał w miejscu, patrzył się na nią i nie mógł wykrztusić słowa. W końcu podeszła do okna i wyrzuciła na dwór; jej twarz naznaczona była głębokim smutkiem, a oczy szklily się od łez.

— Nie chciałam wyrzucić ci telefonu przez okno — powiedziała.

— Nie wyrzuciłaś? — w głosie Piotra pojawiła się nadzieja.
Odwróciła się do niego i ich spojrzenia się spotkały.
— Wyrzuciłam — szepnęła.

* * *

Nana przecisnęła się przez kuchenne drzwi dźwigając w pysku torbę z odpadkami. Wielki owczarek przebrnął przez śnieg do ogrodu i wsunął torbę do kosza na śmieci. Wracając tą samą drogą Nana dostrzegła przenośny telefon Piotra. Zatrzymała się, aby go obwąchać, potem wzięła w pysk i zaniósła ostrożnie na klomb, położyła na ziemi i zaczęła kopać. W powietrze frunęły grudki śniegu i ziemi. W ciągu paru sekund powstała pokaźna jama. Nana podniosła telefon i wrzuciła do środka.

Potem go zagrzebała.

* * *

Dziecinny pokój spowijały cienie. Na kominku płonęły szczapy zamieniając się w czerwone węgielki rzucające purpurową poświatę. Jack spoglądał przez otwarte okno, opierając łokcie na poręczy balkonu i bawiąc się przyciskami swojego walkmana. Śnieg przestał padać, a powietrze było ostre i rześkie. Jack miał na sobie koszulę nocną z baseballowym nadrukiem i wyglądał na znużonego.

— Wszystkie dzieci, prócz jednego, dorastają.

Głos Wendy był cichy i zniewalający. Siedziała na podłodze razem z Maggie pod prześcieradłem służącym jako namiot i czytała przy latarce podniszczony egzemplarz *Piotrusia Pana*. Nawet jeśli pamiętała, że jest w wieczorowej sukni, nie zwracała na to uwagi. Maggie słuchała z przejęciem, zawiązując pracowicie wstążki na brzegu prześcieradła.

— Czy wiesz, skąd się biorą wróżki, Margaret? — gdy Wendy zaczęła czytać, przyłączył się do niej głos Maggie. — Kiedy pierwsze dziecko roześmiało się pierwszy raz, jego śmiech rozprysnął się na tysiąc kawałeczków, które potoczyły się we wszystkie strony — stąd się wzięły wróżki.

Wendy skierowała światło latarki na obrazek, na którym była mała Wendy w nocnej koszuli przy oknie dziecinnego pokoju.

— To ja — szepnęła — bardzo dawno temu.

Maggie spojrzała na rysunek, a potem na Wendy.

— Ale Jack mówi, że ty nie jesteś prawdziwą Wendy.

Wendy prychnęła i odchyliła brzeg prześcieradła. Spojrzały ukradkiem na Jacka, który udawał, że ich nie widzi.

W oczach Wendy zamigotały iskierki.

— Widzisz, gdzie stoi Jack? To jest to samo okno — powiedziała, po czym wymieniły ze sobą znaczące spojrzenia.

Nie dostrzegły, że w drzwiach pojawił się Piotr; ubrany w wytworny smoking przeglądał nerwowo notatki do swojego przemówienia.

— A to jest właśnie ten pokój, w którym opowiadaliśmy historie o Piotrusiu Panie, Nibylandii i strasznym, starym kapitanie Haku. Nasz sąsiad, pan Barrie, sir James, zachwyił się nimi i spisał je, mój Boże, ponad osiemdziesiąt lat temu.

Zapanowała cisza i wtedy dopiero usłyszały szelest notatek Piotra. Maggie zobaczyła swojego tatę i natychmiast wyskoczyła do niego. Ściągnęła prześcieradło z Wendy i wręczyła je Piotrowi.

— Tatusiu! — wykrzyknęła. — Zrobiłam coś dla ciebie. To jest spa... spadochro... daj buzi! Jak będziesz leciał następnym razem, nie musisz się niczego bać!

Piotr pogładził Maggie po głowie, wziął spadochron i zawiesił go na jej łóżku. Potem podszedł do Wendy i pomógł jej wstać. Wendy się uśmiechnęła. Przytuliła Maggie, przesłała pocałunek Jackowi i podeszła zapalić nocne lampki.

Wychodząc powiedziała łagodnym głosem:

— Kochane lampki, co chronicie moje śpiące dzieci, palcie się jasno i równo dziś wieczorem i zawsze.

Na chwilę zatrzymała się jeszcze przy drzwiach i obejrzała się za siebie, po czym zniknęła na korytarzu.

Piotr dopiero teraz dostrzegł Jacka stojącego na balkonie. Podszedł do niego, wciągnął go trwożnie do środka i zamknął okno. W tym pośpiechu zostawił swoje notatki na szafce przy oknie.

— Co ty tu robisz, Jack? — zapytał. — Odsuń się stąd. Nie bawimy się przy otwartych oknach. Czy my w domu mamy otwarte okna?

Jack się odwrócił.

— Nie — nasze okna są okratowane.

Powlókł się w stronę dziecinnego łóżeczka i rzucił się na nie, wyraźnie niezadowolony. Sięgnął pod poduszkę i wyciągnął stamtąd swoją rękawicę do baseballa. Nałożył ją na rękę, stuknął w nią, a potem znów schował pod poduszkę. Nagle wzdrygnął się i zajrzał pod poduszkę.

— Hej, gdzie jest moja piłka? Była tutaj!

Maggie zrobiła poważną minę i spojrzała na okno. Jej wzrok znieruchomiał i powiedziała zdecydowanym głosem:

— Ten straszny człowiek ją ukradł.

Piotr usiadł koło niej.

— Tam nie ma żadnego strasznego człowieka. I życzę sobie, żeby to okno było zamknięte przez cały nasz pobyt.

Maggie spojrzała na niego z powątpiewaniem, a potem pogrzebała w swoich rzeczach i wyciągnęła papierowy kwiatek. Dała go Piotrowi, który z kolei wpiął go w jej włosy.

— Dostałam go od Piszczalki — powiedziała. — Ładnie pachnie.

Piotr się uśmiechnął.

— On jest przecież z papieru, kochanie — jego twarz złagodniała i opanował go dziwny spokój. — A teraz zawiń się w kołdrę i pomyśl sobie, że jesteś listem w kopercie wysłanym do krainy snów.

Maggie naciągnęła na siebie kołdrę aż po brodę.

— Jeszcze pieczątką, panie poczmistrzu.

Piotr pochylił się nad nią i pocałował ją dwa razy.

— Polecony.

Potem wstał i podszedł do Jacka. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął swój zegarek kieszonkowy.

— Będziesz mnie zastępował, dobrze? Wrócimy za dwie, najdalej trzy godziny, obiecuję.

Jack wziął zegarek bez słowa. W drzwiach pojawiła się Moira. Wymieniła z Piotrem spojrzenia i zniknęła.

— Mamusiu — zawołała Maggie. — Nie odchodź, proszę.

Moira podeszła do łóżeczka, usiadła obok niej i pogładziła ją po włosach. Spojrzała na Piotra błagalnie.

— Czy tak nie może być zawsze? — zapytała, jak gdyby odpowiedź mogła rozwiązać wszystkie problemy.

A potem zanuciła kołysankę. Jack i Maggie leżeli cicho powoli zamykając oczy.

Przeszłość powraca

Lśniąca posadzka Royal Hall zalana była morzem białych obrusów. Zdawało się, że w sali nie ma już ani odrobiny miejsca, bo zastawiono ją po brzegi stołami, przy których zasiedli różni ludzie znani z działalności dobroczynnej. Wielu z nich miało osobiście sporo do zawdzięczenia wytrwałej pracy i nieustannym wysiłkom kobiety, której przybyli złożyć hołd. Stłoczeni ramię przy ramieniu siedzieli w swoich krzesłach zwrócenie w stronę estrady, na której stał i przemawiał Piotr Banning.

— A skołowany podróżny zapytał: „Gdzie mam tego szukać?”

Pointa dowcipu wywołała wśród słuchaczy salwę śmiechu, która przetoczyła się po całej sali i odbiła echem od ścian. Piotr wykrzywił się w uśmiechu i rzucił spojrzenie w stronę Moiry i Babcy Wendy. Za stołem umieszczonym na estradzie siedziało ponad dwudziestu ludzi, którym Piotr został przedstawiony, ale nie pamiętał niemal żadnego z nich. Lord taki a taki. Lady taka a taka. Większość z nich to członkowie rady szpitala przy Great Ormond. Oczy Piotra powędrowały w inną stronę. Kryształowe kandelabry zwieszały się z fryzowanego sufitu sali niczym prehistoryczne ptaki, a tańczące w nich światło rzucało złote smugi na twarze uczestników uroczystości. Błyszczała biżuteria, szkło i srebro zastawy. Futra i smokingi opinały ramiona. Garnitury, krawaty i suknie wszelkiego rodzaju przystrajały salę wielobarwną dekoracją.

W drugim końcu sali zwieszał się transparent z napisem: FUNDACJA IMIENIA JAMESA BARRIEGO I SZPITAL GREAT ORMOND SKŁADAJĄ HOŁD WENDY.

Wystawna kolacja dobiegała końca i rozpoczęły się przemówienia. Gwiazdą wieczoru był Piotr.

Śmiech powoli ucichał. Piotr przeniósł wzrok na salę.

— A zatem bardzo proszę, panie i panowie, wytrzymajcie przez chwilę moją tu obecność, mając łaskawie na względzie to, że zazwyczaj przemawiam do akcjonariuszy.

Znów rozległ się śmiech, ale tym razem rzadszy i nieco wymuszony.

Piotr sięgnął do górnej kieszeni marynarki po swoje przemówienie i stwierdził, że go tam nie ma. Szybko sprawdził sąsiednią kieszonkę, potem dolne i wresz-

cie kieszenie w spodniach. Obleciał go strach. Gdzie jest jego przemówienie? Nie myślał o nim od chwili, gdy wyszli z domu, ponieważ postanowił, że odczyta je jak leci i nie będzie się przejmował. A zatem powinien je mieć; pamiętał, że je ma. Co się z nim stało?

Rzucił szybkie spojrzenie Moirze, która już przetrząsała swoją torebkę. Nagle podniosła oczy i potrząsnęła głową. Nie ma.

Piotr wziął głęboki oddech.

— Proszę wybaczyć, chyba zgubiłem gdzieś swoje przemówienie.

Jego oświadczenie powitała cisza. Odchrząknął.

— Lordzie Whitehall, szanowni goście, panie i panowie. Przez ponad siedemdziesiąt lat Wendy Darling była nadzieją dla setek bezdomnych dzieci...

Więcej nie pamiętał. Odchrząknął po raz drugi.

— Dla szpitala Great Ormond położyła największe zasługi...

I co jeszcze? Jak tam było dalej?

Zaczęły dobiegać do niego odgłosy szurających krzeseł, kaszlu i szeptów. Nie miał wyboru, musiał brnąć dalej, nie będąc pewnym tego, co mówi; przekonany tylko, że traci słuchaczy.

Nawet nie śmiał spojrzeć na Moirę i Wendy.

* * *

Nad domem przy Kensington czternaście zawisł mrok niczym czarna, nieprzenikniona zasłona. Śnieg wprawdzie padał już tylko rzadkimi, drobnymi płatkami, ale chmury zasnuły księżyc i gwiazdy, i tylko dwie latarnie przeświecały z daleka przez mglistą ciemność. Szczyty wiekowych dachów Kensingtonu odcinały się ostro na tle nieba, wrzynając się swymi krawędziami w noc.

Nana uniosła głowę i wytknęła mokry nos spod ganku. Liza wygnała ją prawie godzinę temu, pomstując na nią za jakąś rzekomą przewinę, i wierny pies oczekiwał na powrót swojej właściwej pani, żeby wyjaśnić całą sprawę. Krótki łańcuch nie pozwalał jej nigdzie się ruszyć.

Nagle zauważyła jakiś dziwny ruch na niebie, przetasowanie obłoków, które jak gdyby rozstały się na chwilę, aby coś przepuścić. Na chwilę rozbłyśło złowieszcze, zielone światło i zaraz zniknęło.

Nana poderwała się i zaczęła szczekać.

Jack i Maggie spali w dziecinnym pokoju. Jack z rozrzuconymi rękami i nogami, Maggie zwinięta w kłębek z kołdrą naciągniętą na głowę. Nad nimi jarzyły się porcelanowe lampki nocne powstrzymując mrok i cienie. Ogień na kominku dawno już wygasł, a żarzące się węgielki zamieniły się w popiół.

Zasłony zwisały luźno z okna, skrywając w swoich fałdach obrazy przygód Piotrusia Pana.

Nagle nocne lampki rozbłysły ze zdwojoną mocą, a potem mignęły jeszcze raz i zgasły. Ciemność spadła na pokój jak polujący drapieżnik. W mroku spowijającym kątek pokoju, na lustrach wielkiej szafy, ukazało się tamto złowieszcze, zielone światło połyskując z początku delikatnie, a potem coraz jaśniej. Z wolna pojawiały się jakieś niewyraźne, mgliste widma, które jednak z każdą chwilą stawały się coraz bardziej wyraziste i przybliżały się.

Jack poruszył się i coś wymamrotał.

Po ścianie pełzły cienie rzucane nie wiadomo skąd, palce przemieniały się w pazury, a pyski wysuwały zęby. Pośród ostrych konturów pojawił się jakiś ogromny, rozłożysty kształt rozciągający się od podłogi po sufit — drzewa dżungli z gałęziami spletanymi jak pajęczyny i postrzępione skały wybrzeża mokre od fal oceanu. W lustrach szafy widma przybierały kształty — czaszki z pustymi, wielkimi oczodołami i zębami wyszczerzonymi w przejmującym grymasie, i starego żaglowca, który skrzypiał i jęczał na napiętym łańcuchu kotwicy.

Nagle światło zalało małą okrętkę w butelce stojącej na kominku, jak gdyby znieckała złapała go burza. Jack poruszył się znowu. Gwiazda wisząca nad jego głową zaczęła się kręcić jak szalona. Stary koń na biegunach rozbijał się, potrząsając grzywą i ogonem pod nagłym podmuchem wiatru wiejącego nie wiadomo skąd...

W ogrodzie Nana biegała na łańcuchu usiłując się uwolnić i niespokojnie szczekając.

Piszczalka stał w gabinecie przed modelami okrętów ustawionych rzędem na półce, zachwycony, że małe maszty zaczęły drzeć, a żagle wypełniły się niewidzialnym wiatrem. Spojrzenie wodnistych oczu wlepił w kołyszące się statki i Piszczalka patrząc na nie, zaczął kołysać się razem z nimi. Kiedy usłyszał szczekanie Nany, cofnął się natychmiast, przekrzywił głowę i wyszeptał: „Niebezpieczeństwo”.

Liza drzemała w kuchni z głową w ramionach. Zaraz jednak obudziła się, słysząc jakieś drapanie we frontowe drzwi.

Wiatr przemknął przez dziecinny pokój, porywając kartki z przemówieniem Piotra i rozrzucając je wokół. Światło bijące z szafy stawało się coraz jaśniejsze, a obrazy coraz bardziej wyraźne. Słychać było krzyki, płacz przez sen i odgłos ostrego drapania, jakby chrobot żelaza po drewnie.

Kołdry przykrywające dzieci poderwały się w powietrze i odfrunęły.

Pokój ogarnęła ciemność.

* * *

Piotr męczył się zawzięcie, ale był już u kresu sił. Bez swojego przemówienia czuł się jak żeglarz zagubiony na morzu. Wyczuwał niepokój słuchaczy i ogarniała

go rozpacz. Cała uroczystość na cześć Wendy zaraz się zawali. I wszystko przez niego.

Przerwał gwałtownie w pół zdania, pomyślał: „Niech się dzieje, co chce” i wyprostował się. Publiczność nieco przycichła.

— Panie i panowie, jak na jeden wieczór już dostatecznie uraczyłem was retoryką. Niech mi będzie wolno powiedzieć o Wendy Darling jeszcze jedno. Kiedy przygarnęła mnie przed tyłu laty, byłem nikim, sierotą. Nauczyła mnie czytać i pisać, bo nie umiałem ani jednego, ani drugiego. Znalazła ludzi, którzy zechcieli zostać moimi rodzicami, ponieważ nie miałem własnych, ale nawet wówczas nie przestała troszczyć się o mnie i mnie kochać.

Zapanowała zupełna cisza. Wszyscy słuchali.

— Zrobiła dla mnie tak wiele. Poślubiłem jej wnuczkę, Moirę. Moje dzieci ubóstwiają Wendy. Uważają, że ona potrafi wszystko. Chcą nawet, żeby nauczyła je fruwać. Dała mi życie i, Bóg mi świadkiem, dała je tak wielu innym dzieciom. Oto jej osiągnięcia, którym przybyliśmy dzisiaj złożyć hołd.

Przerwał na chwilę.

— Jeśli zatem Wendy znaczy dla was tak wiele jak dla mnie, jeśli pomogła wam w życiu tak bardzo jak mnie, proszę was, abyście powstali. Wstańcie, jeśli wasze życie zmieniło się dzięki tej wspaniałej kobiecie — gwałtownie podniósł do góry ręce. — Powstańcie razem ze mną, aby ją uczcić!

Wstawali z początku nieśmiało, pojedynczo, ale po chwili całymi grupami, aż w końcu stali już wszyscy i wiwatowali. Cała sala ożyła od dźwięków hucznej owacji, a w środku stał dumnie Piotr i na jego chłopięcej twarzy jaśniał szeroki uśmiech. Spojrzał na Moirę i ich oczy spotkały się; był zaskoczony głębokim wzruszeniem, jakie w nich dostrzegł.

Powoli wstała też Wendy ze łzami w oczach. Skłoniła się nieśmiało zebranym, składając przed sobą ręce.

Wózek stojący przy ścianie obok estrady został wciągnięty na środek. Spoczywał na nim model dodatkowego skrzydła szpitala Great Ormond, a wzdłuż biegł transparent z napisem: „Dom Dziecka Wendy Darling”. Szarfę uniesiono w górę, a Piotr podeszedł do Wendy, żeby zaprosić ją do ceremonii przecięcia wstęgi. Oklaski się wzmaczały.

Nagle podmuch wiatru otworzył szeroko wysokie okna i dotarł do estrady. Wendy zachwiała się i Piotr szybko ją podtrzymał. Podeszła do nich Moira z nożycami. Wstęga łopotała na wietrze. Kołysały się żyrandole.

Wendy obejrzała się niespokojnie za siebie na otwarte okno, sięgnęła po nożyce i przecięła wstęgę. Zgromadzeni podnieśli wrzawę i oklaski wybuchły na nowo. Piotr uśmiechnął się i uściskał swoją babcie, a potem odwrócił się i objął Moirę.

Dlatego właśnie nie zauważył, że w oczach Wendy pojawił się nagle strach.

Opowieść Wendy

Rolss-royce sunął powoli przez mrok, a śnieg pod jego kołami zamieniał się w błotnistą maź. Piotr oparł głowę na miękkiej skórce fotela i zamknął oczy. Wieczór wypadł dobrze. Był zadowolony ze swojego wystąpienia; słowa przemówienia przysły mu jakby z wnętrza, z miejsca, którego nie odwiedzał już bardzo dawno. Z zaskoczeniem odkrył, że ono wciąż istnieje.

— Jesteśmy w domu — szepnęła mu do ucha Moira.

Wyprostował się i otworzył oczy; wokół ciągnęły się domy Ogrodów Kensingtonskich ze spadzistymi dachami, porośniętymi bluszczem ścianami, rozłożystymi, starymi drzewami i światłami przeciskającymi się przez zamknięte okiennice. Rolls zatrzymał się przed numerem czternastym, a na jego szybie zaczęły topnieć płatki śniegu. Piotr otworzył tylne drzwi i wysiadł przeciągając się. Po chwili z samochodu wyszła Moira. Uśmiechnęli się do siebie, a ona dotknęła jego policzka.

Piotr pomógł wsiąść Babci Wendy. Na jej twarzy widać było zmęczenie; przeżycia wieczoru dały jej się we znaki. Ale mimo to uśmiechała się jak mała dziewczynka.

— Nie było tak źle, Wendy Angelo Moiro Darling — powiedział łagodnym głosem Piotr.

— Jak na staruszkę — odparła.

Piotr potrząsnął głową.

— Nie jesteś staruszką. Byłaś wspaniała

— Ty też wypadłeś nieźle... chłopcze.

Rzucił jej ostre spojrzenie, ale ona patrzyła gdzie indziej, a jej zmęczone oczy były jakby nieobecne. Wziął ją pod rękę i zaczęli iść pochylając nieco głowy; pod ich stopami skrzypiał świeży śnieg.

Moira nachyliła się z drugiej strony.

— Cieszę się, że w końcu jesteś zadowolony...

Zatrzymała się nagle przerywając w pół zdania.

— Piotrze?

Piotr podniósł wzrok. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte i drobiny śniegu prosiły do środka. W świetle lamp ganku Piotr dostrzegł głęboką rysę na

drzwiach jak gdyby ktoś przeciągnął po drewnie śrubokrętem. Babcia Wendy wzdrygnęła się i zamarła.

— Dzieci — wyszeptała z trudem.

Piotr puścił jej ramię i wszedł do środka. W domu panowała głucha ciemność. Usłyszał, jak Moira próbuje włączyć światło, ale na próżno. Nie było prądu.

— Tam za tobą, w lichtarzu, jest świeca — powiedziała Babcia Wendy.

Piotr przesunął się wzdłuż ściany, znalazł świecę i wyjął zapalniczkę. Błysnął płomyk i knot świecy zaczął się palić.

— Jack! Maggie! — zawołała Moira.

Płomień świecy rozproszył ciemność na tyle, że mogli dostrzec, iż rysa z drzwi wejściowych ciągnie się głęboką, postrzępioną bruzdą przez cały korytarz i biegnie do góry wzdłuż schodów.

— Co się tu dzieje? — wyszeptał ledwie dysząc Piotr.

Weszli na schody, przodem Piotr ze świecą w ręku, za nim Moira i Babcia Wendy. Gdzieś z góry dobiegł ich odgłos skrobania i szczekania Nany.

Piotr rzucił się naprzód i niemal nadepnął na Lizę, która leżała nieprzytomna na schodach. Pochylił się pospiesznie nad nią i dostrzegł na jej czole ślad po uderzeniu. Liza zamrugwała oczami i jęknęła cicho.

— Wezwij karetkę — zakomenderował przez ramię Piotr i wbiegł schodami na korytarz, a serce waliło mu jak młotem. — Co się tu wydarzyło? Gdzie są dzieci?

Zobaczył przed sobą Nanę, która drapała zawzięcie w drzwi dzieciennego pokoju, szczekając już niemal bez tchu. Miała zmierzwione i mokre futro, a z jej szyi zwisał urwany łańcuch.

Rysa zaczynająca się na frontowych drzwiach urywała się przy wejściu do dzieciennego pokoju. Piotr wpadł do środka.

Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Łóżka stały pionowo, pościel wyrzucona była na ziemię. Wszędzie leżały porozrzucane zabawki i książki. Konik na biegunach przewrócony był na bok, a w szeroko otwartych oknach powiewały firanki.

Ani śladu Jacka i Maggie.

Dmuchał wiatr i świeczka zgasła. Piotr stał bez ruchu, patrząc tępo przed siebie i usiłując zrozumieć, co tu się stało. Nana zaczęła niespokojnie węszyć i skomleć. Pobiegnęła w stronę łazienki i chwyciła swoim wielkim pyskiem gałkę od drzwi, starając się je otworzyć.

Moira przyglądała się wyżłobieniu, po czym przeniosła wzrok na pusty pokój. Piotr słyszał jej jęk i łkanie. Podeszła do otwartego okna i wyjrzała przez nie.

— Jack! Maggie! Odpowiedzcie mi! — zawołała.

Piotr zbliżył się do okna i wychylił przez poręcz balkonu. Podwórze było okryte śniegiem i puste; spenetrował je wzrokiem, tłumiąc w sobie lęk i narastającą rozpacz.

— Jaaack! Maaaggie! — krzyknął.

— Piotrze! — rozległ się zdławiony głos.

W drzwiach stała Babcia Wendy wpatrując się w coś. Wyciągnęła powoli rękę, wzięła kawałek papieru przyszpilony złowieszco wyglądającym sztyletem i bez słowa podała kartkę Piotrowi.

Pismo było eleganckie i staranne; widać było, że wykaligrafowała je wprawna ręka.

*Drogi Piotrusiu, jesteś proszony o przybycie na
życzenie twoich dzieci.*

Najszczersze wyrazy szacunku

Kapitan Jak. Hak.

Piotr przeczytał raz jeszcze na głos i z niedowierzaniem wbił wzrok w kartkę. Co się tu, do diabła, dzieje?

Za jego plecami znenacka zagdakał ostry, przenikliwy głos; Piotr podskoczył ze strachu. Odwracając się uderzył głową w ramę okienną.

Koło domku dla lalek przycupnął Piszczaka; rzadkie włosy sterczały mu na wszystkie strony, a jego złożone dłonie przypominały zwierzęce pazurki. Oczy lśniły mu szalonym blaskiem, zwiotczała twarz wykrzywił grymas.

— Musisz polecieć! — zasyczał. — Musisz ratować Jacka i Maggie! wstrzymał na chwilę oddech. Haczyk wrócił!

Słyszając to Wendy wyciągnęła kurczowo rękę w stronę Piotra, wywróciła białkami oczu i upadła na podłogę.

* * *

W ciągu pół godziny na miejscu była policja i naprawiono światło. Liza siedziała przy stole kuchennym przykładając do czoła torebkę z lodem i opowiadając kolejny raz dwóm nieco znudzonym policjantom, że niczego nie widziała i że będzie tego żałować do końca swoich dni. Karetka czekała cały czas przed domem, a siedzący w niej ludzie na próżno czekali, by zabrać Lizę do szpitala.

— Te małe dzieciaczki potrzebuje mnie teraz! Powinam być z nimi! Wołałabym sto razy jeszcze dostać tak po łbie, żeby ino były tutaj!

Piotr stał przy frontowych drzwiach, obejmując Moirę i patrząc na światła policyjnych samochodów i sąsiednie domy. Wszyscy wokół zbudzili się i wyglądali zaciekawieni przez okna. Przy domu Darlingów stała drabina, na którą wdrapał się policjant, żeby sprawdzić z zewnątrz okna dziecinnego pokoju.

Koło Piotra pojawił się inspektor Good, który właśnie zakładał już na siebie płaszcz. Był zażywnym człowiekiem o okrągłej twarzy, łagodnych oczach i zmęczonym głosem. Podchodząc uśmiechnął się blado.

— Proszę państwa, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Założyliśmy podsłuch telefoniczny na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił, a dwóch moich najlepszych ludzi zostanie w pobliżu i będzie do waszej dyspozycji.

Poprawił sobie płaszcz na przygarbionych ramionach.

— Nie ma śladów włamania. Zamki są nienaruszone. Nie ma niczego nadzwyczajnego oprócz tej dziwnej rysy i śladów psich pazurów. Nawet okna na górze są w porządku. Musiały zostać otwarte od wewnątrz.

Piotr potrząsnął z uporem głową.

— Zamykałem je przed wyjściem.

— Dobrze, proszę pana, niech tak będzie — Good pogrzebał w kieszeni i wyjął plastikową torebkę z notatką i sztyletem.

— Ludzie w Scotland Yardzie przyjrzą się temu. Jeśli wolno zapytać, czy służył pan kiedyś w wojsku? Nie pamięta pan stamtąd żadnego Jak. Haka?

Piotr pokręcił przecząco głową.

— Inspektorze — powiedziała z wahaniem Moira. — To może mieć związek z przeszłością mojej rodziny. Moja babcia to Wendy z książki, którą napisał sir James Barrie.

Good przyjrzał się jej.

— Sir jaki? Niech pani będzie uprzejma powtórzyć.

— Sir James Barrie, inspektorze. On napisał *Piotrusia Pana*. Był starym przyjacielem naszej rodziny. Kiedy Babcia była małą dziewczynką, napisał dla niej baśnie o jej zmyślonych przygodach.

Good kiwnął protekcyjnie głową.

— Dobrze, a zatem notatka może mieć z tym związek, czy tak? Gdyby to był tylko kawał, czyjs wygłup związany z przeszłością pani rodziny i tak dalej, to pół biedy. Ale myślę, że nie powinniśmy tego tak lekko traktować.

Nagle za jego plecami zapaliły się lampki na choince stojącej w gabinecie. Wszyscy troje odwrócili się i popatrzyli w tamtą stronę bez słowa.

Inspektor Good odchrząknął.

— Święta jakby, co roku przychodziły wcześniej, prawda? — wymamrotał i na chwilę stracił concept.

Potem uśmiechnął się i dotknął runda swojego kapelusza.

— Proszę postarać się zasnąć na trochę. Z rana musimy z państwem znowu porozmawiać. I proszę się nie martwić. Zrobimy wszystko, co się da.

Skinął im lekko głową i wyszedł, pociągając za sobą umundurowanych policjantów. Trzasnęły drzwi od samochodu i zgasł policyjny kogut na dachu. Piotr zamknął drzwi i wprowadził wolno Moirę do gabinetu.

Przy oknie stał Piszczalka, wpatrując się w jakiś nieokreślony punkt.

— Zapomniałem, jak się fruwa — szepnął.

Jego głos zaszeleścił jak zeschnięte liście.

— Wszyscy zapomnieliśmy. Nie ma już szczęśliwych myśli. Wszystko przepadło, przepadło. . .

Moira wysunęła się z objęć Piotra i zaczęła machinalnie robić porządki w pokoju; przestawiała jakieś rzeczy, poprawiała, odkurzała. . .

— Moiro — odezwał się łagodnym głosem Piotr.

Nie odwróciła się i ze zwieszoną głową nadal oddawała się swojemu bezsensownemu zajęciu. Była właśnie przy półkach z książkami, kiedy nagle strąciła coś na podłogę. Wszyscy podskoczyli ze strachu. Moira upadła na krzesło i wybuchnęła nieopohamowanym płaczem.

— Piotrze, ach, Piotrze — szlochała.

Podszedł do niej i pogłaskał ją po głowie, ledwie tłumiąc własne łzy i poczucie bezsilności. Spojrzał na podłogę. U jego stóp leżał roztrzaskany stateczek w butelce. Oszołomiony, pochylił się i podniósł go.

Była to brygantyna. Na jej maszcie tkwiła maleńka, czarna flaga z trupią czaszką i puszczelami, godłem pirackiego okrętu.

* * *

W chwilę później Piotr i Moira poszli do pokoju Wendy, zobaczyć, jak Babcia się czuje. Kiedy zemdląca, położyli ją do łóżka, mówiąc później inspektorowi, że na rozmowę z nią musi poczekać do rana. Szli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Piotr wciąż nie potrafił pogodzić się z faktem, że coś stało się jego dzieciom. To było nie do pomyślenia. Przez całe ich życie, całe ich dzieciństwo, robił wszystko, co mógł, żeby je chronić, żeby były bezpieczne. A teraz ta sprawa z Piotrusiem Panem. To jakiś obłąd. Tutaj, w domu Babci Wendy, najbezpieczniejszym miejscu na świecie. Jak mógł przewidzieć coś takiego?

Czuł się w środku jak martwy i było to najbardziej przerażające uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Otworzyli drzwi do pokoju Babci Wendy i zajrzeli do środka. Starsza pani siedziała w łóżku i patrzyła na nich.

— Czy policja już poszła? — zapytała spokojnie.

Moira kiwnęła głową.

— Tak — sapnął Piotr.

Na chwilę zapanowała niezręczna cisza.

— Chodźcie, siadajcie przy mnie — poprosiła Wendy.

Weszli do pokoju. Paliła się tam tylko jedna lampa stojąca przy łóżku, a jej światło ocieniały frędzle abażura. Piotr usiadł obok Wendy na łóżku. Moira poprawiła najpierw starannie kołdrę, a potem usadowiła przy nim.

— To czekanie jest bardzo nieprzyjemne — powiedziała Wendy wpatrując się przenikliwie w Piotra.

— Wiem, Babciu. Postaraj się nie... — nie potrafił znaleźć odpowiednich słów i zrezygnował. — Dzisiaj nie możemy już nic zdziałać, nic, oprócz...

Nie chciał powiedzieć „Czekania”.

— Policja robi wszystko, co w jej mocy.

— Czyli nic — powiedziała kategorycznie. — Oni nic tu nie pomogą.

— Babciu, nie możesz myśleć...

— Moiro — Wendy odwróciła wzrok od niego. — My Anglicy w trudnych chwilach najlepiej radzimy sobie przy filiżance herbaty. Czy byłabyś tak miła?

Moira uśmiechnęła się, jej łzy zniknęły i twarz wypogodziła się.

— Tak, oczywiście, Babciu.

— Podgrzej czajnik. Piotrusiu, ty zostań ze mną.

Piotr patrzył, jak Moira wychodzi z pokoju, zgrabna i piękna, jak gdyby powróciła jej odrobina pewności siebie. Przygładził palcami swoją brązową czuprynę, a na jego chłopięcej twarzy widać było teraz zmęczenie.

— Nie martw się, Wendy. Nie zostawię cię.

Rzuciła mu świdrujące spojrzenie.

— Ach, Piotrusiu, przecież zawsze tak robiłeś. Nie pamiętasz? Każdego roku zostawiałeś mnie samą. A kiedy wracałeś, nie pamiętałeś niczego. A w końcu w ogóle o mnie zapomniałeś.

Jej słowa zabrzmiały tak surowo, że Piotr natychmiast stał się uległy.

— Nie denerwuj się, Babciu, może nie powinnaś się męczyć mówieniem.

— Nie myśl sobie, że bredzę, Piotrusiu — ścisnęła go za rękę. — Słuchaj mnie uważnie. To, co przydarzyło się twoim dzieciom, dotyczy tego, kim i czym jesteś.

Cofnęła rękę i pokazała na zaczytany egzemplarz *Piotrusia Pana* leżący na nocnym stoliczku.

— Podaj mi tę książkę.

Piotr się zawahał.

— Nie wydaje mi się... Chyba lepiej będzie, jeśli odpoczniesz teraz, Babciu. Zacisnęła wargi i przybliżyła twarz.

— Zrób to, o co cię proszę, Piotrusiu. Już czas, żebym ci coś powiedziała, czas, abyś się dowiedział.

— O czym dowiedział? O czym?

Wendy bez słowa czekała, aż poda jej książkę. Potem otworzyła ją i zaczęła czytać: „Wszystkie dzieci, prócz jednego, dorastają”. Spojrzała na niego.

— Tak właśnie sir James zaczął opowieść, którą napisał dla mnie... bardzo dawno temu. Były Święta Bożego Narodzenia, tak, roku 1910, i miałam prawie jedenaście lat. Dziewczynka stawiała się kobietą, jakby się znalazła pomiędzy dwoma rozdziałami księgi. Jak daleko sięgasz pamięcią?

Piotr natychmiast zaniepokoił się; odwrócił od Wendy i spojrzał na ocieniony pokój, jak gdyby tam miała znajdować się odpowiedź. Sapnął z irytacją:

— Nie wiem. Pamiętam sierociniec przy Great Ormond...

— Ale wtedy miałaś już dwanaście lat, prawie trzynaście. A wcześniej?
Piotr chciał, żeby Moira już wróciła. Spojrzał przez chwilę na Wendy i odwrócił się znowu. Starał się przypomnieć sobie, ale nie mógł.

— Wcześniej nic nie było.

Dłoń Wendy ścisnęła go znowu, mocno i nieustępliwie. Wbrew sobie Piotr obrócił się, by spojrzeć na nią.

— Zastanów się dobrze — ponagliła go.

Piotr westchnął ciężko.

— Było mi zimno, byłem sam. . . — urwał i zezłościł się. — Nie pamiętam! Nikt nie wie, skąd się wziąłem! Mówiłaś mi, że jestem sierotą. . .

— Ale to ja cię znalazłam — przerwała mu Wendy. — Ja — zaczerpnęła tchu, żeby się uspokoić. — Piotrusiu, musisz mnie teraz posłuchać. I uwierzyć. Ty i ja bawiliśmy się razem jako dzieci. Przeżyliśmy wspólnie wspaniałe przygody. Razem śmialiśmy się i płakaliśmy — przerwała na chwilę. — I fruwałam. Ale ja nie chciałam zostać na zawsze dzieckiem. Tak bardzo chciałam być dorosła i żyć w prawdziwym świecie. Chciałam też bardzo, żebyś i ty dorósł razem ze mną. Ale ty nie chciałeś. Bałeś się tego. A kiedy w końcu uznałeś, że jesteś już gotów, dla mnie było o pięćdziesiąt lat za późno. Dla mnie i. . . dla nas — jej twarz zmarszczyła się w smutnym, zmęczonym uśmiechu. — Byłam już stara, Piotrusiu. A ty, ty dopiero stawałeś się dorosłym człowiekiem.

Piotr patrzył na nią, jakby postradała zmysły, o co, prawdę powiedziawszy, nigdy by jej nie podejrzewał.

— Dobrze, po prostu odpocznij sobie, Babciu. Po szukam zaraz czegoś na uspokojenie. . .

Ale Wendy przytrzymała go.

— Kiedy byłam mała, żadna inna dziewczynka nie cieszyła się takimi twoimi względami jak ja. Och, kiedy brałam ślub, byłam niemal gotowa zapomnieć o swojej przysiędze i czekałam, aż zjawisz się niespodzianie w kościele. Miałam wpiętą różową atlasową wstążkę. Ale ty nie przyszedłeś. Nie mogłam cię mieć dla siebie.

Piotr usiłował bez skutku się uwolnić. Czuł, że coś burzy się w nim w środku, coś, czego nie mógł ogarnąć pamięcią. Zmagał się z tym, nie wiedząc, czy chce to przywołać, czy odepchnąć.

— Kiedy przyszedłeś po raz ostatni i przykrywałam cię kołderką, już byłam starszą panią, Babcią Wendy, a w pokoju dziecinnym spała moja trzynastoletnia wnuczka. Twoja Moira. I kiedy ją zobaczyłeś, postanowiłeś nie wracać do Nibylandii.

Piotr szeroko otworzył oczy.

— Co? Dokąd nie wracać?

— Do Nibylandii, Piotrusiu.

Piotr skinął natychmiast głową uśmiechając się sztucznie.

— Zawołam Moirę. Moira! — krzyknął na cały głos.

Babcia Wendy nachyliła się tuż nad nim.

— Piotrusiu, próbowałam rozmawiać z tobą wiele razy. Ale widzę, że wszystko zapomniałeś. Pomyślisz sobie, że jestem zwariowaną staruszką u kresu swoich dni. Ale teraz musisz się dowiedzieć.

Wzięła książkę i stanowczym ruchem wcisnęła mu ją w rękę.

— Te opowieści są prawdziwe. Przysięgam ci. Przysięgam na wszystko, co kocham. I teraz on wrócił, żeby się zemścić. Dla niego walka się nie skończyła, Piotrusiu — on chce, żebyś wrócił. On wie, że pójdziesz za Jackiem i Maggie na koniec świata i jeszcze dalej, i na miły Bóg, musisz znaleźć jakiś sposób, żeby to zrobić! Tylko ty możesz uratować twoje dzieci. Nie policja. Ani ktokolwiek inny. Tylko ty. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby tam wrócić. Musisz sobie przypomnieć, Piotrusiu — czy nie wiesz, kim jesteś?

To powiedziawszy puściła go i wyjęła mu książkę z rąk. Kartkowała ją pośpiesznie i nagle się zatrzymała. Stuknęła palcem w jedną ze stron.

Książka była otwarta na rysunku, na którym Piotruś Pan stał z rozstawionymi stopami, trzymał ręce na biodrach i przekrzywiał głowę, jakby miał zaraz zapaść.

Wendy czekała, wypatrując w jego oczach jakiegoś przebłysku pamięci. Niestety, na próżno.

Dzwoneczek

Kiedy Moira wróciła z filiżanką herbaty dla Wendy, Piotr natychmiast wstał i nie oglądając się wyszedł pospiesznie z pokoju; chciał uciec za wszelką cenę i mruzczał pod nosem, że musi jeszcze raz coś sprawdzić. Sam zdziwił się swoją reakcją. Czuł, że nie może zaczerpnąć tchu, jakby się dusił. Przechodząc korytarem ze światła w mrok z trudem powstrzymywał się od tego, by nie biec.

Czy wszyscy oszaleli?

To już było bardzo niedobrze, że ktoś, kto porwał jego dzieci — a Piotr był już teraz absolutnie przekonany, że ma do czynienia z porwaniem — opętany był tą idiotyczną opowieścią o Piotrusiu Panie. Ale żeby jeszcze Babcia Wendy wierzyła w to i wymyślała jakieś historie sklecone z rodzinnej przeszłości i bajek tak, tego już było doprawdy za wiele. Nie przypuszczał, że stan umysłowy Wendy tak bardzo pogorszył się w ostatnich latach. A może to tylko rezultat napięcia po tym, co się stało.

Piotr zwolnił kroku i obmacał rękami całe ciało. Po chwili zatrzymał się, oparł o ścianę i objął się w pól, jak gdyby ze strachu, że zaraz rozpadnie się na kawałki.

Co tak naprawdę się tu wydarzyło? Kto to zrobił? To musiał być jakiś jego osobisty wróg, ktoś, kto go znał i nienawidził. W innym przypadku list mógłby być skierowany równie dobrze do Moiry, czy do państwa Banningów, a nie do niego. Skrzywił się. To jakiś dowcip. Jak. Hak pisze do niego. Uderzył bezsilnie pięścią w dłoń. To mógł być jakiś jego konkurent, zły, że to Piotr otrzymał ten kontrakt; porwał dzieci, żeby zmusić go do rezygnacji.

Zatrząśł się. Co powinien zatem robić? Co mógłby zrobić?

Odepchnął się od ściany i poszedł dalej, wyczerpany psychicznie i fizycznie. Po drodze zdał sobie sprawę, że ma rozpiętą kamizelkę, a spod niej wystaje porozpinana koszula. Wygląda okropnie. Powinien się trochę przespać. Powinien wrócić do Moiry i Wendy, i powiedzieć im, że wszystko będzie dobrze. Niestety, nie bardzo mógł w to uwierzyć.

Zacisnął mocno oczy. Jack i Maggie — czy kiedykolwiek sobie wybaczy?

Nagle znalazł się przy drzwiach dziecinnego pokoju. Przez chwilę przyglądał się im, rysie biegnącej wzdłuż ściany, dziurze po nożu, który przyszpilał tę

przeklętą kartkę. Dotknął śladów palcami, jak gdyby chciał w ten sposób odkryć kryjącą się za nimi prawdę.

Potem pchnął drzwi i wszedł do środka.

Pokój wyglądał tak samo jak przedtem, ciemny, pusty i przerażający. Okna były znów zamknięte, koń na biegunach ustawiony, łóżka i pościel na swoim miejscu. Jak zwykle paliły się nocne lampki, a ich spokojne światło rozpraszało mrok. Zabawki i książki leżały jeszcze porozrzucane na podłodze. Bagaż dzieci został złożony za biurkiem.

Piotr patrzył przez chwilę nieprzytomnym wzrokiem na pokój, a potem podszedł do okna i otworzył je; firanki zatańczyły na wietrze i poczuł na twarzy świeży powiew nocy. Spojrzał w niebo, na którym zza chmur znów ukazały się gwiazdy.

Piotr pomyślał nagle o wszystkich zaprzepaszczonych okazjach, aby być razem z Maggie i Jackiem, o wszystkich szansach, które przeciekły mu przez palce i o nie dotrzymany obietnicach. Mecz Jacka — czyż nie zjawił się za późno? Przedstawienie Maggie — przyszedł, ale ile uwagi jej poświęcił? Za każdym razem, kiedy oni chcieli się z nim bawić — czyż nie był zawsze zbyt zajęty?

„Gdybym miał jeszcze jedną szansę” — pomyślał z rozpaczą. — „Gdybym tylko mógł mieć ich znów przy sobie. . .”

Do oczu napłynęły mu łzy. Usiłował je powstrzymać, ale na próżno; w końcu poddał się i wybuchnął płaczem, pochylając głowę; drżały mu ramiona, a ręce wpijały się do bólu w okienną ramę.

Nagle musnął go po twarzy rąbek firanki. Piotr odtrącił go z irytacją i znów spojrzał w niebo. I wtedy zobaczył światło.

Z nieba ku ziemi pędziła cudowna, tańcząca iskra. „Spadająca gwiazda” — pomyślał, ale zaraz spostrzegł, że światełko zmierza wprost ku niemu. Popatrzył z niedowierzaniem i zaczął się cofać. To coś wyglądało jak kometa spadająca z Mlecznej Drogi, rozszarżona do białości głowa z ognistym ogonem. Przybliżała się coraz szybciej, szybciej niż myśl. Piotr otworzył szeroko oczy.

Światło gwałtownie wpadło przez otwarte okno. To nie była kometa, lecz coś o wiele mniejszego, choć mimo wszystko niesamowitego, ponieważ wyglądało na żywą istotę. Przeleciało kilka razy po pokoju jak szalone, zrzucając obrazy ze ścian, wirując we wszystkie strony, aż w końcu śmignęło w stronę Piotra. Zaczął cofać się i oganiać rękami, wypatrując jednocześnie drzwi, żeby uciec. Dostrzegł stos czasopism i chwyciwszy jedno z nich zwinął je w trąbkę i próbował pacnąć światełko. „Jakiś zwariowany robaczek świętojański” — bąknął pod nosem Piotr, na wpół przytomny ze zdenerwowania. Gryzie, a może żądli? Co jeszcze wydarzy mu się tej nocy?

Wciąż cofał się, a światełko tańczyło wokół niego, jak gdyby chciało mu dokuczyć; nagle potknął się o jedną z leżących na podłodze lalek i upadł wypuszczając z rąk gazetę. Bezbronny zaczął pełznąć do tyłu na czworakach. Światełko

przybliżało się i oddalało, skakało w górę i w dół, niestrudzone w swojej pogoni za nim.

W końcu Piotr znalazł się w samym kącie pokoju, obok domku dla lalek i konia na biegunach, skąd nie miał już dokąd uciekać. Rozpłaszczył się na ścianie ledwo dysząc.

Światelko znów zbliżyło się i oddaliło, po czym powoli przysiadło na krawędzi dziecięcego biurka. Kiedy znieruchomiało, zaczęło przybierać wyraźny kształt. Piotr wpatrywał się w maleńką istotkę. Kobieta, dziewczynka, ni to ni owo. Jej ubranko wyglądało tak, jakby uszyte było ze światła księżycy, porannej rosy i opadłych liści. Błyszczało jak brylant i leżało na niej znakomicie. Wokół jej spiczastych uszu zawijały się włosy mieniające się kolorami wschodu i zachodu słońca, czerwieni i złota, i tak jasne jak słońce w letnie południe.

Wyprostowała się i zaczęła wędrować po biurku przeskakując nad ołówkami i kredkami, przebiegając zwinnie przez poduszkę do tuszu, aż w końcu zeskoczyła Piotrowi na kolano. Piotr wpatrywał się w nią skamieniały jak posąg. To małe stworzenie miało skrzydła! Maleńkie skrzydełka jak babie lato! Tajemnicza istotka przemaszerowała pewnym krokiem po jego nodze, a potem po jego wymiętej, białej koszuli, zostawiając za sobą malutkie czarne ślady od tuszu. Kiedy dotarła do jego podbródka, zafurkotała skrzydełkami i zawisła w powietrzu przed jego nosem. Nachyliła się nieco i powąchała go.

— Ach, to jednak ty — oznajmiła nieco zdziwiona. — To ty. Duży ty. Nie byłam pewna. Myślę, że to wcale nie tak źle, że jesteś duży — i tak byłeś zawsze ode mnie większy. Nie aż tyle oczywiście — spojrzała w dół na jego brzuch. — Być może znaczy to, że bawisz się teraz jeszcze weselej.

Piotr wcisnął głowę między ramiona. Próbował jednocześnie oddychać i nie oddychać. Paraliżował go strach.

— Moira? — udało mu się wyszeptać.

Małe stworzonko płąsało wokół, wcale go nie słuchając.

— Och, Piotrusiu, jak myśmy się wspaniale bawili — cóż to były za czasy, co za piękne czasy! Czy pamiętasz, jak było kiedyś?

Piotr z ogromnym wysiłkiem starał się zachować przytomność. Wziął głęboki oddech i przemógł strach.

— Ty jesteś... ty jesteś wró... wró...

— Tak, wróżką — przyznała mu rację i pogładziła się z zadowoleniem po swoich migocących włosach.

— Choch...

— Chochlikiem — odparła z szelmowskim uśmiechem. — I jeśli małe jest piękne, to jestem najmniejsza, Piotrusiu Panie.

Piotr zbladł.

— Jestem Piotr Banning — poprawił ją.

Pociągnęła nosem.

— Piotruś Pan.
— Piotr Banning.
— Pan.
— Banning.
Wzięła się pod boki i zlustrowała go od góry do dołu.
— Tłusty, stary Pan.
— Uhm. . . tłusty, stary Banning — próbował się nerwowo uśmiechnąć.
Wróżka zacisnęła usta uznając sprawę za zakończoną.
— Niech ci będzie, ale kimkolwiek jesteś, to wciąż ty. Tylko jedna osoba ma taki zapach.
Piotr z oburzeniem zamrugł oczami.
— Jaki zapach?
Twarz wróżki rozjaśniła się w uśmiechu.
— Zapach kogoś, kto dosiada wiatru. Zapach setek letnich pór przespanych na drzewach, zapach przygód z Indianami i piratami. Czy nie pamiętasz, Piotrusiu? To był nasz świat i mogliśmy robić wszystko, na co mieliśmy ochotę. To było wspaniałe, bo mogło to być cokolwiek, ale zawsze my to robiliśmy!
Podleciała, aby dotknąć jego twarzy i wzdrygnęła się.
— Au! Coś szorstkiego, ostrego!
— To zarost — powiedział głucho Piotr.
Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. „No i w końcu stało się — mam rozstrój nerwowy”.
Nagle poczuł szarpnięcie za węzeł krawata i otworzył oczy. Wróżka, z niewyłąką jak na takie maleństwo siłą, postawiła go na nogi i ciągnęła w stronę otwartego okna.
— Chodź ze mną, a wszystko będzie dobrze — powiedziała.
Piotr nie słuchał.
„A może dostałem zawału i umieram. Mam doznania pozacielesne. Płynę ku białemu światłu bijącemu z. . . nie wiem skąd. Proszę bardzo, zupełnie porzuciłem swoje ciało”. Za sobą dostrzegł domek dla lalek.
— Widzisz, to jest dom Babci Wendy, Kensington, numer czternasty, o tutaj. Ale zaraz, czy tam, na podłodze, to nie moje stopy? O, mój Boże. Co się dzieje? Gdzie my idziemy?
Wróżka zaśmiała się wesoło.
— Ratować twoje dzieci, oczywiście.
Piotr otworzył oczy.
— Zaczekaj! Skąd wiesz o moich dzieciach?
Roześmiała się znów.
— Każdy wie! Są u kapitana Haka i teraz musisz walczyć z nim, żeby je odzyskać. Lećmy, Piotrusiu Panie!

Puściła go i zaczęła fruwać koło jego twarzy, dmuchając w złożone dłonie, a drobiny srebrnego pyłku wzbijały się w powietrze i osiadały na nim. Piotr otrząsnął się i kichnął głośno, padając na tyłek. Podmuchinięciem wrzucił wróżkę przez celofanowe okienko do domku dla lalek. Wnętrze domku zajaśniało w mgnieniu oka, jak gdyby we wszystkich okienkach zapaliły się lampy. Piotr podczołgał się po podłodze i zajrzał do środka.

— A więc to prawda? — dobiegł go stamtąd głos. — Stałeś się dorosły. Zagubieni Chłopcy mówili mi o tym, ale nigdy w to nie wierzyłam. Wypiłam za ciebie truciznę, ty głupi ośle! Czy nic nie pamiętasz? Nazywałeś mnie Dzwoneczkiem!

Wybuchnęła płaczem, a jej szloch odbijał się echem od ścianek domku.

Piotr zaglądał w okienka.

— Jesteś tam, robaczku? — otworzył frontowe drzwiczki.

— Nie jestem robaczkiem — oznajmiła wściekle. — Jestem wróżką!

Leżąc policzkiem przy podłodze wykręcał szyję, żeby dojrzeć małe schody.

— Ja nie wierzę we wróżki!

Usłyszał jej westchnięcie.

— Za każdym razem, kiedy ktoś mówi: „Nie wierzę we wróżki”, jedna z nich pada martwa!

Cierpliwość Piotra wobec siebie i swoich pozacielesnych doznań, które najwyraźniej nie przypominały niczego w tym rodzaju, wyczerpała się.

— Nie wierzę we wróżki! — wrzasnął z całych sił.

Z domku dobiegł głośny trzask i u szczytu schodów pojawiła się omdlewająca wróżka. Próbowwała przytrzymać się ściany, ale po chwili runęła w dół po schodach i upadła jak martwa. Piotr zerwał się na równe nogi, a twarz mu poszarzała.

— O, mój Boże! Chyba ją zabiłem!

Zaczął gmerać przy składanej ścianie domku i otworzył ją zaglądając do środka.

Oczy wróżki drgnęły.

— Klaszcz, klaszcz w dłonie, Piotrusiu. To jedyny sposób, żeby mnie uratować. Klaszcz, Piotrusiu, klaszcz! Głośniej! Jeszcze głośniej!

Piotr klaskał najgłośniej, jak potrafił, i nagle w uszach rozbrzmiało mu dzwonenie, jak gdyby odezwały się tysiące srebrnych dzwoneczków.

— Ja klaszczę. Klaszczę! Co to za hałas? Czy to ty dzwonisz? Przestań, dobrze? Hej, co ty... czy nic ci nie jest?

Wróżka wstała nie zwracając na niego uwagi i udając, że całkiem o nim zapomniała. Otrzeptała się i weszła do kuchni, gdzie lalka Barbie podawała obiad innej lalce, Kenowi, który siedział przy stole. Wróżka przestawiła lalki i teraz Ken obsługiwał Barbie. Pokiwała głową i wróciła do Piotra.

— Wszystko w porządku, a teraz powiedz, kim jestem?

Piotr westchnął z rezygnacją.

— Jesteś... ach, kto to może wiedzieć?

Wróżka wzięła się pod boki i zatrzepotała skrzydełkami.

— Ty! Jestem pewna, że wiesz! Piotr potrząsnął głową.

— Dobrze — powiedział z irytacją. — Jesteś psychosomatyczną manifestacją moich niepokojów seksualnych — amalgamatem wszystkich dziewczynek i kobiet z mojego życia, które kochałem. Oto czym jesteś.

Wróżka zapłonęła ostrym światłem i wystrzeliła z domku jak z katapulty przelatując Piotrowi tuż koło nosa. Uciekając przed nią znów runął na ziemię; po chwili podniósł się na kolana obserwując, jak fruwa po całym pokoju. Kiedy próbował się podnieść na nogi, wróżka podleciała do drugiego końca dywanika, na którym stał, i pociągnęła go energicznie. Dywanik wyslizgnął mu się spod stóp i Piotr fiknął do tyłu kozła.

— Zgaduj jeszcze raz! — rozkazała wróżka.

Piotr potoczył się na spadochron od Maggie zaplątując się w jego wstążki i na koniec huknął głową w ścianę. Na chwilę stracił przytomność. Kiedy się ocknął, wszystko wokół wirowało.

— Widzę gwiazdy — wymamrotał.

— To bardzo dobrze, Piotrusiu! — wykrzyknęła triumfalnie wróżka przelatując koło jego nosa. — Druga gwiazda na prawo i prosto aż do rana! Nibylandia!

Zakręciła się w koło zbierając końce spadochronu, a potem podniosła go w górę jak bocian, który w bajkach przynosi dzieci. Uginając się pod ciężarem, wyleciała przez okno w mrok nocy, a niesiony przez nią w tobołku Piotr stawiał niewielki opór, bo nie wiedział, co się z nim dzieje. Wiatr smagnął zawiniątko zimnymi podmuchami.

— Czy jest tu jakaś łazienka? — wymamrotał Piotr.

Wróżka odezwała się dźwięcznym głosem.

— Nie martw się, za parę minut będziemy nad oceanem. Och, jaki ty jesteś ciężki!

Potrząsnęła mocno spadochronem.

— Au, moja głowa! — zajęczał Piotr. — Mój grzbiet!

Wzbijali się coraz wyżej oddalając się od domu Darlingów i od spadzistych dachów Kensingtonu.

— Zapomnij o swoim grzbiecie, Piotrusiu! — zawołała wróżka. — Teraz ważny jest grzbiet wiatru! Dosiądziemy go, jeśli się pospieszymy!

Kiedy odlatywali, małeńki bocian i wielkie dziecko, wróżka Dzwoneczek ze swoim nieświadomym niczego zawiniątkiem, przez kuchenne drzwi wyjrzała siwa, rozczochrana głowa. Piszczalka ubrany w kolorową pizamę spoglądał w niebo szeroko otwartymi oczami pełnymi podziwu i wspomnień lepszych czasów, uśmiechając się na widok znikającego na horyzoncie Piotra.

Wróżka leciała z Piotrem ponad domami i sklepami Londynu, ponad ulicami i latarniami, których światła odbijały się srebrnym blaskiem na dywanie świeżego

śniegu. Pod nimi, w ciemnym parku, pod jedną z latarni stała całując się jakaś para. Wróżka przeleciała nad nimi strząsając czarodziejski pył ze swych maleńkich skrzydełek. Zakochani unieśli się kilka metrów nad ziemię zawisając w powietrzu, ale nie zwrócili na to uwagi i objęli się jeszcze mocniej.

— Prosto aż do rana — szepnęła wróżka uśmiechając się.

Zaczęła wznosić się coraz wyżej niknąc razem ze swoim tobołkiem w mroku. Gdzieś z dala odezwał się Big Ben wybijając północ.

Powrót do Nibylandii

Lecieli aż do rana, przez nocne niebo, obok księżycy i gwiazd, przez krainę utkaną z dziecięcych marzeń i wspomnień z dzieciństwa. Piotr spał niemal całą drogę, wyczerpany wydarzeniami poprzedniego dnia i oszołomiony po uderzeniu w głowę, kiedy to dywan wyskoczył mu spod stóp. Od czasu do czasu wróżka ściągała końce spadochronu podrzucając go, ale Piotr przebywał w błogiej nieświadomości tego, co się z nim dzieje.

Kiedy zaczął się budzić, wstawał już świt. Piotr poczuł, że się kołysze (to bujał się spowijający go spadochron), a po chwili przez fałdy zawiniątka zaczęło docierać do niego delikatne, srebrne światło poranka. Nie wiedział jeszcze, gdzie jest. Wydawało mu się, że leży u siebie w domu! na wodnym materacu, kołysząc się w jego objęciach. Nagle doleciał go dziwny, ale ożywczy zapach morza i wodorostów niesiony łagodną, poranną bryzą. Obliznął usta, uśmiechnął się i znów zapadł w sen. Gdyby się obudził, mógłby sporo zobaczyć.

Wszędzie wokół rozciągał się ocean, ogromny i nieskończenie błękitny, a grzbiety jego fal błyszcząły jak diamenty rozrzucone w blasku świtu. Pośród lazurowej wody leżała wyspa, dziwna laguna o urwistych brzegach. Wyglądała jak raj z folderów turystycznych; sterczące szczyty, które sięgały przepływających obłoków, połacie dżungli, pocięte dolinami i wąwozami, zatoczki, w które wpadał ocean obmywając białe, piaszczyste plaże i skaliste brzegi.

Gdzie się spojrzę, same cuda. To chyba jakaś ogromna, stara sekwoja na skalistym szczycie tuż nad brzegiem wyspy? Czy to wodospady bijące ze skał? Czyżby tam w dole było jakieś miasteczko?

Czy to okręt piracki stoi na kotwicy?

Niestety, Piotr przegapił to wszystko.

Nagle poczuł, że spada — nie tak szybko, żeby się przestraszyć, ale dostatecznie prędko, aby zdać sobie z tego sprawę. „Pływam, pomyślał, przekręcając się w swoim łóżku, które wydało mu się jakieś dziwnie bezkształtne. A gdzie jest Moira?”

Spadał coraz szybciej. Czy ktoś tam brzęczy cieniutkim głosem? O co chodziło z tym za dużym ciężarem? Kto był za ciężki?

Spadanie zakończyło się mocnym wstrząsem, po którym raz jeszcze Piotr fiknął kozła. Poczuł, że jakoś dziwnie zaplątał się w pościel. Zacisnął oczy szukając rozpaczliwie swojej poduszki, która gdzieś zniknęła.

Kiedy wszystko uspokoiło się, powoli otworzył jedno oko, potem drugie. Zewsząd otaczała go biel. Piotr wzdrygnął się.

— Umarłem — wyszeptał z przerażeniem. — Nie żyję.

Ależ nie, po prostu leży pod pościelą i to wszystko. Westchnął z ulgą. Wszystko jest w porządku. Przełknął ślinę, żeby zwilżyć wyschnięte gardło, odrzucił zwoje pościeli i wyrzwał na zewnątrz. Patrzyło na niego wielkie oko.

— Moira? — zapytał z nadzieją w głosie.

Zamrugnął oczami, żeby otrząsnąć się ze snu. Oko było nadal tam, gdzie przedtem. A co gorsza, tkwiło w czymś, co wyglądało na olbrzymi łeb krokodyla. Ukradkiem przyjrzał mu się uważnie. Głowa krokodyla z kolei umieszczona była na ciele krokodyla, które ciągnęło się chyba w nieskończoność. Krokodyl stał tuż przed nim.

Piotr gwałtownie zaczerpnął powietrza i wstrzymał oddech. Zacisnął oczy i nakrył się z powrotem. Cały czas śni. Musi po prostu znaleźć sposób, żeby się obudzić.

Nagle dostrzegł, że w zwojach prześcieradła coś się gwałtownie poruszyło. Coś wspinało się na niego! Zamachał gwałtownie rękami.

— Nie rób tego! — syknął jakiś głos.

Małeńki sztylet wyciął okienko w prześcieradle i wyjrzała z niego wróżka.

— Och, nie — jęknął Piotr. — Tylko nie ty.

Przypomniało mu się — pojawienie się wróżki pod numerem czternastym na Kensingtonie, cała ta historia z Piotrusiem Panem, kapitanem Hakiem, Nibylandią i wszystkie inne bzdury.

Podrapał się w głowę.

— Co się ze mną dzieje? Gdzie ja jestem?

— Jesteś w Nibylandii, Piotrusiu — uśmiechnęła się uroczo.

— Tak, na pewno — westchnął ciężko.

— Przysuń się tutaj — przywołała go do wyciętego okienka. — Spójrz.

Piotr spojrzał, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Nad nim stał krokodyl z szeroko otwartą paszczą i połyskującymi zębami, pomiędzy którymi tkwił wielki budzik z wykrzywionymi wskazówkami i potrzaskanym cyferblatem.

Krokodyl spoczywał pośrodku placu leżącego na szerokiej plaży. Dookoła rozciągało się miasteczko piratów, zbudowane z wraków starych statków. Zewsząd sterczały fragmenty ich szkieletów, przypominające żebra dinozaura. Wzdłuż koślawych desek pokładów biegły poślaczane poręcze. Z masztów zwieszały się szyldy, oferujące barwnym językiem wszelkiego rodzaju usługi: DR SZASTPRAST — DORABIANIE KOŃCZYN NA POCZEKANIU. DZIERLATKI I WINO — PODAMY CI DO STOŁU. NOCLEGI — U NAS ŚMIAŁO ZŁÓŻ

SWE CIAŁO. Stłoczone wokół drewniane budy w jaskrawych kolorach wyglądały jak sterta rupieci na wielkim złomowisku.

I wszędzie byli piraci. Paradowali po drewnianych pomostach, wyglądali z drzwi i okien, pokrzykiwali zuchwale, obejmowali hoże kobiety i wznosili w górę szklanice. Mieli przy sobie pistolety, szpady, sztylety i kordelasy. Nosili trójgraniaste kapelusze i barwne chusty na długich włosach; w uszach i w nosach mieli kolczyki, a na palcach pierścienie; i oczywiście szarfy z najlepszego jedwabiu, buty z twardej skóry, peleryny, koszulki w pasy i spodnie obszerne jak wory na bieliznę.

Piotr przypatrywał się temu wszystkiemu, próbując się zorientować, o co tu chodzi. I nagle go olśniło. Rany boskie!

Tego już było za wiele. Sięgnął po swój przenośny telefon, ale oczywiście nie było go na swoim miejscu. Spojrzał na siebie. Miał na sobie smoking — spodnie, koszulę, kamizelkę i krawat. Przypomniała mu się uroczystość na cześć Wendy, porwanie, ta przekłeta wróżka. . .

Wziął głęboki oddech, oprzytomniał, wypłatał się z resztek spadochronu od Maggie (teraz go rozpoznał) i zrobił niepewnie kilka kroków. Nawet nie bardzo się zdziwił widząc, że stoi na jakimś rusztowaniu.

— Co ty robisz? — usłyszał gniewny głos wróżki. — Wracaj tu zaraz!

Piotr nie zwracał na nią uwagi. Wszystko ma przecież swoje granice. Krokodyl łypał na niego okiem, trzymając w rozwartych szczękach budzik. Piotr zamrugał oczami i potrząsnął głową, żeby pozbyć się tego koszmaru. Zrobił jeszcze parę nieśmiały kroków i mało nie spadł przytrzymując się w ostatniej chwili.

— Muszę wziąć jakiś proszek — zamruczał do siebie. — A potem poszukam budki telefonicznej.

Opanował się i nie zwracając uwagi na ostrzeżenia wróżki zbliżył się do drabiny opartej o rusztowanie, ostrożnie zszedł na dół i powłókł się w stronę drzwi najbliższego domu — innego wraku, a ściślej jego tyłu, to chyba nazywa się ru-fa czy jakoś tak? Zapach jedzenia i odgłos rozmów dodały mu sił. Obok niego przechodzili piraci, i kilku spojrzało za nim, ale nie zauważył tego.

Wszedł przez drzwi starego wraku. W środku było ciemno, duszno od dymu i strasznie ponuro. Ktokolwiek pracował nad wystrojem tego wnętrza, musiał sporo naczytać się Edgara Allana Poe. Kotły z gulaszem albo zupą wisały nad otwartym paleniskiem. Na długich, drewnianych stołach leżały kawałki mięsa i przybory kuchenne. Na wieszakach wisały garnki i patelnie. Jedyne światło w tej mrocznej speluncie padało od świec tkwiących w lichtarzach i obskurnych żyrandolach. Piotr zamrugał oczami. Musiał trafić do jakiejś podejrzanego garkuchni.

Po chwili zorientował się, że obserwuje go kilku piratów, którzy nawet prze-rwali w tym celu swoje zajęcia. Nie wyglądali przyjaźnie. Można powiedzieć, że wyglądali na poirytowanych.

— Czy przypadkiem nie ma tu... czy tu jest jakiś hm...? zaczął, ale nie dookończył.

Bezzębny pirat o szczurzej twarzy pokuśtykał w jego stronę i wbił w niego ciężki wzrok. Żuł pracowicie tytoń i brązowe smużki ściekały mu z kącików ust. Bez słowa zerwał Piotrowi krawat i zaczął go uważnie oglądać.

— No, jak to tak? — zaprotestował Piotr.

Pirat odwrócił się.

— Widzą mi się też jego lakierki, brachu.

Piotr zjeżył się.

— Zaraz, zaraz!

Z mroku wyłonił się kolejny pirat i podszedł do nich. Ten miał przepaskę na oku i wyglądał groźnie. Chwycił Piotra za koszulę i rzucił nim o ścianę. Piotr potoczył się prosto na wiszące garnki i patelnie, rozsypując je we wszystkie strony, po czym wylądował w objęciach ogromnego jak beczka kucharza piratów. Kucharz strząsnął go z siebie. Pierwszy napastnik (Piotr już wcześniej postanowił wnieść przeciw niemu skargę) podszedł do niego znowu, powalił pięścią na ziemię i zaczął ściągać mu spodnie.

Piotr wierzgał i krzyczał, ale niestety bez skutku.

Wtedy pojawiło się nie wiadomo skąd znajome światełko, porwało świeczkę z lichtarza i przytknęło do portek napastnika. Pirat zawył i cofnął się, klepiąc się po spodniach. Światełko wycelowało natychmiast w jego przepaskę na oku, odciągnęło ją od twarzy pirata jak procę i puściło. Przepaska wróciła na miejsce z takim trzaskiem, że pirat wpadł na wieszak kuchenny, który spadł i grzmotnął go w głowę. Pirat drgnął i znieruchomiał.

Piotr z trudem podniósł się, szukając wyjścia z tego domu wariatów, ale teraz zbliżał się do niego ogromny kucharz z rzeźnickim nożem w ręku. Piotr jęknął przerażony i oparł się o ścianę. Ale światełko pomknęło znów i wylądowało na zakrzywionej chochli wystającej z wazy. Łyżka wyskoczyła z wazy oblewając wrzącą zupą ogorzałą twarz kucharza. Ten zawył i cofnął się wpijając sobie palce w oczy, a potem ruszył przed siebie po omacku i potracił wazę wylewając resztę zupy na głowę.

W kuchni zapanował chaos. Pozostali piraci ruszyli na Piotra, groźnie pokrzykując i potrząsając kordelasami. Piotr powłókł się do drzwi wciąż przekonany, że śni, a jeśli nie, to trafił na plan jakiegoś filmu, ale nie chciał już więcej się narażać. Potknął się i piraci byli już prawie przy nim. Wtedy nadleciało światełko przecinając linę przytrzymującą szkielet statku, który runął na piratów, przygniatając ich na miejscu.

Piotr stał pośród szczątków ledwie łapiąc oddech i zastanawiając się, czy jest przy zdrowych zmysłach. Tuż przy nim wylądowało światełko. Zajaśniało na chwilę, po czym przygasło i pojawiła się znów wróżka z minionej nocy.

Piotr zaśmiał się, pewien już teraz, że zwariował.

— Pięknie! Jesteś fantastyczny, robaczku! Nie mogę uwierzyć swojej podświadomości. Myślałem, że jest nieco łagodniejsza — zaśmiał się głupkowato.

Wróżka zapłonęła groźnie.

— Przestań, Piotrusiu! Przestań i to zaraz!

Pomknęła w stronę jego ręki i dostrzegł błysk maleńkiego sztyleciku. Poczuł ostry ból i nagle stwierdził, że został skaleczony. Przyglądał się z niedowierzaniem swojej dłoni, obserwując, jak z ranki wypływa czerwona strużka krwi.

Otworzył szeroko oczy.

— Dlaczego to zrobiłaś? Ja krwawię! Tylko popatrz! Co to... co to jest... — zadrżał i zaczęło docierać do niego, że ból i krew są prawdziwe. — O, mój Boże, wyszeptał.

Światelko znów wylądowało obok niego i od razu przybrało postać wróżki.

— Czy nic ci nie jest? — w jej głosie słychać było prawdziwą troskę. — Piotrusiu, czy nic ci nie jest?

Piotr Banning podniósł na nią wzrok, ale tym razem nie pomyślał już, że ma przed sobą jakieś światelko, widmo czy twór swojej wyobraźni. W jednej chwili przysło złudzenie, że śni lub majaczy. Uleciało przekonanie, że zaraz obudzi się ze snu i znikła pewność, że świat jest taki jak zawsze, taki, jakim go dotąd znał.

Wpatrywał się w maleńką wróżkę i wiedział już, że ona jest prawdziwa.

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy? — wyszeptała.

Westchnął głęboko i skinął głową. Nie mógł mówić.

— Kim jestem, Piotrusiu?

Zdrętwiał. Jeśli to powie, jeśli przyzna, że...

— Powiedz to, Piotrusiu. Musisz to powiedzieć.

Udało mu się pokręcić głową.

— Nie mogę — wysapał.

Pochyliła się nad nim.

— Dlaczego?

— Bo jeśli to powiem, jeśli ja... — przełknął ślinę. — Jeśli ja to powiem, to będzie...

— Co?

— Prawda.

W jej chochlikowatych oczach pojawił się jakiś dziwny błysk.

— Proszę — szepnęła. — Proszę cię, Piotrusiu, powiedz to.

Jego twarz złagodniała. To imię było niczym piórko na wietrze.

— Dzwoneczek — powiedział.

— I mieszkam w...?

— Nibylandii.

Aż jęknął ze zgrozy po tym, co powiedział i pobiegł do okna opustoszałej kuchni, aby wyjrzeć na miasteczko piratów. Ponad wrakami okrętów wznosił się

ogromny krokodyl. Wszędzie było pełno piratów; popychali się i krzyczeli paradując po placu i kręcąc się wokół domów.

Piotr przybiegł z powrotem.

— Nie mogę tego zaakceptować! To nie jest racjonalne, dorosłe myślenie! To nie jest możliwe!

Wróżka wystartowała z półki i usiadła mu na rękę, po czym zaczęła obwiązywać chusteczką jego skaleczenie.

— Posłuchaj mnie, Piotrusiu. Jack i Maggie są tutaj. I żeby ich uwolnić, musisz stoczyć walkę z kapitanem Hakiem. Do tego potrzebni ci będą Zagubieni Chłopcy. I twoja szpada. I musisz jeszcze fruwać!

Piotr potrząsnął zdecydowanie głową.

— Posłuchaj mnie przez chwilę, tylko przez jedną chwileczkę! — starał się opanować. — Niezależnie od tego, o co w tym wszystkim chodzi i co się tutaj dzieje, ja to wciąż ja! Ja nie umiem fruwać. I nie chcę z nikim walczyć. Odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz? — zawołała za nim.

— Znaleźć kapitana Haka, zabrać dzieci i wracać do domu! — odkrzyknął jej.

— Nie, Piotrusiu, jeszcze nie pora na to! — zaczęła fruwać wokół niego, starając się go powstrzymać. — Hak tylko czeka na ciebie. To pułapka! Właśnie tak to zaplanował — porwanie i to wszystko. On cię zabije! Nie jesteś jeszcze gotów, żeby się z nim zmierzyć!

Piotr machnął ręką. Miał już dość tych bredni.

— Jestem dostatecznie gotów — zatrzymał się przy kuchennych drzwiach. — A poza tym moje dzieci nie mogą opuszczać aż tylu lekcji.

Wróżka stanęła w powietrzu i wzięła się pod boki.

— Och, Piotrusiu Panie! — rzekła gniewnie. — Jesteś tak samo uparty jak zawsze!

Kiedy usiłował wyjść, podleciała do niego, chwyciła go za kołnierzyk i przytrzymała.

— Słuchaj mnie! — syknęła mu do ucha. — Posłuchaj choćby przez chwilę. Potem sam zdecydujesz. Ale najpierw musimy cię jakoś ubrać.

Kiedy Piotr zirytowany mruknął coś pod nosem, ona wciągnęła go do środka.

Piraci!

Piotr wyłonił się z mrocznej kuchni przyodziany w piracki strój — purpurową pelerynę, trójgraniasty kapelusz i czarną przepaskę na oku — wszystko ściągnięte z nieszczęsnych piratów, pokonanych przez wróżkę. Miał teraz drewnianą nogę przymocowaną do kolana skórzanymi paskami, podczas gdy jego własna była podwiązana i ukryta pod peleryną. Opierał się na szczudle. Przebranie byłoby nieco bardziej wygodne, gdyby Piotr zechciał rozstać się z resztkami swojego smokingu, ale nie mógł się pogodzić z utratą smętnych pozostałości prawdziwego świata i miał je cały czas na sobie pod spodem.

Rozejrzał się niepewnie. Piraci przechadzali się wokół leniwie nie zwracając na niego szczególnej uwagi; mali i ogromni, bez oczu i bez uszu, z drewnianymi nogami i pustymi rękawami, z bliznami na twarzach i szyjach, z brodami, wąsami i bokobrodami. Były ich dziesiątki, a wszyscy uzbrojeni w pistolety, ostre szable, noże, słowem, cały arsenał śmiercionośnej broni. Piotr starał się nie zastanawiać zbyt wiele, co to wszystko znaczy, ponieważ postanowił skupić się na swoim zadaniu. Niezależnie od tego, o co w tym wszystkim chodziło i w jakim świecie się znalazł — w Nibylandii, w krainie snów, czy gdziekolwiek — nie wraca bez Jacka i Maggie.

Pokuśtykał przez pirackie miasteczko, ostrożnie mijając jego mieszkańców; starał się nie rzucać w oczy swoim dziwnym ubraniem, ale miał mimo wszystko nadzieję, że wygląda odpowiednio do miejsca, w którym się znalazł. Przepaska na oku była może wdzięcznym akcentem, ale trudno było się do niej przyzwyczaić. Za każdym razem, kiedy chciał się czemuś przyjrzeć, musiał podnosić ją do góry. Zewsząd dobiegały pokrzykiwania i śmiech — z licznych tawern i piwiarni, gdzie w górę wędrowały szklanice i sakiewki, z warsztatów, gdzie ostrzono klingi, ze stajni, gdzie podkuwano i obrządzano konie, i z ulic, gdzie ramiona splatały się w kamrackich objęciach.

Wróżka Dzwoneczek, usadowiona pod kapeluszem Piotra, wyjrzała przez specjalnie dla niej wyciętą dziurkę.

— Nie zachowujesz się jak pirat! — rzuciła mu zirytowana. — Jeśli tak bardzo chcesz się zobaczyć z Hakiem i wyjść z tego żywy, to musisz się lepiej starać!

Poćwiczmy. Rób dokładnie to, co ci mówię. Opuść ramię. Udawaj, że nie możesz nim ruszać. Niech ci po prostu zwisa przy boku. Spróbuj.

Spodobał mu się ten pomysł i zwiesił ramię wzdłuż boku.

— No i jak, robaczku?

Wróżka zjeżyła się.

— Nie nazywaj mnie tak! Mów do mnie po imieniu. Tak jak zawsze. Dzwoneczek.

Wzruszył ramionami.

— Dobrze, Dzwoneczku.

Jakiś pijany pirat pochylony tak nisko, jakby szukał rosówek, wpadł na niego i zatoczył się.

— Skrzyw się, zrób okropną minę — rozkazała wróżka.

Piotr wykrzywił twarz i wywalił język. Świetna zabawa.

— A teraz zarycz.

— Rrr.

— Nie tak! Powiedziałam zarycz!

Wyfrunęła spod kapelusza z wyciągniętym sztylecikiem i ukłuła go w pośladki.

— Groaar! — ryknął.

Dwóch groźnie wyglądających piratów, uzbrojonych po zęby, odpowiedziało mu takim samym rykiem i pomachało przyjaźnie.

Piotr i Dzwoneczek szli dalej przez miasto mijając po drodze stłoczone wraki okrętów, zamienione w sklepiki i gospody, obdartych muzykantów grających na skrzypcach i fletach, i śpiewaka w postrzępionych spodniach do kolan, który zawodził piracką szantę.

Kiedy przechodzili obok kowala, stojącego w kuźni nad kowadłem, wróżka szepnęła:

— Pssst! Spójrz, Piotrusiu!

Piotr przystanął.

Kowal trzymał metalowy hak, którego rozpalony koniec jarzył się na czerwono. Kiedy obracał go na wszystkie strony przyglądając się swojej robocie, czubek haka połyskiwał w słońcu.

Obok kowala stał przysadzisty pirat w okularach, w wielkich marynarskich portkach, poplamionej bluzie i pasiastym podkoszulku rodem chyba prosto z ulic Tijuany. Nos miał jak harpun, a brwi włochate jak gąsienice. Ogorzałą twarz pirata ozdobił szeroki, wesoły uśmiech, a na głowie tkwił nasadzony zawadiacko bosmański kapelusz z piórami.

Ostrożnie dotknął czubka haka i aż się wzdrygnął.

— Och, ostry jak ząb rekina! — powiedział, przykładając palec do ust. — Myślę, że kapitan będzie zadowolony.

— To Śmierdziuch — szepnęła wróżka Piotrowi do ucha.

Kowal zanurzył rozpalony hak w wodzie, potrzymał chwilę i wyjął z powrotem. Wytrzeł go ostrożnie i podał Śmierdziuchowi, który położył hak na atlasowej poduszce.

— Dobra robota, Blackie! — powiedział Śmierdziuch, przytkając w kapelusz i oddalił się.

— Za nim, Piotrusiu! — poganiała wróżka.

Piotr pokuśtykał wzdłuż nabrzeża. Wlókł za sobą swoją drewnianą nogę i potykał się co chwila, starając się nadążyć za pierzastym kapeluszem Śmierdziucha znikającym w tłumie. Od czasu do czasu widział, jak Śmierdziuch podnosi hak wysoko ponad głowę balansując nim niepewnie na atlasowej poduszce. Bosman szedł pogwizdując sobie, a zewsząd pokrzykiwali do niego piraci.

— Z pirackim pozdrowieniem, kapitanie! — zawołał cieśla, zajęty budową czegoś, co przypominało Piotrowi szubienicę.

— Czy szykuje się jakaś bitwa, kapitanie? — zapytał go inny pirat.

Śmierdziuch uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej nie dostrzegając ironii w ich tonie i zachowując się tak, jakby powitania te były nie tylko szczere, ale i należały mu się.

Kilka kobiet o niedwuznaczej profesji gwizdnęło na Śmierdziucha, kiedy przechodził.

— Szykujcie się, dziewczynki! — zawołała jedna. — Oto idzie kapitan Śmierdziuch!

Zakręciły się wokół niego podnosząc zalotnie spódnice.

— Spójrzcie! — krzyczały. — To chyba hak kapitana!

— Tak jest, hak Haka!

— Tak, dziewuszko, nie wiedziałaś?

— To jego symbol fortuny i sławy!

— Sławę może zachować, ja wolę fortunę!

Kręciły się i tańczyły w tłumie piratów wokół Śmierdziucha, a po chwili dołączyły do nich dziesiątki innych. Piotr starając się nie stracić z oczu Śmierdziucha, podszedł za blisko i nagle znalazł się pośród wirujących spódnic i zapachu tanich perfum.

*Jakub Hak, syn morskiego kucharza!
Nie tylko, lecz nie chcę go obrażać...
Kubuś Hak to cała nasza chwała!
Jego i kilkuset innych wymienić mogę bez mała!
Szermierz, hulaka i czarodziej słowa.
Żegluj, by łupić i torturować!
Jakub Hak, kapitan Hak, to pierwsza szabla
Siedmiu mórz! Nasz Hak! Tak! Tak! Tak!*

Rozśpiewany i roztańczony tłum oddalił się pozostawiając sam na sam rozba-
wionego Śmierdziucha i Piotra, który rozpaczliwie starał się ukryć przed wzro-
kiem bosmana. Ale Śmierdziuch nie zwracał na niego uwagi, odwrócił się i roz-
anielony powędrował dalej.

Chwilę później zaszedł do fryzjera.

— Na chuligana — rozkazał cyrulikowi, który posadził go w krzesło, przeje-
chał parę razy brzytwą i nożem, po czym się cofnął.

Śmierdziuch wstał i rzucił mu złotą monetę. Tamten wyciągnął rękę, ale
Śmierdziuch już miał pieniądze z powrotem — był przymocowany gumą do jego
palca.

— Musisz być szybszy, brachu — Śmierdziuch wykrzywił się w uśmiechu
i rzucił mu miedziaka.

Ruszył przed siebie, a Piotr i Dzwoneczek podążali za nim. Mijani piraci po-
pychali Piotra, wykrzykując pod jego adresem jakieś groźby, ale on, wpatrzony
cały czas w Śmierdziucha, starał się nie zwracać na nich uwagi. Drewniana no-
ga piekła go nie do wytrzymania i gotów już był naprawdę ryczeć. Zaczął się
zastanawiać, czy dobrze przemyślał to, co teraz robi.

Śmierdziuch zwolnił i skręcił do gospody, gdzie ktoś zapamiętałe bębnił na
pianinie, a przy koślawym, drewnianym barze gromada opojów śpiewała sprośne
piosenki. Byli to starzy, wyniszczeni piraci, ze szklanymi oczami, drewnianymi
nogami, sztucznymi szczękami i innymi częściami zamiennymi. Nierównym chór-
em zaczęli śpiewać jakąś pieśń.

Śmierdziuch zbliżył się powolnym krokiem do zgromadzonych i triumfalnie
pokazując im hak zawołał:

— Dla wszystkich trunek na mój rachunek postawić dzisiaj mogę. Niech się
napiją, wszyscy co żyją, choć mają z drewna nogę!

Rzucił kilka monet wzbudzając okrzyki zachwytu i wyszedł niemal wpadając
na udęconego Piotra, który oparty o framugę drzwi ledwie dyszał, wyczerpany
pogonią za piratem.

Przed nimi ciągnęło się molo biegnące tunelem wśród wraków, mroczne,
zadymione przejście oświetlone pochodniami. Śmierdziuch wskoczył na molo
i znikł w mroku. Piotr pospieszył za nim rycząc na mijających go piratów, choć
stracił już entuzjazm dla całego przedsięwzięcia. Jack i Maggie potrzebowali jed-
nak jego pomocy i nie mógł się cofnąć. Z załzawionymi oczami brnął po omacku
przez mrok. Przed sobą słyszał śpiewy i krzyki piratów: „Hak! Hak! Hak!”

Wydostał się w końcu z zadymionego tunelu i zmrużył oczy przed słońcem.
Śmierdziuch był tuż przed nim, zwalnając kroku przy ogrodzeniu, gdzie stało
dwóch roślących piratów z biczami w ręku. Pilnowali czterech kulących się ze stra-
chu chłopców, którym ściągano właśnie koszule z pleców. Malcy zanosili się błą-
galnym płaczem.

— Panowie Jukes i Makaron — Śmierdziuch przywitał się serdecznie, najpierw z tym, którego muskularne ciało było czarne jak heban, a potem z tym, którego jasne włosy i broda przypominały szczurze gniazdo. — Witajcie, zuchy.

Ruszył przed siebie znów pogwizdując, ale Piotr zatrzymał się mimo woli przerażony tym, co zobaczył.

— To przecież dzieci — wyszeptał do Dzwoneczka.

Usłyszał jej syk pogardy i gniewu.

— Hak to wstrętny łotr. Każe swoim więźniom w kółko przeliczać złupione skarby.

Nagle za plecami Piotra rozległ się ryk i z zadymionego tunelu wysypała się gromada piratów ze śpiewem na ustach. Piotr nie zdążył uskoczyć im z drogi i tłum porwał go ze sobą. Ciżba sunęła w stronę nabrzeża, mijając rozbite statki tworzące wejście do miasteczka i wielki napis nad tunelem: MOŁO DOBRYCH MANIER; wszyscy zmierzali do pomostu, który prowadził do jedyne go statku stojącego w porcie.

Ale był to okręt mroczny i złowrogi! Brygantyna pod wszystkimi żaglami gotowa do rejsu, z armatami sterczącymi groźnie z burt i połyskującym w świetle smukłym kadłubem. Na dziobie statku zatknięto wykrzywiony w śmiertelnym grymasie szkielet z uniesioną w górę szpadą, który zapowiadał los kolejnych ofiar okrętu. Na tylnym pokładzie za kołem sternika spoczywała ogromna armata, a jej olbrzymia lufa oparta na obrotowej podstawie strzegła wejścia do portu. Kapitańskie kajuty obramowane były na kształt wielkiej czaszki ze świecącymi oknami zamiast oczodołów i połączonym zarysem szczęki i nosa. Ponad nią biegły relingi w kształcie kapitańskiego kapelusza z syczącymi węzami w rogach. Kadłub statku pomalowany był na czerwono i czarno ze złoconymi zdobieniami i mosiężnymi okuciami połyskującymi w słońcu. Okręt piracki wyglądał na szybki i groźny, niczym drapieżnik szykujący się do skoku.

Na najwyższym maszcie powiewała czarna flaga ze skrzyżowanymi piszczałkami, a obok wisiały chorągwie, na których widniały napisy: DOBRE MANIERY i JAK. W stronę portu sterczała niczym jęzor straszna belka, po której piraci każą skazańcom iść na śmierć w falach.

Nagle tłum ryknął:

— Chcemy zobaczyć Haka! Haka! Haka! Chcemy zobaczyć Haka! Haka! Haka!

Jednego Piotrowi nie dało się zarzucić — na pewno nie był tchórzem. Ale rozumiał jednocześnie, że czasami męstwo wymaga też ostrożności. Właśnie zaczął się zastanawiać, czy to nie jest jeden z takich przypadków. Być może wróżka miała rację. Być może nie był jeszcze gotów zmierzyć się z Hakiem.

Niestety, było już za późno na takie rozmyślenia. Piraci tłoczyli się po pomoście na statek i Piotr został porwany przez napierający tłum.

Kapitan Hak

Na nabrzeżu po sterburtę i od bukszprytu po grotmaszt na pokładzie brygantyny „Wesoły Roger” tłoczyli się piraci krzycząc: „Hak! Hak! Hak!”. Wznosili w górę ręce potrząsając bronią i gołymi pięściami. Od ich wrzasków kołysał się cały okręt.

Śmierdziuch stojący na pokładzie zrobił krok naprzód i dał znak, aby się uciszeli.

— Obry Nibylandioooo! — wrzasnął, wydymając policzki i trzęsąc brzuchem. — Zwinąć grotzagiel, zuchy, bo oto on — przebiegły sztokfisz, wściekła barrakuda, największy nikczemnik siedmiu mórz a nadto elegant niezrównany, człowiek tak głęboki, że niemal nieprzenikniony i tak szybki, że nawet zasypia raz dwa! Oto nasz rekin niezwyciężony o żelaznej ręce — kapitan Jakub Hak!

Pirat przezywany Łaskotką nacisnął z całych sił harmonię, armaty wystrzeliły obłokami ognia, a okrzyki pirackiej załogi stały się jeszcze donośniejsze.

Wtedy otworzyły się szeroko drzwi kapitańskiej kajuty i ukazał się w nich Jakub Hak, pirat o ponurej sławie.

Na pierwszy rzut oka przypominał swój okręt — a może raczej było na odwrót. Wymuskany i szczupły, wyglądał złowieszczo od koniuszka ostrego nosa po czubki butów. Jego kapitański płaszcz uszyty był z czarnego i czerwonego materiału, szamerowany złotem. Przez ramię przewieszoną miał złotą szarfę z frędzlami, na której dyndał kordelas. Pod szyją koronkowa kryza, a nad nią twarz jak dziób okrętu prujący morską pianę. Czarne włosy spadały mu pierścieniami na ramiona niczym liny z masztu. Jego kapitański, trójgraniasty kapelusz wyglądał dokładnie tak jak reling rufy „Wesołego Rogera” — tyle, że bez syczących węży. Ten drobny brak z naddatkiem nadrabiała jednak twarz kapitana Haka — okrutna, surowa, pogardliwa, z wąsami zakreconymi jak żmije i oczami, które mogły zmrozić ptaka w locie.

Zamiast lewej dłoni miał swój słynny, straszliwy hak, którego świeżo naostrzony czubek połyskiwał w słońcu.

Spojrzał z pogardą na tłum i uniósł w górę prawą dłoń z koronkowym mankietem, łaskawie przyjmując ich hołdy.

— Spójrz, panie, jak cię wielbią ci ludzie! — próbował przypochlebić mu się rozpromieniony Śmierdziuch.

Hak skrzywił się i wycedził półgębkiem:

— Dziadowskie nasienie. Jakże ja nimi pogardzam.

Dwustu osiłeków, a żaden z nich nie umiał czytać, ledwie jeden czy dwóch odróżniało łyżkę od widelca i tylko kilku umiało liczyć do dziesięciu. To było obrzydliwe. Hak westchnął. Mimo wszystko dowodził nimi.

— Dżentelmeni! — zawołał. — Wy, tępe, żalosne, leniwe wory trzewi!

Jego załoga zawyła dziko w zachwycie.

Ręka z hakiem przecięła powietrze.

— Zemsta!

Natychmiast zapadła cisza. Hak uśmiechnął się promiennie.

— Należy do mnie. Zarzuciłem haczyk, jeśli mogę tak powiedzieć, z narybkiem na przynętę. Dzieci Piotrusia Pana sprowadzą go tu do mnie. Wreszcie pozbędę się tego paskudnego chłopca, który odciął moją rękę i... (tu zniżył boleśnie głos) i rzucił ją krokodylowi na pożarcie.

Głos uwiązał mu w gardle. Śmierdziuch szybko wykorzystał ten moment.

— Kto zabił tego cwane go krokodyla? — zwrócił się do tłumu.

— Hak! Hak! Hak! — ryknęli chórem piraci.

— Kto go wypchał i uciszył na zawsze jego budzik?

— Hak! Hak! Hak!

— Kto popłynął na drugi koniec świata, żeby porwać dzieciaki Piotrusia Pana, przemierzając szlak do Anglii po nieznanym wodach i stawiając czoła nieznanym niebezpieczeństwom?

— Hak! Hak! Hak!

Kapitan doszedł do siebie na tyle, aby zdać sobie sprawę, że Śmierdziuch przywłaszczył sobie jego przemówienie. Chwycił go za kołnierz i odsunął go na bok.

— To mój występ, Śmierdziuchu — zasyczał. — Spływaj.

Znów zwrócił się do swojej załogi, ale tym razem jego twarz była ponura.

— A teraz — który z was zwątpił we mnie?

Hałaśliwy tłum przycichł.

— Wiem, co mówię! — warknął Hak. — Jest wśród was taki. Który to? Kto nie jest swój? Ktoś tu nie jest swój.

Przebiegł oczami po wylęknionych twarzach.

— Obcy wśród swoich! Trzeba go wyrwać z korzeniami jak chwast!

Zapadła grobowa cisza. Wszyscy piraci stali bez ruchu jak skamieniali, bojąc się nawet drgnąć powieką. Nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi. Dałoby się usłyszeć odgłos padającej szpilki...

I nagle stało się. Jeden z piratów nierozważnie spróbował otrzeć pot z czoła i strącił na ziemię szpilę zdobną jego kapelusza. Brzdęk!

Wszystkie oczy zwróciły się na nieszczęśnika.

Hak warknął złowrogo. Podszedł do schodków i nagle znieruchomiał przejęty zgrozą. Wbił wzrok w Śmierdziucha.

— Gdzie jest mój dywan?

Śmierdziuch zmieszał się.

— Wybacz, kapitanie, wybacz, wasza wysokość.

Bosman uruchomił mechanizm, który skrzypiąc i jęcząc odsłonił czerwony dywan ukryty pod schodami. Hak uśmiechnął się i zszedł na dół z wycelowanym palcem.

— Ty! Ty, drogi panie, ty!

Wszyscy piraci starali się unikać jego wzroku.

— Ty! — krzyknął w końcu nie zwracając najmniejszej uwagi na tego, który stracił szpilkę, i wycelował swój hak w drobnego pirata o szczurzym wyglądzie.

— Tak ty! To ty założyłeś się, że nie sprowadzę tu Piotrusia Pana, ty obmierzył szczurze!

Pirat zwany Ciapą, choć kapitan nigdy nie przypomniałby sobie jego imienia, skulił się przed Hakiem.

— Nie, kapitanie, przysięgam na duszę mojej mamusi, że nie!

Hak uśmiechnął się, pochylił nad nim i klepnął go po ramieniu.

— No, powiedz prawdę, śmiało, kapitan chce znać prawdę...

Ciapa padł w ramiona Haka łkając.

— Tak, założyłem się!

Uśmiech Haka mroził krew w żyłach.

— A zatem postąpiłeś bardzo brzydko, fe! Dlatego wylądujesz w brzydkim pudełeczku.

Ciapa padł na pokład zanosząc się od płaczu. Piraci chwycili go natychmiast, postawili na nogi i odciągnęli na bok.

Hak spacerował, a tłum rozstępował się przed nim.

— Niech wam się nie wydaje, że nie słyszę tych, którzy szepczą po kryjomu: „Już po nim! Hak jest skończony!”

— Albo tych, którzy mówią: „Ten kawałek złomu bez palców nigdy się już nie podniesie!” — dodał Śmierdziuch, choć chyba nie przemyślał do końca tego, co powiedział.

Hak rzucił mu mordercze spojrzenie. Tymczasem otwarto pudło przypominające trumnę i do środka wpakowano Ciapę, który wciąż szlochał żałośnie. W ślad za nim wsunięto torbę z węzami, pajakami i obrzydliwymi robakami. Hak z satysfakcją stwierdził, że po zamknięciu pokrywy krzyki szybko ucichły.

— Rozejrzyjcie się, kałojady! — pokazał ręką na zabudowę z wraków. — Spójrzcie i przypomnijcie sobie o wszystkich łupach, które zdobyłem dla was, żebyście mogli pędzić piracki żywot w pirackim mieście!

— To raj! — wykrzyknął z entuzjazmem jeden z piratów.

— Czyż nie? — prychnął Hak. — Kompletni głupcy. Wznieście swoją broń, zuchy! — wrzasnął nagle.

Kordelasy, maczugi, sztylety, pistolety i rusznice powędrowały w górę. Hak uśmiechnął się złowrogo.

— Dumni piraci, moje zuchy, przygotujcie się na wielką uroczystość! Przygotujcie się na zabicie młodości, na zdławienie radości i uduszenie niewinności w jej cuchnącej kolebce! Wkrótce tu będzie Piotruś Pan! A kiedy przyjdzie, zetnę jego kości na pył i doprawię sobie nim strawę. Wtrącę go w najczarniejszą otchłań, w najgłębszą przepaść, zmiotę go z powierzchni ziemi na zawsze! — Hak uniósł ramię. — Będę miał swoją wspaniałą wojnę i wygram ją! Dawać tu więźniów! — rzucił.

Kiedy luk w pokładzie otworzył się z hukiem i kołowrót zaczął wyciągać z głębi statku sieć, piraci podnieśli dziki wrzask. W sieci szamotali się przerażeni Jack i Maggie. Wciąż byli w piżamach; Jack miał na rękę swoją rękawicę baseballową, a Maggie wpięty we włosy papierowy kwiatek od Piszczalki. Kiedy sieć zatrzymała się przed kapitanem, piraci zaczęli wyśmiewać się z dzieci i dokuczać im.

— Cześć, dzieciaki! — rzucił im kapitan Hak z afektowanym uśmiechem.

Nagle zrobiło się jakieś zamieszanie i wśród coraz głośniejszych pomruków i krzyków ktoś zaczął przeciskać się przez tłum. Hak odwrócił się zirytowany. Nagle zrobił wielkie oczy. Oto jakiś pirat w lichym przyodziewku, grubawy, jednonogi, z przepaską, która zamiast na oku wisiała mu na nosie, odrzucił swoje szczudło i zmierzał wprost na niego!

— Jack! Maggie! Już wszystko w porządku! — krzyknął pirat.

Jego palec groźnie wycelował w kapitana.

— To są moje dzieci! Jestem ich ojcem.

Hak przyglądał mu się z niedowierzaniem. Pirat odrzucił swoją drewnianą nogę i wyciągnął własną, prawdziwą! W rozwianej pelerynie, przekrzywionym kapeluszu i przepasce na oku wyglądał jak kiepska imitacja jakiegoś wampira. Hak nie wierzył własnym oczom. Cóż to za pirat?

— Hej, ty tam! I ty! — pirat pokazywał na Jukesa i Makarona. — Natychmiast opuście moje dzieci! Tylko ostrożnie.

Na okrągłej, rumianej twarzyczce Maggie pokazał się uśmiech.

— Tatuś jest tutaj!

Hak pchnął w jego stronę Śmierdziucha, zastanawiając się, czy ma do czynienia z wariatem, czy może nawet z chorym na wściekliznę. Potem spojrzął na sieć, w której dzieci krzyczały:

— Tatuś! To nasz tatuś!

Nie, to nie może być...

Piraci stłoczyli się wokół Piotra Banninga, który nie bacząc na głos rozsądku i gwałtowne protesty wróżki, zdecydowany był odzyskać swoje dzieci. Zaraz chwyciły go jakieś ręce i do gardła przytknięto mu ostrze. Z początku próbował

się wrywać, ale po chwili zwił bezsilnie, jakby nagle zdał sobie sprawę z biedy, jakiej sobie napytał.

Kapitan Hak przyglądał mu się. Drewniana noga i przepaska na oku zniknęły. Peleryna i szarfa były rozdarte. Piratowi pozostał tylko trójgromny kapelusz. No i oczywiście to, co miał pod spodem, czyli koszulę, kamizelkę i eleganckie spodnie z angielskiej wełny. Hakowi zaświeciły się oczy. Czy to możliwe? Podszedł bliżej, przyglądając się swojemu więźniowi, aż w końcu stanęli oko w oko.

Kapitan uśmiechnął się złowrogo.

— To ty? Mój wielki i groźny przeciwnik?

Piraci zatrzęśli się od pogardliwego śmiechu, ale Hak ich zaraz uciszył.

— O, nie, nie, ostrożnie! On jest w przebraniu! — cofnął się szybko i naszykował hak, jakby chciał odeprzeć ewentualny atak. — Pamiętacie, jak naśladował mój głos? Pamiętacie te wszystkie jego sztuczki? On może wyglądać jak spasiony degenerat, ale bądźcie ostrożni, moje zuchy! Piotruś Pan jest tu gdzieś w środku i może w każdej chwili wyskoczyć z tego mięsistego bukłaka! Fantastycznie!

Kapitan wyciągnął swój kordelas i zaczął nim zadawać i parować ciosy.

— Cofnijcie się, łotry! Uwaga, on zaraz pofrunie! Pokaż się, Piotrusiu Panie! Śmiało, czekam na ciebie! Wychodź! Ha! Patrzcie na niego! No, śmiało, śmiało! Szykuj się na śmierć!

Wyszarpnął drugi kordelas stojącemu obok piratowi i rzucił go w swojego wroga. Śmierdziuch zrobił unik i nóż śmignął koło niego wbijając się w maszt obok głowy Piotra. Piraci rozbiegli się zostawiając go samego.

Piotr stał jak zamroczony. W końcu odezwał się płaczącym głosem:

— Nie mogę z tobą walczyć. Nie umiem. Chcę tylko odzyskać swoje dzieci.

Hak przestał fechtować i wyprostował się.

— Śmierdziuch! — ryknął.

Kiedy bosman podbiegł do niego, Hak chwycił go za klapy.

— Co to za oszust?

— Już, już — wyjąkał Śmierdziuch i zaczął pospiesznie grzebać w skórzanej torbie przewieszanej przez ramię. — Zaraz zobaczymy. P-P-Pan, kapitanie. Już jest — papiery o adopcji. Karta zdrowia, metryka, polisa ubezpieczeniowa, karty kredytowe, wszystko w porządku, sir.

— A tam! — Hak warknął jak buldog. — To głupstwa. Sam sprawdź tego spasionego łobuza. Patrz dokładnie.

Śmierdziuch zbliżył się do Piotra, zerwał z niego pelerynę, podciągnął mu koszulę i zaczął go obszukiwać. Piotr z trudem powstrzymywał się od śmiechu, bo Śmierdziuch zmacał jego czuły punkt.

— Jest blizna, kapitanie — zameldował posłusznie Śmierdziuch. — Rozrosła się. Dokładnie tam, gdzie dostał od pana podczas walki o Tygrysią Lilię. To jest Piotruś Pan, albo mam dziurawą łódkę zamiast mózgu.

Hak jakby przez chwilę rozważał, co jest bardziej prawdopodobne, ale zaraz poczerwieniał na twarzy.

— Ale to niemożliwe! Ten żaloszny, blady wymoczek? On nie jest nawet cieniem Piotrusia Pana!

Zniechęcony schował swój kordelas i spuścił wzrok.

— Jakiż okrutny okazał się dla mnie los! — jęknął.

Piotr podszedł do kapitana i obaj przyglądali się sobie przez chwilę. Piotr odchrząknął:

— Panie Haku — rzekł pojednawczo. — Jako dżentelmeni mamy obowiązek postarać się wyjaśnić to nieporozumienie.

— To nieszczęście — poprawił go zaraz Hak.

Piotr wzruszył ramionami.

— Tak czy owak, trzeba coś z tym zrobić.

Hak kiwnął głową.

— W rzeczy samej. Zgadzam się.

Piotr wyprostował się, nabierając znów pewności siebie. Twarde, konkretne negocjacje — to był znajomy teren.

— Dla mnie stawka nie może już być większa. Chcę odzyskać swoje dzieci.

Hak też się wyprostował.

— A dla mnie nie może już być niższa. Chcę mojej wojny.

— Wygląda na to, że musimy negocjować — powiedział Piotr.

Hak się nachmurzył.

— Negocjować? Proszę bardzo. Proponuję, żebyś walczył ze mną, wykazując cały spryt i męstwo Piotrusia Pana, a jak wygrasz, dzieci będą twoje.

— Walczył?

— Wybierz sobie broń, Piotrusiu Panie. Nie mogłeś wszystkiego zapomnieć!

Piotr uśmiechnął się przebiegle.

— A zatem o to chodzi? W porządku.

Kiedy Piotr sięgnął do kamizelki, piraci skierowali przeciw niemu broń. Piotr zawahał się, a po chwili wyciągnął swoją książeczkę czekową i otworzył ją.

— Ile, panie Haku?

Hak przyglądał mu się z niedowierzaniem. Wyrwał jednemu z piratów pistolet, obrócił się i wypalił. Kula przeszła książeczkę i pomknęła dalej. Niestety na jej drodze stał kucharz Sid. Padł martwy, nie wydając nawet jęku.

— Kto to był, Śmierdziuchu? — zapytał Hak, rzucając z wściekłością pistolet.

— Kucharz Sid, kapitanie — odpowiedział zdławionym głosem bosman.

Wśród piratów rozległ się szmer uznania.

— Złe maniery! — prychnął Hak, ponieważ jeśli brzydził się czymkolwiek, to właśnie niestosownym zachowaniem, a przejął to uczucie od wyższych sfer.

Podszedł szybkim krokiem do Piotra a jego szkarłatno-złoty kapitański płaszcz wzdał się za nim jak żagiel. Piraci pierzchali mu z drogi. Hak wytrącił Piotrowi z ręki książeczkę, która wpadła do wody z pluskiem i utonęła.

Potem chwycił go i rzucił o maszt, przybliżając mu swój hak do gardła. Piotr przełknął ślinę w przerażeniu. Oczy Haka płonęły czerwonym ogniem, drgały mu wąsy, a jego kręcone, czarne włosy tańczyły wokół twarzy.

— Umknąłem śmierci w paszczy krokodyla — wykrzyknął wściekle. — Czekałem w dobrej wierze i wiecznej nudzie tu, w tym okropnym miejscu w otoczeniu kretynów! Gdzie nie ma nic do roboty poza ściganiem i zabijaniem tych wstrętnych Zagubionych Chłopców! Ale czekałem! Czekałem na tę szczególną chwilę, w której będę mógł wypełnić swoje przeznaczenie. . .

Hak westchnął głęboko.

— I co teraz? — dokończył ledwie wydobywając z siebie słowa. — Taka spotyka mnie nagroda? Ty?

Z twarzy kapitana znikła drwina, a w oku pojawiła się nagle łza. Odsunął hak Piotrowi od gardła i objął go przyjacielsko.

— Jak mogłeś mi to zrobić — po tym wszystkim co było między nami?

— Ja chcę tylko odzyskać swoje dzieci — odparł Piotr.

Hak westchnął.

— A ja moją rękę! Ale są w życiu takie rzeczy, których nie da się odzyskać. Twarz rozjaśniła mu się nieco.

— Posłuchaj mnie. Ponieważ mam wcale niemały zasób dobrych manier, dam ci szansę, jakiej ty nigdy mi nie dałeś. Zawrzemy umowę, panie Prezesie Zarządu — pokazał Piotrowi największy maszt. — Wspinaj się, wdrapuj, ślizgaj, rób, co chcesz — a jak uda ci się dotknąć swoich ukochanych dzieci, to je uwolnię. Tak jest. Uwolnię. Przyrzekam.

Piotr spojrział na Jacka i Maggie dyndających w sieci tuż pod reją.

— Hm, tyle, że ja mam lęk wysokości — bąknął nieśmiało.

— Naprawdę? — zapytał Hak ze współczuciem w głosie.

— Tatusiu, ratuj nas! — zawołali Jack i Maggie. — Wspinaj się szybko, proszę! Chcemy do domu!

Piotr zaczerpnął powietrza.

— Trzymaj się księżniczko! — zawołał do Maggie. — Jack, idę do ciebie!

Chwycił linę i zaczął się wspinać. Już po chwili poczuł, że kręci mu się w głowie. Zwolnił, zdyszany i spocony. Piraci zaczęli pokpiwać z niego.

— Myślę, że nie wykorzystaliśmy jeszcze wszystkich możliwości porozumienia — krzyknął do Haka. — Zastanówmy się nad tym wspólnie. Masz wspaniałą nieruchomość nad wodą, która domaga się na gwałt zagospodarowania — domki, dzierzawa, pomieszczenia biurowe, co chcesz. Tylko niebo cię ogranicza. Żadnego prawa budowlanego! A przy okazji postaraj się o prawa do kopalni!

Hak pokazał palcem na sieć.

— Dotknij ich. Wystarczy, że ich dotkniesz i wszystko okaże się tylko złym snem.

Jack i Maggie błagali go, żeby wspinał się dalej. Zamknął oczy i przesunął się nieco wyżej. Piraci podnieśli wyczekująco głowy. Za chwilę znów otworzył oczy i pokład gwałtownie zaczął się przybliżać do niego. Stęknął i przytrzymał się liny zwisając jak ze skały. Nie mógł zrobić dalej ani kroku; był tak przerażony, że nie słyszał nawet krzyków swoich dzieci.

Piraci wyśmiewali się z niego i drwili.

Hak obrócił się do Śmierdziucha.

— Widzisz? Wiedziałem, że nie potrafi fruwać. On nic nie potrafi. To niedojda — wyrzucił w górę ręce i odwrócił się. — Nie mogę powalać swojego haka jego krwią. Ktoś inny musi ich zabić. Idź i zabij ich, zabij wszystkich.

Jack zaczął szarpać liny, a Maggie zalała się łzami.

— Śmiało, tatusiu, śmiało! — krzyczeli w rozpacz. — Nie zostawiaj nas!

Nagle jakiś chudy pirat wdrapał się do góry, przywiązał Piotrowi sznur do kostki i pociągnął. Piotr runął na dół z wrzaskiem. W ostatniej chwili nastąpiło ostre szarpnięcie i Piotr zatrzymał się o centymetry od pewnej śmierci i zwisał bujając się tuż nad pokładem. Podbiegło do niego kilku piratów, którzy zaśmiewając się na widok jego przerażonej miny wyplątali go ze sznura i poprowadzili pod bronią przez pokład w kierunku belki skazańców.

Hak rzucił mu przez ramię posępne spojrzenie. Jukes i Makaron zaczęli opuszczać sieć. Kiedy mijała głowę Piotra, ten starał się sięgnąć jej i dotknąć swoich dzieci.

„Wzruszające” — pomyślał Hak.

Sieć opuściła się na ziemię, a dzieci zaciągnięto do celi.

Naprawdę wzruszające.

— Odchodzę — oznajmił Śmierdziuchowi, który podążał za nim jak cień. — Odwołaj wojnę. Mnie też odwołaj. Pan wszystko popsuł. Nie chcę już nigdy słyszeć jego imienia.

Zszedł po wyłożonych dywanem schodach do swojej kajuty; był tak załamany, że czuł, iż nawet egzekucja Zagubionych Chłopców nie potrafi go już rozbawić. Kiedy znalazł się przy drzwiach, nagle rozbłysło przed nim światło i pojawiła się wróżka Dzwoneczek.

— A dobre imię kapitana Haka? — zapytała. — Czy takim mają cię zapamiętać? Jako mordercę dzieci swojego przeciwnika? Jako pogromcę starego i grubego Piotrusia Pana?

Hak zamachnął się na nią, ale chybił i jego hak utkwiał w desce. Usiłował go wyrwać, klnąc zawzięcie, ale nie dał rady. Wróżka podleciała do jego twarzy, przykładając mu do nosa ostrze maleńkiego sztyletu.

— Daj mi jeden tydzień, a przygotuję go do walki z tobą. Wtedy będziesz mógł stoczyć swoją wojnę.

Śmierdziuch podszedł z muszkietem mierząc do wróżki, o centymetry od nosa kapitana. Hak zbladł.

— To podstęp, kapitanie — zaryczał bosman. — Zaraz wyślę tę jędzę do stu diabłów!

Wróżka zignorowała go.

— Przyrzekłeś wojnę stulecia, kapitanie! — powiedziała, kłując go w nos dla podkreślenia swych słów. — Przez całe swoje życie czekałeś na ten dzień. Śmiertelny bój — największa chwila twojej sławy — Hak kontra Pan!

— To nie jest Piotruś Pan! — rzekł drwiąco Hak, wskazując na przerażonego Piotra, który chwiał się na belce skazańców.

— Siedem dni — powtórzyła wróżka. — Dla ciebie to ledwie chwilka, mgnienie oka; cóż to jest dla kogoś o twojej nieskończonej cierpliwości dla człowieka potężnego, który może sobie pozwolić na czekanie.

To mówiąc znikła, zostawiając Haka wpatrzonego w lufę muszkietu bosmana. — Śmierdziuchu — powiedział spokojnie kapitan. — Czy mógłbyś to opuścić?

Bosman wykonał polecenie.

— A teraz przynieś mi moje cygara. Muszę się zastanowić.

Śmierdziuch popędził do kajuty Haka, a jego spodnie załopotwały jak żagle. Kapitan uwolnił w końcu z deski swój żelazny pazur i uważnie oglądał jego czubek. Wróżka miała oczywiście rację. Mógł sobie pozwolić na czekanie, jeśli miałby się zmierzyć z prawdziwym Piotrusiem Panem.

Jak gdyby czytając w jego myślach, wróżka pojawiła się znowu rzucając swoimi delikatnymi skrzydełkami smużki światła.

— Siedem dni do walki z prawdziwym Piotrusiem Panem — szepnęła. — Siedem dni.

Śmierdziuch wypadł z kajuty z ulubioną cygarniczką Haka, która miała dwa cybuchy. Hak wziął ją od niego i włożył do ust. Bosman przytknął zapaloną zapalkę do jednego cygara, a wróżka podleciała przypalając drugie. Kapitan pyknął z namaszczaniem i spojrzął w stronę morza, widząc Piotra prowadzonego wzdłuż belki skazańców.

— Dwa dni — powiedział spokojnym głosem.

— Cztery — odparła wróżka. — To absolutne minimum, żeby mieć przyzwoitego Pana.

— Trzy — Hak przygwoździł ją wzrokiem. — To moje ostatnie słowo.

Podfrunęła do czubka jego nosa.

— Umowa stoi.

Wróżka wyciągnęła rękę i ostrożnie potrząsnęła hak kapitana. Kilku piratów zgromadzonych na pokładzie, którzy przysłuchiwali się temu, zaczęło wznosić radosne okrzyki. Zaraz dołączyli do nich pozostali, nie wiedząc wprawdzie, dlacze-

go wiwatują, ale szczęśliwi, że mogą sobie powrzeszczyć. Naraz wypaliło kilka flint i armata. Huk był ogłuszający.

Kapitan odetkał sobie uszy.

— Słuchajcie, zuchy! — wykrzyknął.

Zwrócili się w jego stronę posłusznie, także ci, którzy prowadzili Piotra po straszliwej belce. Uśmiech Haka mógłby stopić lód.

— Zawarłem umowę w interesie uczciwego współzawodnictwa i tak dalej, i tak dalej. Ten żaloszny osobnik — tu wskazał z pogardą na Piotra — ten zwyrodniały oszust ma trzy dni, żeby przygotować się do walki ze mną, po czym zjawi się tu z powrotem, aby ostrza rozsądziły nasz spór.

— Kapitan mówi, żebyście szykowali flinty i proch i nie żałowali krwi! — wykrzyknął Śmierdziuch. — To będzie...

Hak chlasnął go dłonią w twarz.

— To mój występ, Śmierdziuchu — znów się uśmiechnął. — To będzie przepiękna wojna, džentelmeni. Walka na śmierć i życie pomiędzy Hakiem i Panem.

— Walka na śmierć i życie — powtórzył Śmierdziuch przez palce Haka.

— A jeśli nie — Hak spojrział groźnie w stronę celi — te szczury Piotrusia Pana zginą w najstraszliwszy sposób, jaki uda mi się obmyślić.

Śmierdziuch wyrwał się naprzód.

— Wzniesmy toast! Za największą bitwę — Hak przeciw Panowi!

Hak uśmiechnął się jak krokodyl.

— Dla dzieci wstęp wolny, oczywiście.

Piraci pociągali z flaszek piwo i rum, krzycząc wyzywająco i waląc pięściami i szklanicami w reling okrętu.

Hak! Hak! Hak!

Kapitan obserwował, jak Piotr ostrożnie wraca wzdłuż deski, a na jego pucłowatej twarzy zaczyna się malować ulga. „To chyba nie jego wina, że wygląda tak żałośnie” — pomyślał Hak wzdychając. Miał nadzieję, że ten stary, tłusty Piotruś znajdzie jakiś sposób, aby stawić mu choć niewielki opór. Zabicie go takim, jaki jest teraz, nie byłoby przecież przejawem dobrych manier.

Podszedł do belki, aby po raz ostatni spojrzeć na swego wroga.

— Jesteś wolny, kimkolwiek jesteś — rzekł pogardliwie. — Zejdź z moich oczu! Dlaczego nie lecisz? Fruń stąd i zabieraj swoje tłuste ścierwo z mojego okrętu!

To mówiąc, wskoczył wściekle na deskę katapultując Piotra w powietrze.

— Ale ja nie umiem! — jęknął Piotr.

Nagle pojawiła się znów wróżka.

— Śmiało, Piotrusiu. Musisz! Pomyśl o czymś pięknym!

Piotr spadł z powrotem na deskę, balansując niepewnie nad falami.

— Teraz?

— Oczywiście, że teraz! Pomyśl o Świętach Bożego Narodzenia!

Nagle jeden z piratów uderzył w deskę. Piotr stracił równowagę i spadł. Poleciał w dół i wpadł z pluskiem do wody.

— Ty naprawdę nie umiesz latać? — krzyknęła zrozpaczona wróżka. — To pływaj, Piotrusiu! Chyba potrafisz pływać?

— Wątpliwe — zamruczał Hak spoglądając w dół.

Twarz Piotra na chwilę wynurzyła się ponad wodę i natychmiast zniknęła.

— Straszny pech — uśmiechnął się współczująco Hak.

Wróżka Dzwoneczek zaczęła niespokojnie krążyć nad powierzchnią wody. Ani śladu Piotrusia. Kiedy było już jasne, że go nie ma, wybuchnęła płaczem i znikła w błysku światła. Hak ziewnął, wyglądając na coraz bardziej znudzonego. Wszystkie rokowania okazały się stratą czasu. Trzy dni, czy trzy lata, nie robiło żadnej różnicy.

Nagle stało się coś niesłychanego. Piotr wynurzył się znów na powierzchnię, kołyszany w objęciach trzech syren, które całowały go namiętnie wtlaczając mu powietrze do płuc. Potem uniosły mu głowę nad wodą i popłynęły na pełne morze, odbijając się szybko ogonami.

Hak przyglądał się temu przez chwilę z niedowierzaniem, a potem posłał im pocałunek.

— Piotrusiu, ty diabelski szczęściarzu. Do zobaczenia w Hadesie!

Zanim jednak zdołał się odwrócić, z wody tuż przed nim wynurzyła się czwarta syrena i stojąc twarzą w twarz z postrachem siedmiu mórz, jedynym człowiekiem, którego bał się niecny Barbecue, strzyknęła mu wodą prosto w oko.

Kiedy znikła pod wodą, Hak otarł rękawem twarz i zaczął szukać jej wzrokiem. Niechcący, a może umyślnie, wytrąciła mu jego cygara.

Zagubieni Chłopcy

Piotrowi, wyczerpanemu i nasiąkniętemu wodą, ratunek wydał się snem. Przez wiele mil, wśród grzbietów fal oceanu, płynął niesiony w ciepłych i bezpiecznych objęciach śpiewających syren. Słodkim i kojącym głosem opowiadały mu o czasach i miejscach, które przypominał sobie jak przez mgłę i znów tracił z pamięci z chwilą, gdy słowa zostawały wypowiedziane. W tych opowieściach pojawiał się jakiś chłopiec, dziecko, które nie chciało być dorosłe i żyło w krainie, gdzie przygody były chlebem powszednim i nie mijał bez nich żaden dzień. Chłopiec był nieustraszony i gotów na wszystko. Żył poza czasem, w świecie piratów i Indian, cudów i spełniających się marzeń. Piotr czuł, że znał niegdyś tego chłopca.

Gdzieś po drodze zniknęły szczątki jego pirackiego przebrania, a wraz z nimi pamięć o tym, dlaczego je w ogóle włożył.

Jego podróż skończyła się przy skale wystającej z oceanu ogromnym filarem. Syreny złożyły Piotra w olbrzymiej muszli przywiązanej do liny, po czym muszla zamknęła się nad nim i poczuł, że unosi się powoli kołysząc na boki. Kiedy dotarł na miejsce, wieko muszli otworzyło się i Piotr wypadł na trawiasty brzeg niczym pieniążek rzucony w wodę dla spełnienia skrytych marzeń.

Otworzył oczy. Obok niego srebrzyła się i migotała krystaliczna woda małej laguny. Muszli już nie było. Nie było też syren. Zostało po nich tylko wspomnienie i Piotr zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem sobie tego wszystkiego nie wymyślił.

Odetchnął głęboko i wstał powoli, ociekając wodą. Próbował jakoś doprowadzić się do porządku, ale zrezygnował i rozejrzał się wokół.

Nagle zamarł. Stał na szczycie skały ze swojego snu, setki metrów nad oceanem, tak wysoko, że wydawało mu się, iż może dotknąć obłoków przepływających po niebie. Laguna znajdowała się tuż przy brzegu wyspy, otoczonej lazurowymi wodami, białą pianą i lśniącymi grzywami fal. Ze środka wyspy wznosiły się szczyty gór pokryte śniegiem. Z wodospadów tryskających do morza zwieszały się łukami dwie bliźniacze tęcze. Gdzieś, hen w dole, o wiele mil stamtąd, przycupnęło w swej zacisznej zatoce pirackie miasteczko Jakuba Haka. Jeszcze dalej, tam gdzie niebo i ocean spotykały się na linii horyzontu, słońce rzucało złocistopurpurowy blask chyląc się ku zachodowi.

Piotr spojrział w niebo i zdziwił się, że widzi nie jeden, ale trzy księżyce, biały, brzoskwiniowy i wreszcie różowy, które w najlepsze świeciły pospołu.

A w samym środku laguny stało największe drzewo, jakie kiedykolwiek widział w życiu — wielkie, sęcate, jakby ktoś przeniósł je na tę skałę ze starych borów, wznosiło się wysoko ku niebu z rozłożonymi jak w błagalnym geście konarami. To mógł być klon albo dąb, a może jedno i drugie naraz, ale wyglądało jeszcze dostojniej.

Coś takiego pojawiała się chyba w marzeniach jego dzieciństwa.

Albo w snach.

Nibydrzewo. To chyba wiatr szepnął mu do ucha to imię.

Ruszył w stronę drzewa, mijając żółte kwiaty z różowymi koniuszkami; kiedy przechodził, nachyliły się nad nim ciekawie, żeby je powąchać. Odskoczył nie wierząc własnym oczom. Kwiaty kichnęły. Co jest? Cofnął się niepewnie. Kwiaty, które wachają i kichają?

Wciąż zmagał się z tą zagadką, kiedy nagle stąpnął na jakąś pętlę ze sznura, która zacisnęła się wokół jego kostek, zbiła go z nóg i zawiesiła głową w dół pomiędzy trzema gałęziami. Wszystko wypadło mu z kieszeni — karty kredytowe, portfel, klucze i monety. Piotr starał się wyprostować, ale lina naprężyła się i zawisł bezradnie.

— To nie do wiary — powiedział do siebie.

Wisiał tak przez chwilę zastanawiając się, co robić.

W końcu po kilku próbach udało mu się wychylić na tyle, by złapać się za nogi (naprawdę będzie musiał wziąć się za siebie i poćwiczyć), a potem chwycił trzymającą go linę. Postanowił rozbijać się na tyle, by złapać pobliską gałąź, która wydawała się dostatecznie gruba, aby go utrzymać.

Nagle zauważył, że z gałęzi zwisa jakiś zegar w drewnianej, zdobionej obudowie; wyglądał na górną część stojącego zegara z jakiegoś angielskiego domu. Tarcza zegara wyłożona była złotem i srebrem, a wokół biegł wzór w kształcie winorośli.

Piotr schwycił się gałęzi potrząsając zegarem, z którego wydobył się jakiś okrzyk.

Tarcza zegara otworzyła się i ze środka wyleciała wróżka Dzwoneczek. Zatonczyła w powietrzu kilka kótek i w końcu przysiadła na Piotrze, przybierając dwakroć większą niż zwykle postać.

— Żyjesz! — zawołała.

Wrota pamięci otwały się w jednej chwili i Piotr przypomniał sobie wszystko.

— Dzwoneczku! Muszę ratować Maggie i Jacka! Uwolnij mnie z tej pułapki!

Ale wróżka była nazbyt zaaferowana; latała w tę i z powrotem całując go w policzek swoimi usteczkami i wykrzykując radośnie:

— Ty żyjesz, ty żyjesz!

— Tak, chyba dzięki syrenom, ale nie jestem tego taki pewien. Czy tu są syreny? — nie chciał jednak zastanawiać się nad tym zbyt długo. — Dzwoneczku, co z moimi dziećmi? Co mam robić? Jak mam walczyć z Hakiem? Przecież nie umiem! Spójrz na mnie! Jak ja wyglądam! Gruby i bez kondycji, nie mógłbym nawet walczyć ze swoim cieniem, nie mówiąc o jakimś piracie. . .

— Zagubieni Chłopy — wykrzyknęła wróżka, jak gdyby to miało rozwiązać wszystkie problemy. — To jest Nibydrzewo, Piotrusiu! To jest ich dom! Potrzebujesz ich, jeśli chcesz zmierzyć się z Hakiem! Musimy tylko przekonać ich, że jesteś Piotrusiem Panem!

— Ale nie jestem! Jestem Piotr Banning! — jęknął.

— Ha! Na razie! Może na to jeszcze nie wyglądasz, ale jesteś bardziej Piotrusiem Panem, niż ci się wydaje! Będziesz walczył z Hakiem i odzyskasz swoje dzieci. Obiecuję ci to! Zobaczysz!

Podleciała w górę do liny, na której wisiał Piotr, wyjęła nie wiadomo skąd nożyczki i zaczęła ciąć.

Piotr rzucił szybkie spojrzenie na ziemię — była daleko.

— Zaczekaj, chyba nie. . . — próbował protestować, kiedy nagle lina puściła i spadł z przerażającym, przeciągłym krzykiem na poszycie z mchu.

— On wrócił, wrócił! — usłyszał wołanie wróżki i jak przez mgłę dostrzegł, że Dzwoneczek wlatuje ku koronie wielkiego drzewa.

— Zagubieni Chłopy! Wychodźcie! To Piotruś Pan! On wrócił!

Piotr utkwiał wzrok w rozległej płataninie konarów, obserwując w zdumieniu to, co się miało za chwilę wydarzyć.

Kiedy wróżka przelatywała z gałęzi na gałąź, błyskając świecidełkiem na tle kory i liści ocienionych zapadającym zmrokiem, Nibydrzewo zaczęło ożywać. Gałęzie zatrzęsły się, rozbrzmiały dzwonki i gwizdki, z trzaskiem otwierały się drzwi. Zewsząd wyłaniali się chłopcy, zwinni i szybcy jak koty. Pierwszy z nich miał długie, jasne włosy, kamizelkę, kapelusz i niósł róg jeleni. Zadał w niego natychmiast, i na jego głęboki, niski dźwięk wszystko poruszyło się i wysypali się chłopcy, pstrokata zbieranina w ubrankach wszelkich możliwych rodzajów; z radosnym okrzykiem „Piotruś Pan!” spuszczali się na dół po pnączach i linach, zjeżdżali po rynnach zrobionych z wydrążonych kłód drzewa, wyskakiwali z opuszczających się sieci i wiader.

Piotr podniósł się na łokciach zadziwiony ich energią. Teraz z kolei poruszyła się ziemia i Zagubieni Chłopy zaczęli wychodzić z podziemnych tuneli i jaskiń, pomiędzy korzeni drzewa, z pniaków, z wielkich kęp trawy. Dziesięciu, piętnastu, przynajmniej dwudziestu, wyrastali zewsząd jak grzyby po deszczu. Byli różnego wzrostu i koloru skóry, ale wszyscy z błyskiem w oczach i radosnym krzykiem wybiegali na powitanie Piotrusia Pana.

Chwilę później zebrali się wokół niego. Piotr podniósł się niepewnie na kolana. Chłopcy cofnęli się o krok, obserwując go w milczeniu, a po chwili wszyscy zaczęli naraz mówić.

— To on? Niech no popatrzę. To naprawdę Piotruś Pan? — zdziwił się jeden z nich.

— Za stary i za gruby. To jakiś dorosły! To nie Piotruś! — stwierdzili inni.

— Jestem Piotr Banning — powiedział nieśmiało.

Natychmiast zaczęli jeden przez drugiego wykrzykiwać własne imiona. As, blondynek z jelenim rogiem. Niepytaj, w krawacie, koszuli z okrągłym kołnierzykiem i biało-niebieskiej, kraciastej kurtce. Klamka, z rudymi, kręconymi włosami i okrągłą, uśmiechniętą buzią. Nieśpik, o hebanowej skórze, w ubranku w paski i w czapce gazeciarza. Kieszonka, ciemnowłosa chłopiec z wielkimi, brązowymi oczami, w kraciastej, miękkiej czapce i kieszeniami naszytymi wszędzie na jego czerwonym ubraniu. Zamały, taki faktycznie był, o niepewnym uśmiechu i kręconych brązowych włosach tego samego koloru, co włosy Jacka.

„Taki jak Jack” — pomyślał Piotr z rozpaczą.

I w końcu Baryłka, który przybył w becze i wyskoczył z niej z takim hukiem, że wszyscy aż jęknęli. Okrągły, pulchny dzieciak w wełnianej czapeczce, trzymał w ręku coś, co wyglądało na pierwszy rzut oka jak kartka z atlasu medycznego z obrazkiem ludzkiej postaci i strzałkami pokazującymi rozmaite części ciała.

Byli też inni, więcej imion niż Piotr mógł spamiętać, czy choćby usłyszeć w tym hałasie. Przyglądał się ich buziom, pstrokatym ubrankom. Dzieci! Sami chłopcy, Zagubieni Chłopcy.

Mają broń, zauważył nagle. Noże, tomahawki, proce i łuki wszelkiego rodzaju i kształtu. I dziecięce grzechotki! Każdy z Zagubionych Chłopców miał swoją grzechotkę zawieszoną na szyi lub u pasa. Piotr nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Opowiedz nam coś, opowiedz! — zaczęli wołać niektórzy, zwłaszcza ci najmniejsi.

Inni zaczęli jednak zaraz pytać.

— A co by powiedział Chulio?

— Słuchajcie! To on! To naprawdę Piotruś Pan! — zawołała wróżka.

Nagle rozległ się przenikliwy dźwięk, jakby pianie koguta o świcie, ostre i dumne. Zagubieni Chłopcy obrócili się krzycząc: „Chulio!”

Wróżka Dzwoneczek podleciała do Piotra.

— Chulio jest tutaj. On jest teraz przywódcą i jego będzie trudno przekonać. Nie znasz Chulia, prawda?

Coś poruszyło się ponad ich głowami w gałęziach Nibydrzewa. To coś, przypominające deskę z żaglem, pomknęło w dół jak wagonik w wesołym miasteczku po drewnianej rynnie biegnącej wzdłuż Nibydrzewa. Na żaglu wymalowane były

jakieś obrazki, a przy maszcie stał chłopiec. W jednym ręku trzymał cienki, złoty mieczyk, należący niegdyś do Piotrusia Pana. Kiedy pojazd dotarł do zakrętu, chłopiec wyskoczył w powietrze z rozpostartymi ramionami. Zgięty w łuk spadał pionowo na ziemię i w ostatniej chwili chwycił się zwisającego pnącza, wyprostował i zgrabnie wylądował pośród Zagubionych Chłopców, podnosząc w górę triumfalnie ręce i miecz.

— Chulio! Chulio! — zawołali rozradowani chłopcy.

Był większy od pozostałych; na jego śniadej twarzy widniał szeroki uśmiech, znamionujący pewność siebie, a głowę zdobił czerwono-czarny pióropusz włosów, ułożonych na punkowską modłę. Miał na sobie spodnie i koszulę z frędzlami, czerwone buty, skórzane bransolety na nadgarstkach i wielki nóż zawieszony u pasa.

Uśmiechał się, dopóki trwały wiwaty na jego cześć, ale kiedy odwrócił się do Piotra, spoważniał.

Piotr podszedł do niego z wycelowanym palcem.

— Dobra, proszę szanownego pana, pobawiłeś się. A teraz odłóż to, zanim komuś wybijesz oko! Czy wiesz, jaki niebezpieczny był ten skok? Mój Boże! Spadłeś z bardzo wysoka z ostrzem w ręku! To jest idiotyczna, młodocianna anarchia! Gdzie są twoi rodzice? Chcę porozmawiać z kimś z twoich opiekunów!

Większość naszych reakcji potrafimy jakoś kontrolować, niezależnie od sytuacji. Tylko niektóre są tak wybuchowe, że nic prócz żelaznej przepaski na ustach nie jest w stanie ich powstrzymać. Niestety, właśnie do takich reakcji należało poczucie Rodzicielskiej Odpowiedzialności Piotra Banninga.

Wróżka błysnęła mu przed oczami sycząc:

— Piotrusiu, nie rób tego!

Chulio podniósł groźnie do góry miecz.

— Ja tu jestem opiekunem.

Piotra zamurowało.

— Dzieciak? Chcę mówić z kimś dorosłym — i to zaraz!

Chulio zrobił groźną minę.

— Wszyscy dorośli to piraci. A my zabijamy piratów.

— No tak, ale ja nie jestem piratem. Tak się złożyło, że jestem prawnikiem! — odparł Piotr.

Wśród Zagubionych Chłopców rozległo się wycie. Chulio rzucił swój miecz w powietrze.

— Zabić prawnika! — krzyknął.

Wybuchła wrzawa. Piotr zawahał się na chwilę reflektując się, że być może powiedział coś niestosownego, a potem rzucił się do ucieczki.

— Zabić prawnika! Zabić prawnika!

Wbiegł do jakiegoś tunelu. Brnął przed siebie nie zastanawiając się, dokąd idzie; przypomniał mu się *Władca much* i przestraszył się, że sprawy mogą przy-

brać podobny obrót. Zaczął wzywać rozpaczliwie wróżkę — może ona coś tu zaradzi — ale bez skutku. Krzyki Zagubionych Chłopców były coraz bliżej. Wypadł z tunelu i znalazł się blisko laguny i wodospadu.

Bach! Bach!

Spojrzał na siebie i stwierdził, że sterczą z niego strzały. A raczej sterczą na nim — przyłgnęły do jego koszuli. Jedna z nich utkwiała mu między nogami.

— Zostałem postrzelony! — wykrzyknął w przerażeniu.

Doleciał go okrzyk radości wzniesiony przez grupkę Zagubionych Chłopców.

— Stoper Serca, Łaskotki, Bezpiecznik Wymiotów i Dziadek do Orzechów! — oznajmił Niepytaj, pokazując na wykres trzymany przez Baryłkę.

Były na nim nazwy i ilość punktów za każdy strzał. Piotr przyjrzał się sobie.

— Co to jest? — dotknął końca oderwanej strzały. — Klej! Co za paskudztwo!

Nagle rozległ się turkot pojazdu Chulia. Piotr odwrócił się i ledwie dysząc pobiegł z powrotem do tunelu. U jego wylotu też rozbrzmiewały jakieś krzyki, ale Piotr nie miał wyboru i popędził przed siebie wypadając z tunelu wprost na Klamkę i Nieśpika, którzy zaczęli przed nim uciekać.

— Na pomoc! — zawołałi chłopcy. — On nas goni!

— Wcale nie! — rzucił Piotr. — To wy mnie gonicie!

— Nie — powtórzyli z dziecięcym uporem. — To ty nas gonisz! — i czmychnęli.

Bliźniacy w staromodnych, postrzępionych mundurkach skautów ruszyli, by zagrozić drogę Piotrowi, ale nagle pojawiła się wróżka i szarpnęła za pnącze, przewracając ich na ziemię.

— On poślubił wnuczkę Wendy! Hak porwał jego dzieci! Musimy go przygotować do walki! — zawołała do nich.

Bliźniacy spojrzeli po sobie.

— O czym ona mówi? — odezwali się jednocześnie.

W tym momencie nadjechał pojazd Chulia i uderzył Piotra, który padł jak kłoda. Leżał ledwo dysząc i zastanawiając się, dlaczego spotyka go taki los. Nagle spostrzegł, że nachylają się nad nim kwiaty i wachają go. Wyglądało na to, że lubią klej. Odrzącił je i znów zaczął biec.

Zagubieni Chłopcy rzucili się za nim w pogoń radośnie pokrzykując. Dla nich to była tylko zabawa.

— Pomocy! — wrzasnął Piotr.

— Pomocy! — wrzasnęli Zagubieni Chłopcy.

As wysunął się na czoło gromadki chłopców, założył strzałę na cięciwę, wycelował i strzelił. Strzała przykleiła się Piotrowi do pośladków.

— Tylne Oko — pięć tysięcy — wykrzyknął triumfalnie As, przekrzywiając swój kapelusz.

Niepytaj spojrział na wykres Baryłki.

— A skąd! Pupsko — dwieście.

As zezłościł się.

— Poskarżę się na ciebie!

— A ja na ciebie dwa razy — odciął się Niepytaj.

Wróżka krążyła między nimi.

— A ja na was wszystkich! Piotruś Pan jest waszym kapitanem! I potrzebuje was!

Chulio właśnie celował z procy w uciekającego Piotra, kiedy podleciała do niego wróżka, chwyciła go za pióropusz i przewróciła na ziemię.

— Chulio, ty jesteś najlepszym szermierzem! Naucz go walczyć! Musimy mu przypomnieć, kim jest!

Jej wysiłki były jednak daremne. Zagubieni Chłopczy nie ustawiali w pogoni, zapędzając w końcu Piotra przez bambusową bramę na ukryty dziedziniec pod Nibydrzewem. Piotr był już zupełnie wyczerpany i czuł, że za chwilę dostanie zawału. Nagle spostrzegł, że znalazł się w pułapce. Zewsząd otaczali go Zagubieni Chłopczy, którzy podjeżdżali do niego na wrotkach i deskorolkach, odbijali się od ścian, krzyczeli i podskakiwali. Ktoś przebiegł obok niego z piłką do koszykówki. Kto inny wskoczył na trampolinę i przeleciał mu nad głową. Jeszcze inni czepiali się zwisających pnączy. Piotr biegał w tę i z powrotem, ale nie miał dokąd uciec.

W końcu zawrócił do bramy, ale tam czekał już na niego Chulio. Chłopiec zeskoczył z bramy z uniesionym mieczem. Piotr zachwiał się i upadł.

Chulio zbliżył się do niego i dotknął go mieczem.

— Jesteś martwy, przyjemniaczku.

Piotr zamrugał.

— Co jest, do diabła?

Po chwili, uczepiony pnącza, zeskoczył As. Uniósł swoją maczugę i dotknął Piotra.

— Bangerang! — wykrzyknął.

Chulio chwycił Piotra i pchnął go na ogrodzenie. Piotr osłupiał. Zaczynał myśleć, że znalazł się w domu wariatów. Wspiął się na ogrodzenie, ale niestety zaraz ześlizgnął się w dół i znów otoczyli go chłopcy potrząsając maczugami, tupiąc i wznosząc triumfalne okrzyki.

Chulio szarpnął Piotra spoglądając na niego z pogardą.

— Jeśli jesteś Piotrusiem Panem, udowodnij to. Zobaczymy, jak latasz!

Znów rozległy się krzyki: „Niech lata! Niech lata!” i popatrywali wyczekująco. Piotr rozejrzał się bezradnie.

— A umiesz chociaż walczyć? — zapytał Chulio.

Chłopczy wyciągnęli swoje szable, noże i wycelowali je w Piotra. As wcisnął mu miecz do rąk. Piotr trzymał go przez chwilę z niepewną miną, aż w końcu Chulio wytrącił mu broń z ręki.

— Ostatnie pytanie, przyjacielu — oznajmił Chulio. — Czy umiesz piąć?

Piotr zaczerpnął powietrza i wydał z siebie dźwięk przypominający pisk kurczęcia. Chulio zatkał sobie uszy z obrzydzeniem. Zagubieni Chłopcy jęknęli i zaczęli się wyśmiewać.

Nagle pojawiła się wróżka.

— Głupie osły! Mówiłam wam, że on nic nie umie! On nie zna nawet najprostszych zabaw! Wszystko zapomniał! Ale Hak uwięził jego dzieci i ja mam trzy dni, żeby przygotować go do walki z kapitanem! On potrzebuje pomocy nas wszystkich!

Ktoś z Zagubionych Chłopców zapytał ze zdziwieniem:

— Piotruś Pan ma dzieci?

— Rodzinę, obowiązki i nawet trochę pieniędzy — dodała poważnym tonem wróżka. — Ale to wciąż nasz Piotruś Pan.

Chulio ryknął coś niezrozumiałego do Zagubionych Chłopców i narysował mieczem linię na ziemi. Przeszedł na jedną stronę linii i wskazał na Piotra.

— On nie umie fruwać, walczyć ani pisać — niech zatem każdy z was, który uważa, że to nie jest Piotruś Pan, przejdzie tę linię i stanie koło mnie.

Piotr od razu rzucił się, by przekroczyć linię, ale wróżka chwyciła go za szelki i odciągnęła z powrotem.

— Przeszkadzasz mi! — rzuciła gniewnie.

Zagubieni Chłopcy spoglądali na przemian na Chulia i Piotra, i jeden po drugim przechodzili przez linię. Po chwili na drugiej stronie pozostał tylko Kieszonka, obserwując Piotra spod swojego kapelusika. Ociągając się, podszedł do niego i dotknął jego koszuli. Z poważną miną wpatrywał się w oblicze Piotra, a potem zaczął metodycznie ugniatać mu twarz, wygładzać jego zmarszczki, przyciskać obwisłe policzki i podbródek. Nagle przerwał i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— A więc to ty, Piotrusiu — ucieszył się.

Kilku chłopców podeszło bliżej bacznie przyglądając się odmienionym rysom twarzy Piotra.

— To on? — szeptali do siebie. — To Piotruś Pan? Piotrusiu, to ty?

Piotr wybełkotał coś niezrozumiałego przez zniekształcone usta.

— Ale ty jesteś dorosły, Piotrusiu! — jęknął Klamka. — Obiecałeś, że nigdy nie dorośniesz!

— Ale ma duży nos, co? — zauważył Niepytaj.

— Witamy w Nibylandii, Dorosły Piotrusiu — powiedział Zamały.

Na twarzach chłopców pojawiła się nadzieja, także u tych, którzy stali po drugiej stronie u boku Chulia. Zaczęli przysuwać się bliżej.

Tylko Chulio nie dał się przekonać, a w jego ciemnych oczach widać było złość.

— Nie słuchajcie tej wróżki z mózdzkiem komara i tego starego brzuchacza. Ja mam miecz Piotrusia Pana. Ja jestem teraz Panem. Może ten facet mi go zabierze, co?

As, Nieśpik, Baryłka i Klamka z powrotem przeszli linię i stanęli obok Chulia.

— Zacekajcie — powiedział Kieszonka. — Jeśli Dzwonecek tak uważa, to może on jest Piotrusiem.

Czterech Zagubionych Chłopców z powrotem przeszło na stronę Piotra.

— Chcecie iść z tym niedojdą na kapitana Haka?

Tym razem wszyscy przeszli na stronę Chulia, oprócz Kieszonki, Baryłki i Zamałego.

— A co on tu robi, jeśli nie jest Piotrusiem Panem? — zapytał poważnym głosem Kieszonka. — Chyba się nie ciesy, że tu jest. Co to za dzieci, które porwał Hak? Dajmy mu sanse.

Piotr wyprostował się.

— To są moje dzieci, a Hak je zabije, jeśli go nie powstrzymam. Pomóżcie mi, proszę!

Kieszonka spojrzał na niego.

— Powiedziałeś to słowo na „p” — szepnął wzdrygając się.

Zaczynało zmierzchać i pod gałęziami Nibydrzewa nastawa! mrok. Słońce niemal znikło za oceanem topniejąc z każdą chwilą na horyzoncie niczym pomarańczowy lukier. Wróżka Dzwoneczek fruwała nad głowami chłopców zapalając latarenki. Zagubieni Chłopcy i Piotr przyglądali się jej bez słowa. Po chwili przysiadła na ramieniu Piotra.

— Kiedy nie ma z wami Piotrusia, czy nie pytacie zawsze: „Co zrobiłby Piotruś?” — powiedziała poważnym tonem.

Chłopcy zrobili wielkie oczy.

— Właśnie, co zrobiłby Piotruś? — powtórzyli za nią. — Zróbmy to, co zrobiłby Piotruś! Co zrobiłby Piotruś?

— Wiem, wiem! — wykrzyknął w podnieceniu As. — Odbiłby Zagubionych Chłopców!

— A czy wy nie jesteście Zagubionymi Chłopcami? — zapytał Piotr.

— Oczywiście — obruszył się Niepytaj. — Ale tu nie ma wszystkich. Hak złapał wielu. Porywa nas, kiedy nie uważamy. A potem wystrzeliwuje nas z armaty.

— Albo przykuwa do skały tak, żeby nas zalewały fale — dodał Klamka.

— Albo wysyła nas na belkę skazańców! — oznajmił As.

— A najmniejsi muszą po niej pełzać! — szepnął Zamały spoglądając lekliwie na Chulia. — Boimy się ich odbić bez Piotrusia Pana — ściszył głos. — Nawet Chulio.

Chulio splunął.

— Najsilniejsi zawsze zostają. Hak łapie ślamazary i głupków. Bez nich jest nam lepiej.

Piotr rozejrzał się wokół i dostrzegł na ich dziecięcych umorusanych buziach niepewność i wątpliwości, kim są i jak mają postępować. W ciemności rozlegały się ich szepty.

„Mam tylko ich — uświadomił sobie bezradnie. — Dzieci. Czy mi się to podoba, czy nie, potrzebuję ich, jeśli chcę uratować Jacka i Maggie”.

Ostrożnie odsunął się od bambusowego ogrodzenia.

— Posłuchajcie. Przyznaję, że źle się zachowałem wobec was. Wszystko jest tu jakby postawione na głowie, ale zaczynam się do tego przyzwyczajać. I powiem wam jedno — zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uratować dzieci. Jeśli będę musiał, nawet wejdę pod stół i zaszczekam.

Baryłka pociągnął go za rękaw.

— Nie musisz wcale czekać. Masz tylko piąć.

— Dobrze, zapieję. Zrobię wszystko, co trzeba. Jeśli będę musiał walczyć, będę walczył. Jeśli będę musiał fruwać, pofrunę... — tu przerwał i zreflektował się. — Albo przynajmniej bardzo szybko pobiegnę — wymamrotał. — To mógłbym zrobić.

Kieszonka uśmiechnął się do niego.

— Hurra! Tak powiedziała by Piotruś! Tak by powiedział!

Chulio prychnął pogardliwie i odszedł. Pozostali Zagubieni Chłopcy powędrowali za nim mrużąc coś do siebie niepewnie. W końcu został tylko Kieszonka.

— Chodź, Piotrusiu — powiedział cicho.

Znekany i wyczerpany do cna Piotr poszedł za nim.

Było jasne, że nie przekonał nikogo.

Zemsta

Słońce znikło za horyzontem, tonąc w przepastnych wodach oceanu i półmrok zamieniał się w ciemność letniej nocy — ciepłej, łagodnej, pełnej niezwykłych zapachów i dźwięków. Pod osłoną nocy tętniło niewidzialne życie, świat tajemnic i przygód, jakich mali chłopcy szukają w swych marzeniach.

Na pokładzie „Wesołego Rogera” kapitan Hak właśnie rozmyślał o pewnym małym chłopcu, który stał się dorosły.

— Jak on mógł mi zrobić coś takiego? — mruczał do siebie niepocieszony.

Kapitan Hak siedział za stołem w swojej kajucie usłanej łupami z jego nikczemnych grabieży — złoto, srebro i szlachetne kamienie; meble zrabowane władcom najpotężniejszych państw; gobeliny i obrazy z prywatnych kolekcji zachłannych ludzi z sześciu (a może i siedmiu) kontynentów; broń ręcznej roboty, używana przez dżentelmenów, którzy chcą się nawzajem zabijać; bele jedwabiu i angielskiej wełny z wytwornych sklepów; mosiężne instrumenty nawigacyjne — niektóre z nich należały podobno do Kolumba; i oprawne w skórę dzieła największych pisarzy — a jednym z ulubionych autorów kapitana Haka był sir James Barrie.

W pokoju znajdowała się makieta Nibylandii, wykonana z dbałością o najmniejszy szczegół; były tam miniatutki „Wesołego Rogera” i miasteczka piratów, wioski Indian, laguny syren i nawet Nibydrzewo, a wszystko zalane wokół prawdziwą wodą.

Tego wieczora Hak nie zwracał jednak uwagi na swoje skarby. Siedział wpatrując się niewidzącym wzrokiem w wystawną kolację, którą właśnie podał mu Śmierdziuch. Pieczeń z afrykańskiego dzika, kukurydza, młode ziemniaki, galareta po piracku z kawiozem i kruche ciasto — jego ulubione potrawy. Śmierdziuch stał obok oczekując pochwały, ale uśmiech nadziei powoli zamierał na jego puciołowatej twarzy.

W końcu Hak pochylił się i powąchał jedzenie, wziął do ręki widelec, chcąc spróbować kawałek, i nagle zatrzymał się. Odłożył go z powrotem.

— Jak ja mogę jeść! — jęknął. — Śmierdziuchu, czy ty wiesz, co to znaczy czekać na coś tak bardzo, że już się to czuje? Czy ty masz pojęcie, co to znaczy czekać na coś całym sercem i duszą?

Bosmanowi przyszło nawet coś do głowy, ale nie był pewien, jakiej odpowiedzi oczekuje kapitan. Doświadczenie podpowiadało mu, że jeśli nie zna się właściwej odpowiedzi, lepiej w ogóle się nie odzywać.

Hak wciąż wpatrywał się w stół.

— Przedwczoraj nie mogłem zasnąć, tak bardzo wyczekiwałem. A chciałem oczywiście zasnąć, aby szybciej nadszedł następny ranek. Wczoraj mogłem myśleć tylko o tym, kiedy przyjdzie dzisiejszy dzień. A dzisiaj? Dzisiaj byłem już cały zasupłany, poskręcany w środku. Byłem jednym, nieznośnym wyczekiwaniem, Śmierdziuchu! Wyczekiwaniem na przybycie Piotrusia Pana i rozpoczęcie mojej wspaniałej wojny!

Na jego twarzy pojawił się uśmiech i rozbłyły mu oczy, Na chwilę rozpacz zniknęła z jego oblicza i znów był dawnym kapitanem Hakiem, przebiegłym i bezwzględny.

Ale zaraz powrócił ponury nastrój, a jego czoło zasnuła gradowa chmura. Podniósł się z rykiem i zaczął wściekle orać hakiem po stole.

— Jestem taki rozczarowany! Nienawidzę rozczarowań! Nienawidzę Nibylandii! Nienawidzę wszystkiego! — wrzeszczał. — Ale nade wszystko nienawidzę Piotrusia Pana!

Odszedł od stołu i wyjął zza pasa pistolet wysadzany złotem i diamentami.

— Tylko nie to! — jęknął Śmierdziuch.

— Moje życie jest skończone — zadeklamował dramatycznie Hak. — Nie będę miał swojej wojny! Piotruś Pan ją ukraść! Moją kochaną, wspaniałą wojnę! Już czułem dym armat i zapach stali! Teraz już po wszystkim! Moja wojna przepadła!

Przyłożył sobie lufę pistoletu do serca i odwiódł kurek.

— Kapitanie, nie rób tego — zawołał Śmierdziuch, machając rękami.

Hak wyprostował się.

— Tym razem nic mnie nie powstrzyma. Żegnaj!

Wysunął szczękę i zacisnął palce na spuście. Zamknął oczy, ale ukradkiem spozierał spod przymkniętych powiek. Widząc, że bosman się waha, wrzasnął:

— Śmierdziuchu!

Śmierdziuch rzucił się do przodu, wsadził palec pomiędzy kurek i spłonkę i wrzasnął z bólu. Hak zasyczał, wyrwał pistolet i włożył Śmierdziuchowi lufę do nosa. Bosman chwycił pistolet obiema rękami, starając się odwrócić lufę w drugą stronę. Zaczęli się mocować.

— Chcę umrzeć! — ryknął Hak. — Nie ma już przygód w Nibylandii! Moim przeznaczeniem okazał się tłusty Piotruś! Została mi tylko śmierć!

— To nie jest najlepsze wyjście, kapitanie — Śmierdziuch zahuczał do lufy pistoletu.

Potoczyli się na stół, który zaraz załamał się pod nimi i rozleciał w drzazgi. Pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem. Śmierdziuch na szczęście wyjął sobie wcześniej lufę z nosa i kula śmignęła koło jego ucha, uderzając w miniaturkę

„Wesołego Rogera”. Hak i Śmierdziuch przyglądali się wstrząśnięci, jak mały okręcik znika pod wodą, puszczając strugę baniek. Spojrzeli na siebie, dysząc ze zmęczenia.

— Nawet to — wyszeptał Hak — nie było tak zabawne jak powinno.

Wstał, otrzepał się, podkręcił wąsy, poprawił krzesło, usiadł i z bólem na twarzy zaczął znów ładować pistolet.

Śmierdziuch podniósł się z ziemi. Na brodzie miał okruchy ciasta i dżem na czubku nosa. Kiedy pistolet był już nabity, Śmierdziuch wyjął go niepostrzeżenie kapitanowi. Poklepał Haka uspokajająco po ramieniu, włożył pistolet do szuflady i zamknął go na klucz.

— Wszystko w porządku — powiedział łagodnie. — Jutro wszystko będzie wyglądać inaczej. Trzeba iść spać. Śmierdziuch położy pana do łóżeczka. Tak będzie najlepiej. Pan wie, że bez wypoczynku wygląda pan jak zanurzona rufa.

Hak spojrział na niego z wdzięcznością. Był zmęczony. Śmierdziuch podszedł do wielkiej drewnianej korby tkwiącej w ścianie i zaczął nią obracać. Powoli spod sufitu opuściło się łóżko kapitana zatrzymując się nad makietą Nibylandii. Bosman podszedł do Haka i zapytał:

— Niech mi pan powie, cóż to byłby za świat bez kapitana Haka?

Poprowadził Haka przez pokój jak małe dziecko i posadził go na łóżku.

— Dobrze manieri, Śmierdziuchu — oznajmił cicho Hak i w jego oczach można było wyczytać coś w rodzaju wdzięczności. — Jaki byłby świat bez kapitana Haka?

W przyplywie nagłego wzruszenia objął Śmierdziucha, jakby odnalazł utraczonego przyjaciela — jeśli w ogóle miał jakichkolwiek.

Śmierdziuch wysunął się ostrożnie z jego uścisku, zerkając na hak.

— Kapitanie, coś mi się zdaje, że trzeba panu jakiegoś świniństewka, żeby się rozerwać i nie myśleć tylko o Piotrusiu Panie.

Wpatrywali się w siebie w milczeniu. Śmierdziuch zdjął Hakowi kapelusz, a potem pochylił się i ściągnął mu buty. Hak od razu zrobił się mniejszy.

— Z samego rana wystrzelimy kilku Zagubionych Chłopców z Długiego Tomasza. To powinno wystarczyć.

Długim Tomaszem nazywano olbrzymią armatę umocowaną na tylnym pokładzie. To była ulubiona broń kapitana. Hak zastanawiał się przez chwilę nad tym pomysłem, ale zaraz potrząsnął głową.

— Zawsze możemy zabijać Zagubionych Chłopców — jęknął żałośnie. — A ja chcę zabić Piotrusia Pana!

Śmierdziuch rozpiął kapitanowi płaszcz i zdjął mu go z ramion. Płaszcz miał grubą podszewkę, dzięki czemu kapitan wydawał się dwa razy większy i groźniejszy. Teraz, kiedy siedział na łóżku bez płaszcza, wyglądał bardzo niepozornie.

— Nie torturuj się, kapitanie — ciągnął Śmierdziuch. — To nic nie da. Poza tym, nie może pan pozwolić, żeby ludzie zobaczyli pana w takim stanie, praw-

da? — przerwał na chwilę. — Spójrzmy na to od przyjemniejszej strony. Może pan przecież rozprawić się z jego sakramenckimi bachorami.

Hak potrząsnął swoimi czarnymi lokami, które zakręciły się jak węże.

— Och, Śmierdziuchu, to strasznie złe maniery. Okropnie brzydkie. Zabijać bezbronne dzieci bezbronnego wroga? Nie spodziewałem się tego po tobie.

Śmierdziuch wzruszył ramionami, pochylił się i zaczął zdejmować Hakowi jego krzaczaste brwi.

— Delikatnie, delikatnie — napomniął go kapitan.

— Raz dwa i po krzyku — odparł Śmierdziuch i oderwał je. — Lepszy ostry ból niż długotrwałe cierpienie, jak zawsze pan mawia.

Hak skrzywił się.

— Nie cytuj mnie, Śmierdziuchu. Och, jak chciałbym wymyślić dla Piotrusia najdłuższe z cierpień!

Śmierdziuch zaczął zastanawiać się nad tym ściągając Hakowi perukę. Kapitan był niemal łysy. Siedząc tak bez kapelusza, włosów, brwi, podbijanego płaszczka i butów, wyglądał jak wątlwy, pomarszczony Zagubiony Chłopiec. Śmierdziuch zebrał garderobę kapitana i zaniósł za parawan na drugi koniec pokoju.

Nagle zawołał:

— Sir! Mam pomysł! Kapitanie, możesz postarać się, żeby te szkraby polubiły cię — nie, nawet więcej — żeby cię pokochały! Żeby cię pokochały jak, jak... — nie umiał znaleźć słów.

Hak schował głowę w ramionach.

— Nie, nie, Śmierdziuchu. Mnie nie kochają żadne dzieci.

Spojrzał przez palce na parawan skrywający Śmierdziucha, sięgnął ukradkiem pod poduszkę i wyciągnął niewielki klucz. Włożył go do szuflady, otworzył zamek i wyjął swój pistolet. Odwiódł kurek i przyłożył sobie lufę do serca.

Tymczasem za parawanem Śmierdziuch przymierzał ukradkiem buty kapitana.

— To jest to, kapitanie! To jest najśłodsza zemsta! Dzieci Piotrusia Pana zaczynają kochać kapitana Haka! Pięknie mu pan się odpłaci!

Hak zastanowił się. Z pomarszczonym czołem wyglądał teraz o dziesięć lat starszej. Pistolet opadł. A może...

Śmierdziuch przymierzał teraz kapitański płaszcz, podziwiając swoje odbicie w lustrze.

— Czy może pan sobie wyobrazić minę Piotrusia, kiedy wróci i zobaczy, że jego dzieciaki trzymają z panem! — Śmierdziuch zakręcił się zawadiacko powiewając płaszczem. — I że gotowe są walczyć dla największego nikczemnika siedmiu mórz? Dla kapitana Haka? Mówię panu, kapitanie, to będzie cudowne!

W zmęczonych oczach Haka pojawiła się iskierka nadziei.

— Podoba mi się to — szepnął. — Jest w tym pewna symetria.

— Będzie pan doskonałym ojcem — zachęcał go Śmierdziuch, przymierzając jego perukę.

— Ja?

— Pewnie, że tak. Wiem, co mówię.

— Naprawdę? — Hak zastanawiał się nad tym pomysłem. — Może i tak. Wiem co nieco o tym, jak lekceważyć innych.

— Doskonały ojciec — powiedział Śmierdziuch, odkładając kapelusz Haka.

Kapitan ożywił się i skoczył na równe nogi składając ręce w zachwycie.

— Och, Śmierdziuchu, jaka wspaniała myśl przyszła mi do głowy! Nie tylko zniszczę Piotrusia Pana, ale to jego dzieci — tyle, że to będą moje dzieci, na kości groźnego Barbecue, poprowadzą tę bitwę! Będę kochany! Jakub Hak rodzinny człowiek! Jakub Hak ojcem!

Śmierdziuch przejrzał się w lustrze, po czym włożył sobie do ust cygarniczkę z dwoma cybuchami i pyknął z niej z zadowoleniem.

— To jest najpiękniejszy i najbardziej nikczemny plan, o jakim słyszałem — stwierdził z uśmiechem.

* * *

Przedmiot tych łotrowskich zakusów znajdował się o wiele mil stamtąd zwinęty w kłębek na gałęzi Nibydrzewa; marzył, chciało mu się jeść i miał już tego wszystkiego dosyć. Wokół niego spali Zagubieni Chłopcy; schronili się w domkach na drzewie, które zbudowano dla Piotrusia Pana, kiedy przybywał niegdyś do Nibylandii. Dla Piotra nie było oczywiście domku; pojawił się za późno, żeby mu coś zbudować, a poza tym nie był Zagubionym Chłopcem. „W ogóle nie wiadomo, kim jest” — pomyślał z rozpaczą. Był dziwacznym człowiekiem w tym zwariowanym świecie.

Nad jego głową wisały księżycy Nibylandii, niczym olbrzymie japońskie latarnie na nocnym niebie, przyćmiewające swoim cudownym blaskiem gwiazdy. Piotr wpatrywał się w nie i myślał o Moirze i swoim domu. Czy jeszcze kiedyś tam wróci?

W ciemności rozbłysło światło i pojawiła się wróżka Dzwoneczek. Piotr spojrzął na nią, zagubiony, samotny i wylękniony. W tym dziwnym i niepokojącym świecie stała się teraz czymś najbardziej znajomym. Wróżka, jakby czytając w jego myślach, uśmiechnęła się do niego serdecznie.

— Wierz swoim oczom — szepnęła. — Wierz we wróżki i Zagubionych Chłopców, w trzy słońca i sześć księżyców. Jeśli uwierzysz, wszystko będzie dobrze — nachyliła się nad nim. — Poszukaj w sobie jednej, czystej, niewinnej myśli i trzymaj się jej. To, co czyni cię szczęśliwym, pozwoli ci latać. Spróbujesz, Piotrusiu?

Piotr wpatrywał się w nią. W końcu powiedział:

— Jeśli to wszystko jest prawdziwe, to czy reszta mojego życia jest snem?

Wzruszyła ramionami. Wróżki jak wiadomo nie zajmują się filozoficznymi rozważaniami.

— To, co czyni cię szczęśliwym, pozwoli ci latać — powtórzyła, woląc udzielać praktycznych rad.

Piotr skinął głową i zmęczony zamknął oczy.

— Dobrze, Dzwoneczku. Spróbuję.

Wróżka czekała, aż jego oddech stanie się bardziej miarowy. Kiedy zasnął, podeszła ostrożnie do jego ust i pocałowała go. Potem znalazła sobie wygodne miejsce przy jego kołnierzyku i ułożyła się. Piotr zaczął chrapać. Po chwili ona także, ale cichutko i delikatnie. Z każdym oddechem pulsowało jej światełko, gasnąc powoli, kiedy i ona zasnęła na dobre.

W pobliżu, przed wejściem do swojego domku, siedział Chulio i obserwował ich spode łba. Nie podobała mu się ta imitacja Piotrusia Pana, ten tłusty, stary dorosły, który chciał pozbawić go należnego mu przywództwa. Zazdrość zżerała go jak robak. Miał zamiar czym prędzej pozbyć się tego intruza.

Uniósł miecz Piotrusia Pana, a jego oczy zapłonęły jak ogniki w mroku.

Jedno po drugim zniknęły światła na Nibydrzewie, gaszone przez wróżki trzymające nocną wartę. Wróżki fruwały w poszukiwaniu kropel rosy, którą gasiły pragnienie, biedronek, na których odbywały przejażdżki, i maleńkich, tęczowych kryształów, które gromadziły jako swoje skarby. Światła znikły i mrok rozjaśniały teraz tylko księżycy, biały, brzoskwiniowy i blad różowy. Nibylandia odpływała do dziecięcych marzeń i snów, dzięki którym kraina ta jest wiecznie młoda.

Dlaczego rodzice nie cierpią swoich dzieci

Następnego ranka, kiedy kapitan Hak przyjmował w swojej kajucie Jacka i Maggie, był już zupełnie odmieniony — znikł smutek z poprzedniego wieczora, uleciał nastrój przygnębienia. Jego twarz zdobił teraz szeroki uśmiech, niemal jak u krokodyla (choć jestem pewien, że ani Hak, ani żaden szanujący się krokodyl nie ucieszyłiby się z tego porównania). Kapitan paradował w pełnym rynsztunku — błyszczące buty, wyczyszczony płaszcz, peruka zakręcona w loki, kapelusz starannie ułożony na głowie. Miał też nowe koronki na szyi i na rękawach, a jego hak połyskiwał złowrogo. W pokoju znów panował dawny ład, meble ustawione na swoich miejscach, resztki kolacji wyniesione, potrzaskany stół i zatopiona miniatarka „Wesołego Rogera” wymienione na nowe.

Hak był zadowolony. Śmierdziuch długo porządkował kajutę, ale jego trud się opłacił.

Kapitan był w świetnej formie. Jego plan dawał mu niewzruszoną pewność siebie; stał przy drzwiach czekając z założonymi do tyłu rękami, a na jego obliczu malowała się pogoda ducha. Dzieci Piotrusia Pana nastawione przeciw ojcu — to było znakomite. Dzieci Pana kochające kapitana Haka — to urocze. A co najważniejsze, było to niesłychanie przebiegłe.

Hak uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy Śmierdziuch wprowadził dzieci. Na jego kościstej twarzy widać było wyczekiwanie.

— Dzień dobry, dzieci! — przywitał je wylewnie, starając się ukryć swój hak. — Siadajcie tam.

Śmierdziuch poprowadził maleństwa przez pokój (Hak dostrzegł, że zaciekała ich makieta Nibylandii) do ławek ustawionych przed orzechowym biurkiem o złożonych brzegach. Maggie ledwie wystawała podbródkiem ponad blat ławki, Jack już się wiercił i żadne z nich nie wyglądało na szczęśliwe z takiego obrotu sprawy.

Hak stanął przy dwustronnej, obrotowej tablicy wyciągniętej zapewne z jego przepastnych magazynów.

— Czy wiecie, dlaczego tu jesteście? — zapytał z troską w głosie.

Pokręcili przecząco głowami.
— Będziecie tu chodzić do szkoły — oznajmił.
— Do jakiej szkoły? — zapytała podejrzliwie Maggie.
— Szkoły życia, kochanie — odparł wyniośle kapitan i napomniął dzieci. —
Od tej pory, jeśli chcecie coś powiedzieć, macie najpierw podnieść rękę.
— Nie jesteś nauczycielem! — rzuciła mu Maggie.
Śmierdziuch trzasnął linijką w ławkę, aż Maggie podskoczyła. Hak uśmiechnął się dobrotliwie.
— Proszę o spokój. Chyba nie chcecie, żebym wsadził was do aresztu? To może być bardzo nieprzyjemne.
Zakręcił tablicą i obrócił ją na drugą stronę. Jack i Maggie wlepili w nią wzrok. Na tablicy widniał napis:

DLACZEGO RODZICE NIE CIERPIĄ SWOICH DZIECI.

— A teraz, klasa, proszę o uwagę. Na dzisiejszej lekcji mamy do omówienia bardzo obszerny temat. To znaczy: „Dlaczego rodzice nie cierpią swoich dzieci”.
Kiedy odwrócił się do tablicy, Maggie nachyliła się do Jacka i wyszeptwała:
— To nieprawda!
Hak obserwował chłopca kątem oka. Jack nie wyglądał na tak przekonanego jak jego siostra i szepnął jej coś. Hak nie usłyszał, co to było, ale nie musiał, widząc reakcję Maggie.
— To nieprawda! — odparła rozzłoszczona.
Widać było, że stara się znaleźć jakiś argument na poparcie swoich słów i zaraz wykrzyknęła:
— Czy mamusia nie czyta nam bajki co wieczór?
Hak odwrócił się powoli wciąż uśmiechając się i pokazał palcem na Maggie.
— Ty, mały urwisie, w pierwszym rzędzie. Czy nie zechciałabyś podzielić się swoimi myślami z całą klasą?
Tu zatoczył ręką szeroki łuk, jakby oprócz tej dwójki byli jeszcze jacyś inni i czekali na to, co Maggie ma do powiedzenia. Dziewczynka pobladła, ale widać było, że nie ustąpi.
— Powiedziałam, że mamusia czyta nam co wieczór bajkę, ponieważ nas bardzo kocha! — oznajmiła głośno.
Hak udał zdziwienie.
— Kocha was? — powtórzył te słowa, jakby nie miały żadnego sensu.
Spojrzał porozumiewawczo na bosmana.
— Czy to przypadkiem nie to słowo na „k”, Śmierdziuchu?
Śmierdziuch potrząsnął głową z dezaprobatą. Hak stanął przed dziećmi i powoli poskrobał swoim hakiem po ławce.

— Kocha? Nie sędzę. Czyta wam po to, żeby was ogłupić, ukołysać do- snu, żeby mogła sobie usiąść w spokoju na te nędzne trzy minuty — sama — bez was i waszych bezmyślnych, nieustannych, ciągłych, dokuczliwych żądań! — Hak przekrzywił głowę i zaczął stroić miny. — On mi zabrał zabawkę! Ona schowała mojego misia! Daj mi ciasteczko! Ja chcę kupę! Ja chcę do cyrku! Ja chcę, ja chcę, ja chcę — ja, ja, ja, mnie, mnie, mnie! Już! Zaraz! Teraz! — zniżył głos. — Mama i tato muszą tego słuchać przez cały dzień i nie cierpią tego! Opowiadają wam bajki, żebyście się zamknęły!

Maggie zadrżały usta.

— To nieprawda. Kłamiesz!

Kapitan cofnął się natychmiast, przykładając rękę z hakiem do serca.

— Ja? Kłamię? Nigdy! — uśmiechnął się lodowato. — Prawda jest zawsze o wiele bardziej zabawna, moja droga.

Kapitan przybrał tragiczny wyraz twarzy.

— Zanim się urodziliście, wasi rodzice nie kładli się do świtu, a później spali do południa. Wygłupiali się z byle powodu. Śmiali się bardzo głośno. Bawili się i śpiewali. Dzisiaj już się tak nie zachowują, prawda?

Przerwał na chwilę.

— Zanim się urodziliście — westchnął tęsknie — byli o wiele szczęśliwsi — spojrzął na Śmierdziucha. — Czy nie mam racji?

— Szczęśliwi jak rybki pluskające w głębi błękitnego morza, kapitanie — zgodził się z nim Śmierdziuch.

Dzieci wzdrygnęły się na myśl, że to może być prawda. Hak był zachwycony.

— Czy nie widzicie, co narobiliście? Mają przez was obowiązki! Mama i tato stali się przez was dorośli! Jak mogą was za to kochać?

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Hak mruknął coś pod nosem i zza drzwi wytknął głowę pirat Łaskotka.

— Kapitanie? — rzucił nieśmiało.

— O co chodzi, Łaskotka?

Śmierdziuch podszedł do kapitana i szepnął mu coś pospiesznie do ucha.

— Świetnie! — ryknął Hak. — O co chodzi, Łaskotka?

Pirat skulił się.

— Kapitanie, już czas wydać rozkaz strzelcom!

Hak odesłał go niedbałym skinieniem ręki. Podszedł wolno do drzwi, otworzył je i wrzasnął:

— Ognia!

Gdzieś na zewnątrz huknęły flinty i nastąpiła cisza. Jack siedział sztywny w krześle. Maggie zamknęła oczy.

Łaskotka usiłował wyslizgnąć się z powrotem przez drzwi i nadział się na kapitana. Stał twarzą w twarz.

Hak pociągnął nosem i wykrzywił się z obrzydzenia.

— Masz się wykapać dziś wieczorem — syknął i wypchnął pirata z kajuty.
Kapitan zamknął drzwi i znów stanął przed tablicą.
— Pora na mały quiz — oznajmił.
Obrócił tablicę jeszcze raz, zatrzymał ją i napisał: KOCHAM CIE. Odwrócił się do dzieci i czekał, aż Śmierdziuch skończy rozdawać im czyste kartki. „Idzie naprawdę niezłe” — pomyślał z zadowoleniem.
— Czy jesteśmy gotowi? Dobrze. Co wasi rodzice naprawdę mają na myśli, kiedy mówią: „kocham cię”?
Maggie podniosła rękę, jakby zapominając na moment, że nie podoba jej się ta zabawa.
— Ja wiem! Ja! Chodzi o to, że dzięki nam są bardzo, ale to bardzo szczęśliwi! Hak potrzęsnał głową.
— Bardzo, ale to bardzo źle! Przykro mi, ale oblałaś.
Zwrócił się do Śmierdziucha.
— Postaw jej pałkę.
Śmierdziuch wziął pióro i czerwonym atramentem wpisał na pustej kartce pałkę.
— Śmierdziuchu, podaj mi dossier Piotrusia Pana — rozkazał Hak, ignorując jej przerażenie.
— Nigdy jeszcze nie dostałam pałki! — jęknęła Maggie.
— Przestań marudzić — mruknął Jack.
Hak przeglądał gruby plik papierów, kręcąc głową.
— Cóż my tu mamy? Złamane obietnice, jedna za drugą. Jakim on jest ojcem, Jack?
Dostrzegł grymas na twarzy chłopca.
— Poszedł na przedstawienie małego robaczka, prawda? Ale nie przyszedł na twój mecz? Oczywiście, że nie. Opuścił najważniejsze wydarzenie w twoim młodym życiu, czyż nie?
Maggie zerwała się na równe nogi z krzykiem.
— To nie jest prawdziwa szkoła! Ty nie jesteś prawdziwym nauczycielem! Nie możesz stawiać mi pałki! Puść nas do domu!
Wyskoczyła zza ławki i rzuciła się na Haka, szarpiąc go za płaszcz.
— Maggie, przestań! — zawołał przestraszony Jack. — Zostaw go! On znowu cię zamknie! Co ty robisz?
— Śmierdziuchu! — krzyknął Hak, usiłując bezskutecznie odpędzić Maggie. — Zabierz tę małą. . . — nie znalazł właściwych słów. — Po prostu zabierz ją na ferie. Niech się pobawi w przeciąganie pod kilem albo harpunem czy czymś takim. Już, już, sio!
Śmierdziuch odciągnął wrzeszczącą i wierzgającą Maggie od Haka.
— Nie wolno denerwować kapitana.

— Bardzo mu się podobało moje przedstawienie! — wrzasnęła Maggie, tłukąc Śmierdziucha pięściami. — Byłam wspaniała! Nie słuchaj go, Jack! On nienawidzi mamy i taty! I chce, żebyśmy też ich znienawidzili! Chce, żebyśmy zapomnieli o nich! Musisz stale o nich pamiętać, bo w Nibylandii o wszystkim się zapomina! Nie zapomnij! Nie...

Drzwi od kajuty zatrzasnęły się i zapanowała zupełna cisza.

Kapitan i Jack spoglądali na siebie w milczeniu. Hak uśmiechnął się. Pora rzucić nieco więcej czaru, kiedy ta dziewczynka już sobie poszła. Zły wpływ mógł zaszkodzić, a z chłopca będzie więcej pożytku. W spojrzeniu Jacka było coś, co Hak już rozpoznawał. Pochylił się nad nim.

— No, jak tam Jack?

Jack kręcił się w krześle.

— Skąd wiedziałeś o meczu?

Hak uśmiechnął się tajemniczo.

— Mam świetną lunetę — stanął przy Jacku przodem do tablicy, na której widniał napis: DLACZEGO RODZICE NIE CIERPIĄ SWOICH DZIECI.

— Przez całe lata lekceważył najważniejsze chwile w twoim życiu, prawda Jack? — powiedział przymilnym tonem. — Zawsze ma jakąś wymówkę, ale fakty są takie, że go nigdy nie ma. Twoja siostra jest za mała, żeby spojrzeć prawdzie w oczy, ale ty nie. Gdyby naprawdę was kochał, czy nie byłby zawsze tam, gdzie powinien?

W pokoju było tak cicho, że Hak słyszał oddech chłopca. Jack zwiesił głowę. Hak położył mu rękę na ramieniu.

— Mówią nam, że nas kochają, ale tak naprawdę wygląda to inaczej. Czy okazują te uczucia? Czy są tam, gdzie potrzeba? — przerwał i westchnął. — To wszystko jest bardzo proste, jeśli się nad tym zastanowić.

Jack ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

— Jack, Jack — kapitan kuł żelazo póki gorące. — Myślę, że wiele nas łączy. Chłopiec podniósł zdziwiony głowę.

— Zaczekaj, nic jeszcze nie mów. Posłuchaj mnie. Wyglądasz na odważnego chłopca. Powiedz mi — czy to prawda to, co widzę w twoich oczach?

Poprowadził Jacka przez pokój do wielkiej skrzyni okutej żelazem. Cofnął się kilka kroków, przybrał zawadiacką pozę, przekrzywił głowę i rzucił mu niedbale:

— Czy nigdy nie chciałeś być piratem, kochasiu?

Jack zrobił wielkie oczy, ale było w nich już nie tylko zdziwienie, lecz także tęsknota i pragnienie akceptacji.

— Nie — szepnął — tylko graczem baseballowym.

— Ach, baseball! — sapnął Hak.

Otworzył kufer, a w środku były tysiące programów baseballowych.

Jack aż westchnął.

— Nigdy tyłu nie widziałem! — wyszeptał.

Hak nachylił się nad nim.

— Weź sobie kilka, proszę bardzo — czekał, aż Jack napełnił sobie obie ręce. — Widzisz, Jack, w mojej drużynie możesz być, kim zechcesz. To zależy tylko od ciebie.

Kapitan objął chłopca i uścisnął go jak pirat pirata.

Szczęśliwe myśli

Ten sam poranek zastał Piotra Banninga na ćwiczeniach fizycznych i niewesołych rozmyślaniach nad własnym ciałem. Wszędzie jakieś wory, obwisłe fałdy, zwiotczałe mięśnie, wszystko nie tak jak trzeba. Jego ciało po prostu nie funkcjonuje jak należy. Już od lat mówił sobie, że musi wziąć się za siebie, że musi poćwiczyć. I wreszcie przyszła pora spojrzeć prawdzie w oczy.

To wszystko robota Dzwoneczka. „Jeśli chcesz odzyskać swoje dzieci — oznajmiła rano, zrywając go ze snu — musisz być gotów zmierzyć się z Hakiem. W takim stanie nie ma mowy. Musimy postarać się, żeby wrócił dawny Piotruś Pan”. Kieszonka, Klamka, Zamały, Nieśpik i Baryłka przyglądali mu się.

Dawny Piotruś Pan. Jak gdyby był ktoś taki. Jak gdyby to on miał nim być. Ale ona upierała się i ci nieliczni Zagubieni Chłopcy, którzy chcieli wierzyć, że to możliwe, upierali się razem z nią — choć spoglądali na niego jak na jakąś osobliwość na wybiegu w zoo.

A zatem wstał i zaczął ćwiczyć — stary, gruby Piotr Banning, prawnik i czasami specjalista od zagospodarowywania terenów, który opuścił prawdziwy świat, zabłąkał się do tego wymyślonego i podejmuje zwariowane przedsięwzięcie, które według pewnej wróżki i gromadki małych chłopców, zakończy się odkryciem źródła jego młodości.

Było jeszcze przedpołudnie, ale ćwiczył już ponad trzy godziny. „Boże, zmiłuj się nade mną!”

Raz jeszcze biegł ścieżką do wiosny, uradowany, że zimę ma już za sobą i niedługo będzie lato. Świstało mu w płucach, stopy paliły go żywym ogniem, bolały go mięśnie, a obrzmiałe ciało drżało i trzęsło się, wcale nie wyglądając na zadowolone z tortur, jakim się je poddaje. Wróżka Dzwoneczek siedziała w najlepsze na jego ramieniu, a Zagubieni Chłopcy biegali wokół ponaglając go, śpiewając, tańcząc i pokrzykując radośnie, przy czym przemierzali trzy razy tyle drogi i to z co najmniej dwakroć większą energią.

Żeby tak mieć znów dwanaście lat — choćby na ten jeden ranek!

Przebiegł jak słoń przez dzikie kwiaty, których odurzający zapach wibrował w ciepłym powietrzu i przemierzając wiosnę w pełnym rozkwicie zbliżał się do laguny. Po raz kolejny przebiegał przez wszystkie cztery pory roku. Prawdziwe,

nie na niby. Lato, jesień, zima, wiosna. Z początku nie mógł w to uwierzyć — wszystkie pory roku wokół jednego drzewa, nawet jeśli drzewo było tak ogromne. Takie coś nie zdarza się w przyrodzie. Racjonalne rozumowanie nic tu nie dawało. A jednak mimo wszystko tak właśnie było. Chyba już ponad dziesięć razy przebiegł wokół drzewa, mijając kolejne pory roku, i w końcu zaakceptował ten fakt; dziesięć razy brnął przez śniegi zimy, truchtał po wiosennych kwiatach, płażał w letniej trawie i biegł (no, prawie) przez kolory jesieni. Ostatecznie wcale nie było to bardziej zwariowane niż wszystko inne, co go tu spotkało i dlaczego miałby zacząć wydziwiać właśnie teraz.

Pot kapał mu z czoła i ściekał po twarzy. Kiedy wybiegł z wiosny mijając lagunę i wpadł w lato, zrobiło się gorąco.

Dałby wszystko za zimne piwo!

— Musisz biec, choć będzie sieć! Musisz gnać, choć będzie lać!

— W żarze słońca i przez śnieg! Nawet w mróz będziesz biegł!

— Nabierz sił! Wagę zrzuć! Będziesz zdrów i wygrasz znów!

— Ręce w górę, ręce w dół! Zegnij swoje ciało wpół!

Jego mali towarzysze wykrzykiwali te rymowanki, obskakując go ze wszystkich stron i prowadząc od jednej pory roku do drugiej. Pozostali chłopcy pod wodzą Chulia stali pod Nibydrzewem i przyglądali się. Większość z nich nabijała się z Piotra, a niektórzy aż tarzali się po ziemi ze śmiechu, wykrzykując za każdym razem, gdy ich mijał, bardzo niemile, choć prawdziwe uwagi na temat jego ciała.

— Hej, przyjemniaczku, autobus ci ucieka! — krzyknął

Chulio, wywołując wokół kaskady śmiechu.

— To chyba nie może być jeden facet, bo za gruby! — wrzasnął ktoś inny.

Piotr biegł przed siebie, starając się nie zwracać na nich uwagi; zdawał sobie sprawę, że wygląda idiotycznie, a biegł dalej tylko dlatego, że nie wiedział, co mógłby robić innego. Gdyby choć była najmniejsza szansa na to, że Dzwoneczek ma rację, iż w ten sposób odzyska Jacka i Maggie.

Zamknął na chwilę oczy i wbiegł chwiejnym krokiem na śliski dywan jesiennych liści, gdzie zawsze przynajmniej raz się przewracał; przed nim była zima i dziwaczne pingwiny, potem znów wiosna, i tak w kółko.

Kiedy w końcu zatrzymał się, był gdzieś pomiędzy wiosną i latem i... blisko zupełnego wyczerpania. Nie pozwalając mu na żaden odpoczynek wróżka poprowadziła go od razu do przyrządów gimnastycznych zmajstrowanych przez Zagubionych Chłopców. Dawne ubranie Piotra, jego koszula i pozostałości smokingu, było teraz w strzępach. Po kamizelce nie było śladu. Buty miał pozdzierane i ubłocone.

Wróżka kazała mu najpierw ćwiczyć na drążku przymocowanym do liny. Na drugim końcu dla przeciwwagi siedzieli w koszu chłopcy. Na początek najlżejsi, Zamały i Klamka, a potem więksi. Później chłopcy dołożyli jeszcze kamieni. Pio-

trowi udawało się ściągać drążek samą swoją wagą, a nie siłą mięśni i po dwunastu próbach skończył to ćwiczenie.

Już czekała na niego kolejna machina. Jego kostki przymocowano sznurem do drążka połączonego z czymś, co według chłopców było trującym bluszczem. Jeśli nie wypychało się drążka w górę, pnącze mogło opaść na twarz ćwiczącego. Piotr, zroszony potem, stękał z wysiłku, ale jego mięśnie brzucha były zbyt zwiotczałe i gdyby Baryłka nie chwycił liny w porę, Piotr upuściłby sobie bluszcz na twarz.

Piotr potoczył się na bok i spojrzał z rezygnacją na chłopców.

— Wiem, że jestem w kiepskiej formie. Wiem, że jestem stary i tłusty. Wiem, że dobiegam już czterdziestki. To wszystko prawda. Ale wiem też, że jestem śmiertelny. W jaki sposób ma to mi pomóc odzyskać dzieci?

Kieszonka nachylił się nad nim, jakby oglądał jakiś rzadki okaz pod mikroskopem.

— Zęby być dzieckiem, trzeba wyglądać jak dziecko — odpowiedział poważnym tonem.

Chłopcy zaprowadzili Piotra do wielkiego pnia, gdzie został bezceremonialnie obdarty z resztek swojego ubrania. Otoczony przez Zagubionych Chłopców znów przypomniał sobie grozę Władcy much, ale okazało się, że tym chłopcom chodziło o coś znacznie gorszego. Stłoczyli się wokół niego i zaczęli go okładać pięściami, co miało być czymś w rodzaju masażu. Kiedy ugniatali jego sflaczałe ciało i zwiotczałe mięśnie, Piotr czuł, jakby odżywał na nowo cały ból, który nagromadził się w nim od rana. Chłopcy skończyli masować jedną stronę i przewrócili go na drugą, cały czas wesoło pokrzykując. Piotr był pewien, że umiera. Po cichu nawet życzył sobie tego.

„To nie ma żadnego sensu, pomyślał z rozpaczą. Żadnego”.

Pojawił się także i Chulio i dał mu dwa kuksańce w brzuch.

— Nie opuszczało się ostatnio zbyt wielu posiłków, co, panie Niby-Piotrusiu? — zadrwił.

Masaż dobiegł końca i Zagubieni Chłopcy podnieśli Piotra, mniej więcej tak, jak podnosi się na widelcu makaron, i przyjrzeni się swojemu dziełu.

— Jako tako — powiedział Baryłka, trzymając się pod boki.

Jego pucołowata buzia rozjaśniła się w uśmiechu od ucha do ucha.

— Jeszcze nie — stwierdził Niepytaj.

Kieszonka, Klamka, As i Nieśpik podeszli bliżej. Nagle pojawił się też Zamały i wyrwał Piotrowi kępkę włosów z piersi. Zagubieni Chłopcy spojrzeli na siebie. W ich oczach widać było rozbawienie. Nieśpik podrapał się po piersi jak goryl, wywołując salwę śmiechu pozostałych.

Po chwili Niepytaj przyniósł dymiącą wazę z mydlinami. Do Piotra zbliżył się As trzymając w ręku wielki i bardzo ostry nóż. Piotr otworzył szeroko oczy z przerażenia. Zeskoczył z pnia i chciał uciekać, ale chłopcy chwycili go i powalili na ziemię. Mając przygwożdżone do ziemi ręce i nogi, Piotr uznał, że lepiej będzie

nie ruszać się, kiedy ma nad sobą nóż, i leżał spokojnie. Tymczasem As ostrożnie golił jego ciało, najpierw z przodu i z tyłu, potem obie nogi i ramiona, aż w końcu Piotr był dokładnie oskrobany.

Piotr stał w samych szortach patrząc z niedowierzaniem na swoją gładką, różową skórę. „Te włosy zakrywały mnóstwo ciała” — stwierdził. Było go teraz jakby więcej.

Zagubieni Chłopcy stali wokół przyglądając mu się krytycznie, a kilku kiwało głowami z aprobatą. Pojawił się też Chulio i przypatrywał się w milczeniu. Wróżka latała tam i z powrotem, oglądając Piotra ze wszystkich stron.

Nagle Kieszonka zaczął coś szeptać do pozostałych chłopców. Piotr już wiedział, że nie może to oznaczać niczego dobrego i zaczął wypatrywać drogi ucieczki. Znów go jednak obezwładnili i zaczęli malować go w wojenne barwy, ozdabiając pasami, zygzakami i dziwnymi obrazkami w najbardziej jaskrawych kolorach. Miał upodobnić się do nich, na ile było to możliwe, i utracić resztki swojego dawnego wyglądu. Chcieli odnaleźć ukrytego w nim Piotrusia Pana.

Kiedy robota była skończona, znów cofnęli się i stali przez chwilę bez słowa. Potem Kieszonka powiedział cicho:

— Musimy zobaczyć, czy jeszcze umiesz latać, Piotrusiu.

Śpiewając i tańcząc poprowadzili go przez polanę w stronę skały. Przy jej krawędzi znajdowała się gigantyczna proca, zbudowana z drewna i lin; miała też skórzane siodełko, w którym zaraz umieszczono Piotra.

— Zaczekajcie, nie, to nie ma sensu! — zaprotestował rozszerzając oczy ze strachu.

Kieszonka i As podeszli nad brzeg skały i spojrzeli w dół, gdzie przy olbrzymiej, błotnistej kałuży stał jeden z chłopców i trzymał spust od procy. As podniósł do oka lunetę i podał odległość Kieszonce, który zaznaczył ją na małej tabliczce. Wybuchła ożywiona dyskusja z jeszcze paroma innymi chłopcami, ale w końcu osiągnięto porozumienie. As podniósł rękę, by dać sygnał.

Piotr usłyszał dźwięk obracanej korby i poczuł, że jego siodełko zaczyna się naciągać. Taśma katapulty powoli się naprężyła.

Mechanizm zaskoczył. Klik! Klik! Klik!

Piotr nie mógł wydobyć z siebie słowa. Ledwie oddychał, sparaliżowany ze strachu. Oni chyba tego nie robią? Nie? To idiotyzm! To wyjątkowo niebezpieczne!

Koło niego pojawiła się wróżka i przyjrzała mu się badawczo.

— Potrzeba ci tylko jednej szczęśliwej myśli, Piotrusiu. Tylko jednej i będziesz latał.

Piotr przełknął ślinę.

— Wydostań mnie stąd, Dzwoneczku!

— Jedna szczęśliwa myśl — upierała się.

— Gdybym nie tkwił w tej procy, byłbym szczęśliwy! Wprost oszalałbym ze szczęścia!

Poniżej kilku Zagubionych Chłopców rozciągało wielką sieć. „Wydaje im się, że są w cyrku” — pomyślał Piotr ze zgrozą.

— Zastanów się, Piotrusiu — nalegała wróżka, wciąż śledząc napinającą się procę. — Postaraj się.

Piotr zaczął rozpaczliwie myśleć.

— Zaczekaj! Mam jedną!

Wróżka podskoczyła uradowana.

— Wiedziałam, że ci się uda! Co to jest?

— W lutym akcje poszły o dwieście punktów w górę!

Wróżka popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Jakie akcje? O czym ty mówisz?

Piotr pokręcił głową.

— Nie, masz rację, za mało wcześniej zainwestowałem. Zaczekaj, niech pomyślę. Mam! Teraz polecę! Przywileje!

— Czy to może są przepyszne, okrągłe ciasteczka z mnóstwem lukru?

Piotr zaśmiał się bezgłośnie.

— Mówię o pięcioliniowym telefonie w superlimuzy — nie, biletach wstępu na każdą imprezę, o samolotach z pierwszeństwem lądowania. . .

Wróżka zamknęła mu usta dłonią.

— Nie o to chodzi, Piotrusiu. Poczekaj, może ci pomogę. Będę mówiła o pewnych rzeczach i zobaczysz, co ci przychodzi do głowy. Zamknij oczy i wyobrażaj sobie.

Piotr z przyjemnością zamknął oczy.

— Dobra, jestem gotów. Tylko się spiesz!

— Lalki — rzuciła wróżka podlatując bliżej.

Piotr wzdrygnął się.

— Płaczą się pod nogami i aż proszą się, żeby je rozdeptać.

— Batonik.

— Obrzydliwa maź, która psuje zęby i lepi się do rąk.

— Śnieg.

— Okropność. Topnieje i niszczy lakier samochodu — Piotr jęknął. — Nie jestem szczęśliwy!

— Czy jesteś szczęśliwy, kiedy przychodzi wiosna?

Piotr zacisnął usta.

— Podatki.

— Lato?

— Komary.

— A basen?

— Chlor.

— Modelina?
Piotr zawahał się.
— A co to jest?
— Gwiazdka?
— Prezenty, rachunki, karty kredytowe. Nie jestem szczęśliwy!
— Skoki w górę i w dół?
— Normalna rzecz, kiedy gra się na giełdzie. Trzeba się z tym pogodzić.
— Toffi? — wróżkę ogarniała rozpacz.
— Rozpuszcza się na kanapie, a nie w ustach.
— Piotrusiu, ty nigdy nie jesteś szczęśliwy! — wykrzyknęła wróżka.
— Nie, nie, tak nie jest. Niech pomyślę, jedną chwileczkę. Ile mi zostało czasu?

— Nic — szepnął mu do ucha Chulio.

Piotr rozwarł szeroko oczy. Chulio stał przed nim z rozstawionymi nogami i złożonymi rękami na końcu ramy katapuły. Jakby wyczarował skądś miecz Piotrusia Pana i przeciął linę. Proca wystrzeliła Piotra w powietrze. Machając bezładnie rękami wrzeszczał przeraźliwie i usiłował fruwać. Pod nim skakali i krzyczeli Zagubieni Chłopcy; niektórzy z nich trzymali tabliczki z różnymi napisami: KONIKI, BATONIKI, ROBACZKI i DROBNIAKI. Nic to Piotrowi nie mówiło. Wydawało się, że Piotr leci bardzo długo i oczy chłopców śledziły go z nadzieją. Razem z nimi przyglądała mu się wróżka, spozierając przez palce zaciśnięte na oczach, a jej serce i skrzydełka waliły jak szalone.

Choćby jedna szczęśliwa myśl!

Najwyraźniej to nie był ten dzień. Piotr spadł jak kamień do rozpiętej sieci. Wróżka podleciała do niego, a za nią podbiegło kilku Zagubionych Chłopców, którzy wciąż wierzyli w niego.

Pozostali obrócili się w stronę Chulia z powątpiewaniem.

Chulio podniósł miecz.

— Jestem bardziej mężczyzną niż Piotruś Pan i dwa razy bardziej chłopcem! Kto jest ze mną?

Ze wszystkich stron zbiegli się do niego Zagubieni Chłopcy krzyząc: „Chulio! Chulio! Chulio!”. Podniósł znów miecz na znak zwycięstwa i poprowadził ich z powrotem w stronę Nibydrzewa.

Piotr siedział oszołomiony. Wróżka i siedmiu Zagubionych Chłopców przyglądało mu się ze smutkiem.

— Kontrakt z Procter and Gambie — oznajmił z wahaniem. — Wtedy byłem szczęśliwy.

Na nikim nie zrobiło to wrażenia.

Hurra, Piotr!

Piotr zjawił się ostatni na kolacji. Był tak wyczerpany, że prawie nie miał sił podnieść głowy. Obolały od stóp do głów, poobijany, potłuczony i w bandażach, był ruiną człowieka. Wróżka i grupka chłopców męczyli go przez cały dzień, ćwiczenie za ćwiczeniem, w kółko to samo.

Poza wystrzeleniem z procy — tego drugi raz już nie próbowali.

Nie to było jednak istotne. Niczego zresztą nie miał im za złe. Chodziło mu o to, że to wszystko nie miało sensu. Mogli go ganiać, okładać pięściami i wystrzeliwać w powietrze aż do znudzenia i tak niczego by to nie zmieniło. Wciąż był tłustym, starym Piotrem Banningiem a nie — nie potrafił zmusić się do wypowiedzenia tego imienia — tym, kim tamci chcieli go widzieć. Co gorsza, to wcale nie przybliżało go do odzyskania Jacka i Maggie.

Kiedy zatem przywłókł się z trasy biegu i ćwiczeń do długiego stołu umieszczonego pod gałęziami Nibydrzewa, uświadomił sobie, że znów może zawieść swoje dzieci. Nie przyjść na mecz, czy recital fortepianowy to jedna rzecz; nie uratować Jacka i Maggie z rąk Haka to coś jeszcze innego. To byłoby zwieńczenie całego szeregu rozczarowań, jakich im dostarczył — tyle, że to może okazać się fatalne w skutkach.

Aby nikt nie widział, że płacze, otarł łzy, które napłynęły mu do oczu i ruszył zająć miejsce przy stole. Pomimo zmartwień, chciało mu się jeść. Był wściekle głodny. Nie jadł nic przez cały dzień, zaprzątnięty do tej pory zajęciami wymyślanymi przez wróżkę i Zagubionych Chłopców, którzy chcieli odnaleźć w nim chłopczyka. A to przecież było bardzo dawno temu i nie da się tego wskrzesić. Odpędził od siebie te myśli. Tak czy owak musiał coś zjeść. Niezależnie od tego, jak nikłe są szanse na odzyskanie jego dzieci, jeśli nie będzie jadł, nie będzie miał żadnych.

Wszystkie miejsca przy stole były zajęte, w większości przez zwolenników Chulia. Stronnicy Piotra zgromadzili się przy końcu stołu. Zrobili mu miejsce i Piotr wcisnął się między Kieszonkę i Asa. Wróżka Dzwoneczek siedziała pośrodku stołu, tam gdzie zawsze.

Chulio zajmował miejsce naprzeciw niego. Kiedy Piotr siadał, uśmiechnął się pogardliwie i widać było, że coś knuje. Piotr udał, że go nie dostrzega.

„Muszę jeść. Muszę nabierać sił — wziął głęboki oddech. — Nie mogę się poddawać”.

Kilku Zagubionych Chłopców przyniosło jakieś dymiące potrawy prosto z glinianych pieców, w których buzował czerwony ogień. Piotr wciągnął do nosa aromatyczną woń i westchnął. Nie wiedział, co to jest, ale pachniało wspaniale!

As podsunął mu talerz i Piotr postawił go przed sobą odganiając parę, żeby zobaczyć, co mu podano.

Talerz był pusty.

Wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem, a potem spojrzął na stół. Wszyscy jedli łakomie, wpychając sobie jedzenie do ust i przeżuując je ze smakiem. Tyle, że nic nie jedli. Wszystkie talerze były puste.

— To moje ulubione nibyjadło! — zawołał siedzący obok niego Kieszonka z pełnymi ustami, w których nic nie było. — Pataty, yam-yam, bananowa papka i pou-pou do zapijania. Do tego nibykurcak i... Zaraz, zaraz, Dzwonecek! Puść to!

Wróżka ciągnęła za jeden koniec czegoś niewidocznego, a Kieszonka za drugi. Piotr zamrugał oczami. Z przeciwległego końca stołu obserwował go Chulio.

— Wypij swoje pou-pou, Piotrusiu — zachęcał As i udał, że nalewa mu czegoś do pustego kubka.

Niepytaj i Baryłka stuknęli się kubkami i przytknęli je do ust.

Piotr siedział przez chwilę bez ruchu, a potem wyrzucił w górę rękę.

— Ja tego nie rozumiem! — wykrzyknął. — Gdzie jest jedzenie?

Wróżka spojrzała na niego.

— Jeśli nie potrafisz wyobrazić sobie, że jesteś Piotrusiem Panem, nigdy nim nie będziesz.

— Co to ma wspólnego z... tym! — pokazał na pusty talerz.

Spojrzała na niego stanowczo.

— Jeśli nie będziesz jadł, nie urośniesz!

Piotr kipiał ze złości.

— Co jadł? Tu nie ma nic do jedzenia!

— O to chodzi — powiedziała wróżka. — Piotrusiu, czy zapomniałeś również, jak się udaje? Tak właśnie jemy.

Chulio się roześmiał.

— On tego nie potrafi!

A potem rzucił:

— Zjedz swoje serce, ty pomarszczony worze sadła!

Pchnął przez stół swój pusty talerz, który uderzył Piotra prosto w pierś. Uderzenie było bardzo mocne i Piotr aż się zachwiał.

— Mój Boże, z ciebie naprawdę jest źle wychowane dziecko — powiedział.

Zagubieni Chłopcy powtórzyli chórem: „Źle wychowane dziecko” i zaczęli nabijać się z Piotra.

Chulio wyprostował się.
— Ty obślizgły robaku! — wyzwał go.
Wróżka podskoczyła trzymając się pod boki, a jej oczy płonęły wściekle.
— Śmiało, Piotrze! Dasz mu radę!
Chulio znów zarechotał:
— Tak, człowieczku, pokaż, co potrafisz. Dawaj, kurzy mózdzku! Ty opasła, stara torbo rzygowin!
— Hurra, Chulio! Hurra! — zawołali Zagubieni Chłopcy.
Nawet zwolennicy Piotra przyłączyli się do nich. Piotr miał już tego dosyć. Wycelował palcem w Chulia.
— Dajesz bardzo zły przykład tym dzieciom.
Zagubieni Chłopcy zaczęli gwizdać.
— Dobrze! — warknął Piotr, nie chcąc dać za wygraną. — Ty... ty osobo małego kalibru!
— Hemoroidalny wyssipepek! — prychnął Chulio i zastygł w buńczucznej pozie.
— Ty... osobo bardzo małego kalibru! — rzucił Piotr.
Rozległo się jeszcze więcej gwizdów i hałasów i cały stół zaczął się trząść.
Chulio nachylił się.
— Ty owrzodziła, pierdząca styjo!
— Hurra, Chulio! — wrzasnęli w zachwycie Zagubieni Chłopcy.
— Jesteś zafiksowanym na skatologii, psychotycznym, przedwcześnie dojrzalym dzieckiem!
Zewsząd rozległo się buczenie, któremu towarzyszyły różne oznaki pogardy i jeszcze więcej gwizdów i hałasów. Piotr zdawał sobie sprawę, że przegrywa także i te zawody.
— Ty zapleśniały grzybie!
— Hurra, Chulio! Hurra!
— Obmierzły worze szcurzych flaków i kocich rzygów!
Aplauz był ogłuszający. Zagubieni Chłopcy podskakiwali w swoich krzesłach i klaskali w dłonie.
— Ty porowaty strupojadzie, krostowata mordo, zabandażowany palcu!
Rozległy się jęki i udawane odgłosy wymiotów. Zagubieni Chłopcy ze znanstwem zachwycali się kolejnymi okropnymi obrazami, które wywoływały słowa Chulia. On sarn promieniał z zadowolenia.
— Ty zepsuty, podwójny hamburgerze z larwami w środku i muchami na wierzchu!
Piotr poczerwieniał i wstał, przytrzymując się krawędzi stołu. Był już całkowicie wyprowadzony z równowagi. Wszyscy czmychnęli mu z drogi. Nawet Chulio cofnął się niepewnie. Piotr zacisnął zęby.
— Arbiter! — ryknął.

Wszyscy znieruchomieli, wymieniając między sobą spojrzenia.
 — Co to jest? — zapytał w końcu Chulio.
 Piotr wiedział już, co ma robić dalej. Uśmiechnął się pogardliwie.
 — Dentysta! — zasyczał.
 Zagubieni Chłopcy jęknęli i odskoczyli przerażeni, bo tym razem wiedzieli, o co chodzi. Chulio drgnął, ale zaraz się wyprostował.
 — We włosach, w nosie wszy i kleszcze! — spróbował.
 — Nauczyciel chemii! — odpalił Piotr.
 — Obślizgły robak!
 Zamały podskoczył.
 — Już było! Już było! Chulio się powtarza. Traci punkty!
 Wszyscy chłopcy zaczęli naraz krzyczeć.
 — Dołóż mu! Nie daj mu się!
 Chulio podjął ostatni wysiłek.
 — Jaszczurcze usta! W twojej wielbłądziej gębie...
 — Lektor francuskiego! — przerwał mu Piotr. -
 Asystent profesora! Księgowy! Agent teatralny! Urzędnik imigracyjny! Strażnik więzienny...
 — Załgana, kwicząca, wścibska, szpiegująca arcyświnia! — wrzasnął Chulio.
 Piotr zaśmiał się.
 — Łatwo ci mówić ty koślawy, wszawy i plugawy worze przeżutej strawy.
 Słyszac to Zagubieni Chłopcy zerwali się z krzykiem. Teraz Chulio stał jak zamurowany. Z jego twarzy znikła pewność siebie. Widać było na niej szok i... ból.
 — Ty... ty dorosły człowieku! — ryknął. — Ty głupi człowieku!
 Piotr miał go już na widelcu. Wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie:
 — Ty bezmózgi, krokodyli, zębaty czerepie, ty lewicowy prawniku jedzący swoje kupy... jak pierwotniak cierpiący na zazdrość wobec Piotrusia Pana!
 Zapadła martwa cisza. Wzrok Piotra wciąż utkwiony był w Chulia.
 — Co to jest pierwotniak? — zapytał cicho Zamały.
 — Jednokomórkowy organizm bez mózgu — odparł z triumfem Piotr.
 Zagubieni Chłopcy zaczęli wznosić okrzyki radości. Kubki waliły o stół, nogi tupwały w ziemię i wszyscy dosłownie poszaleli.
 — Banning! Banning! Hurra, Banning! — wrzeszczeli wszyscy, w tym także zwolennicy Chulia.
 Piotr uśmiechnął się. Nie zastanawiając się wiele, sięgnął do swego talerza i wziął trochę nibyjadła do ręki.
 — Przy okazji, Chulio — zasyczał — coś jeszcze właśnie przyszło mi do głowy. Idź i possij nos zdechłego psa!
 To mówiąc rzucił nibyjadłem w twarz Chulia. Na nowo wybuchły okrzyki zachwytu. I oto po twarzy Chulia zaczęły ściekać pomarańczowe i zielone kawałki

jarzyn. Piotr przyglądał mu się przez chwilę, a potem spojrzał na swoją pustą dłoń. „Jakim cudem?” Ale zaraz uśmiechnął się znów, zadziwiony odkryciem czegoś, co jeszcze przed chwilą uważał za niemożliwe.

Chulio sięgnął do najbliższego talerza i cisnął w Piotra, któremu na twarzy rozlał się z kolei gęsty, ciepły sos i kandyzowane owoce. Piotr polizał to i uśmiechnął się jeszcze szerzej. To było prawdziwe! A jak smakowało!

Kiedy spojrzał jeszcze raz, cały stół zastawiony był jedzeniem, a na pustych przed chwilą talerzach piętrzyły się różne smakołyki. Oszołomiony, nagle poczuł, że ogarnia go niewyobrażalna dotąd radość, usiadł i rzucił się na jedzenie.

Zamały promieniał i klaskał w ręce.

— Udało ci się! Udało!

Piotr spojrzał na niego autentycznie zdziwiony.

— Co mi się udało?

— Pobawić się z nami, Piotrusiu — odpowiedział cicho Kieszonka.

Wszyscy Zagubieni Chłopcy stłoczyli się wokół niego. Zaczęli krzyżeć: „Piotruś Zwycięzca”. Piotr tymczasem jadł stwierdzając, że nigdy dotąd nic mu tak bardzo nie smakowało. Jakiś chłopiec pokazał mu otwartą buzię z jedzeniem. Piotr uśmiechnął się i zrobił to samo.

Wróżka Dzwoneczek fruwała między stołem a gałęziami Nibydrzewa wołając do wszystkich:

— Wiedziałam, że potrafi, wiedziałam!

Jeden z chłopców czknał po skończonym jedzeniu. Drugi zrobił to samo. I kolejny. Piotr odchylił się i czknał tak potężnie, że wszyscy zaczęli pokładać się ze śmiechu, a niektórzy nawet pospadali z krzeseł. Piotr śmiał się najgłośniej. Zapomniał, kim jest i dlaczego tu się znalazł. Zapomniał o swoim bólu i cierpieniu. Zaprzątnięty zabawą nie miał czasu na zmartwienia. Nagle chwycił udko indyka i udawał, że chce z nim uciec. Chłopcy zaczęli go dla żartu powstrzymywać. Piotr wskoczył energicznie na stół i uniósł w górę indyczą nogę.

Posępny Chulio, który do tej pory tłumiał swoją wściekłość w milczeniu, w końcu stracił panowanie nad sobą. Na widok tego Niby-Piotrusia, który żartował sobie i psocił, jakby był jednym z nich, robiło mu się niedobrze. Z wściekłym rykiem porwał dwa kokosy i rzucił je z całej siły w głowę Piotra.

To, co nastąpiło później, pozostanie dla Piotra na zawsze zagadką. Ktoś krzyknął ostrzegawczo, Piotr błyskawicznie obrócił się, cisnął udko i chwycił miecz rzucony mu przez Asa. Okręcił się tak zwinnie i lekko, jakby robił takie rzeczy przez całe życie. Ostrze miecza śmignęło w powietrzu rozcinając jednym uderzeniem oba kokosy, które upadły przepołowione u jego stóp.

Zagubieni Chłopcy aż jęknęli i zapanowała cisza. Wszyscy, także i Chulio, patrzyli na Piotra z niekłamanym podziwem i zachwytem. Piotr stał tak przez chwilę bez ruchu z mieczem w dłoni, nie będąc pewnym, co właściwie zrobił ani jak tego dokonał. Potem rzucił miecz i usiadł dokończyć jedzenie.

Wróżka Dzwoneczek fruwała nad nimi w powietrzu, a jej twarz promieniała radością. „Co za czasy — szepnęła do siebie. — Cóż za piękne czasy”.

A w oczach miała łzy.

Cudowne chwile

Zachód słońca pomalował niebo szkarłatem, a woda w zatoce piratów nabrała krwistego koloru. „Wesoły Roger” kołysał się wolno na kotwicy w rytm fal uderzających w jego ciemny kadłub. Nabrzeże opustoszało, dzień pracy się skończył i piraci poszli już do gospod i tavern, a także mniej szacownych miejsc wieczornej rozrywki. Wyblakłe, złuszczone wraki starych okrętów leżały rozrzucone wokół jak ogromne szkielety.

Jack w trójgraniastym kapeluszu, który był miniaturą kapelusza kapitana Haka, siedział na lufie Długiego Tomasza, niczym rycerz na swym rumaku i pan na włościach. Nieustraszony, mały kapitan opierał ręce na lufie, a Śmierdziuch pilnował go, żeby nie spadł. Jak dzieci na huśtawce, chłopiec i mężczyzna wpatrywali się w rosnące na niebie księżycy Nibylandii.

Jack zamachał ręką i uśmiechnął się w zachwycie.

„Jaki to był wspaniały dzień!” — pomyślał i zaczął wspominać.

* * *

Lekcje w kajucie Haka trwały tylko do chwili odkrycia kufra z programami baseballowymi. Stamtąd Hak i Śmierdziuch zaprowadzili Jacka do portu, gdzie piraci ćwiczyli walkę na noże. Niemal nie zwracając na nich uwagi Hak przespacerował zuchwale tuż obok śmigających ostrzy, a za nim podążali Jack i Śmierdziuch ze skulonymi głowami.

Minąwszy straszliwe szeregi walczących piratów Hak przystanął, wyrwał kordelas Śmierdziuchowi, rozdzielił ostatnią parę ćwiczących i zaczął walczyć z jednym z nich.

— Paruj i tnij. Paruj i tnij — zepchnął nieszczęsnego pirata do obrony. — Pochyl się w prawo i...

Błyskawicznym ruchem przeszył pirata na wylot.

— Widziałeś to, Śmierdziuchu? — Hak prychnął pogardliwie, kiedy pirat upadł. — Za bardzo się odchyła!

Śmierdziuch pogroził leżącemu palcem.

— Musisz się koncentrować! — napomniał go.

— Jak będziesz napinał mięśnie odwodzące, to wtedy ci wyjdzie! — dodał Hak.

Jackowi wydawało się, że pirat tuż przed śmiercią zdążył jeszcze posłusznie kiwnąć głową. W każdym razie Śmierdziuch z jakiegoś powodu klepnął chłopca po ramieniu dla dodania otuchy.

— Na śniadanie! — oznajmił kapitan.

Ośłupiały, ale i podniecony, Jack podążył za Hakiem i Śmierdziuchem przez bramę z napisem MOŁO DOBRYCH MANIER, wiodącą do miasta. Wszędzie wokół tłoczyli się piraci w barwnych strojach, pokrzykując i śmiejąc się. Jackowi przypominało to jakiś festyn, gdzie na każdym kroku napotyka się coś nowego i wspaniałego. Byli tam żonglerzy, ludzie z tatuażami, połykacze ognia i kobiety, jakich jeszcze nigdy nie widział. Był też stragan z wypchanymi zwierzętami i Śmierdziuch chwycił zębatego krokodyla i zaczął straszyć nim Haka, aż ten w końcu zmroził go lodowatym spojrzeniem.

W końcu weszli w drzwi, na których widniał napis:

TAWERNA
NA ŚNIADANIE PODAJE SIĘ
COLĘ
W NIEOGRANICZONYCH ILOŚCIACH

W środku siedzieli piraci rozparci na krzesłach i stołkach. Jedni palili, inni czyścili noże, a kilku czytało wystrzępione egzemplarze pism „Gazeta Piracka” i „Piracki Świat”. Przy stołach siedzieli inni zajadając z talerzy napełnionych kremem, ciastem, plackami i przeróżnymi słodyczami; obok talerzy stały wysokie kufle z colą. Hak miał zarezerwowany stół i wraz z Jackiem otrzymali zaraz ogromny deser bananowy, do którego Śmierdziuch dodawał im łyżeczki bitej śmietany. Jack wyznał Hakowi z pewnym zakłopotaniem, że nie wolno mu jeść łakoci przed śniadaniem. Ale kapitan tylko roześmiał się i oznajmił, że w jego mieście na śniadanie jada się wyłącznie słodczy.

Potem poszli na plac, gdzie odbyły się wyścigi jeździeckie, Hak dosiadał Łaskotki, Jack Śmierdziucha i wraz z innymi jeszcze piratami ścigali się wokół krokodyla wrzeszcząc z zapamiętaniem. Mimo, że kapitan popędzał Łaskotkę swoim hakiem, Jack zwyciężył. Chłopiec pomyślał, że może kapitan dał mu wygrać, ale zabawa była tak świetna, że nie przejmował się tym.

Później była przejażdżka łódką w czasie burzy. Hak, Śmierdziuch i Jack siedzieli w szalupie, kołysani przez rosnących piratów, podczas gdy inni uderzali szablami udając błyskawice i grzmoty, i potrząsali prześcieradłami i ręcznikami robiąc sztuczny wiatr. Wiadra wody chlustały tak blisko, jak gdyby pod nimi szalało morze, grożąc wysłaniem ich do stu diabłów! Wszystko wyglądało jak prawdziwe!

I na koniec piracka musztra. Kierował nią Jack pod okiem Haka, który promieniał z zachwytu, kiedy chłopiec kazał maszerować po pokładzie „Wesołego Rogera” coraz bardziej rozwścieczonym, bliskim buntu piratom.

Ach! Co to był za dzień.

Ale ten dzień już się kończył. Wspomnienia kotłowały się w jego głowie i Jack zastanawiał się, co jeszcze go czeka. Jutro będą nowe przygody, kapitan mu obiecał.

Jego marzenia przerwał cichy, wylękniony głos wołający go po imieniu.

— Jack! Jack!

Spojrzał w dół na nabrzeże, gdzie w okratowanym okienku więziennej celi ukazała się umorusana buzia małej dziewczynki.

— Co ty robisz? Dlaczego bawisz się z nim? Posłuchaj mnie, Jack! Myślisz, że to świetna zabawa, ale to nieprawda! Inaczej byś się zachowywał, gdyby mama i tata byli tutaj!

Jack milczał. Hak zsunął się z Długiego Tomasza i podszedł do Jacka, uśmiechając się ledwo dostrzegalnie. Objął chłopca ramieniem.

— Czy wiesz, kim ona jest? — zapytał łagodnym głosem.

Jack wzruszył ramionami.

— Pewnie.

— To ja, Jack! — wykrzyknęła Maggie.

— Ona jest taka hałaśliwa! — szepnął ze smutkiem Hak. — A zatem, jak ma na imię?

Jack wzdrygnął się.

— No... — nagle poczuł pustkę w głowie.

Hak uśmiechnął się z aprobatą. Sprawy przybierały lepszy obrót, niż oczekiwał.

— Jestem Maggie, twoja siostra, ty idioto! — wrzasnęła. — Kiedy stąd wyjdę, połamię ci wszystkie zabawki! Zrobię ci taki bałagan w pokoju, że go nie poznasz! — załkała. — To ja! Czy niczego nie pamiętasz? A mama i tata? A oni? Jack, to ja!

Maggie patrzyła z rozpaczą, jak kapitan Hak zdejmuje Jacka z armaty i obejmując go odchodzi. Jack ledwie ją pamięta. Ale zupełnie zapomniał jej imię.

Oparła się o kraty a jej usta zadrgały. Tak bardzo, ale to bardzo chciała do mamy i taty!

— Mamusiu — powiedziała cicho.

Cienki głosik szepnął:

— Co to jest mamusia?

Odwróciła się i zobaczyła jednego z najmniejszych Zagubionych Chłopców, który przyglądał się jej uważnie. Inni tłoczyli się za nim w ciemności, brudni, obdarci, rozczochrani. Otwierali szeroko oczy i podnosili głowy. Od świtu do zmroku musieli liczyć skarby kapitana Haka, sortować, czyścić i wkładać je z powro-

tem do kufrow. Piraci przynosili im w wiadrach okropne jedzenie i brudną wodę do picia. Maggie nie mogła na to patrzeć. Prawie zaczęła żałować, że nie została w szkole kapitana Haka.

Mali więźniowie patrzyli na nią wyczekująco.

— Czy żaden z was nie pamięta mamy? — zapytała z niedowierzaniem.

Spojrzeni po sobie i potrząsnęli przecząco głowami. Maggie podeszła do nich.

— Co wam się stało? — zapytała.

— Co to jest mamusia? — dopytywał się ten pierwszy bezdźwięcznym głosem.

Maggie wzdrygnęła się. Spojrzała na swoją ulubioną koszulę nocną w fioletowe serduszka na kremowym tle. Jack miał na sobie piracki kapelusz. Głupi Jack.

Podeszła do śpiącego chłopczyka, który leżał na podłodze i jęczał; najwyraźniej męczył go zły sen. Podniosła mu głowę, poprawiła poduszkę i położyła go z powrotem. Chłopiec się uspokoił.

— Mamusie zawsze dbają o to, aby dzieci spały na chłodnej stronie poduszki — powiedziała cicho.

Usiadła patrząc na zaciekawione twarzyczki. Dzieci stłoczyły się wokół niej. Nagle przypomniała się jej Babcia Wendy i jej opowieści o Piotrusiu Panie.

— To one — zaczęła poważnym głosem — układają wasze myśli, kiedy śpicie, dzięki czemu rano wszystkie dobre myśli są na samym wierzchu i łatwo je możecie znaleźć.

Malcy wpatrywali się w nią bez słowa.

— Nie wiecie, o czym mówię?

Potrząsnęli głowami. Maggie zastanowiła się.

— Mamusie są wspaniałe — powiedziała, próbując wyjaśnić im to w inny sposób.

— One karmią dzieci, całują, kąpią i wożą na lekcje gry na fortepianie. A kiedy dzieci są samotne, bawią się z nimi. Kiedy dzieci chorują, opiekują się nimi. Malują, rysują, ściskają, całują i potrafią zawsze pocieszyć. I układają dzieci spać każdego wieczora.

Zagubieni Chłopcy zdziwili się jeszcze bardziej. Ale oto jeden mały chłopczyk jakby sobie coś przypominał! I jeszcze jeden!

Maggie nachyliła się.

— Przylepiają plastry, kiedy dzieci się skaleczą, pieką ciastka w deszczowe popołudnia i śpiewają piosenki i...

— Zaczekaj! — wykrzyknął jeden z Zagubionych Chłopców. — Pamiętam! To nie piosenki, to... kołysanki!

— Tak! — zawołała Maggie.

Wyglądziła zmarszczki na swojej nocnej koszuli, odrzuciła jasnорude włosy i zaczęła cicho śpiewać.

* * *

Oparci o reling tylnego pokładu, wpatrzeni w wejście do zatoki, gdzie kolory księżyców Nibylandii mieniły się różnobarwnymi, tajemniczymi wzorami na powierzchni wody, Hak, Śmierdziuch i Jack podnieśli naraz głowy na dźwięk głosu Maggie. Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli, oczarowani jej śpiewem i zatopieni we własnych myślach.

Wreszcie Jack szepnął cichutko:

— Moja. . . mama śpiewa tę piosenkę.

Hak natychmiast zaniepokoił się, jego chwilowe uniesienie znikło i nachmużył się. Utkwił wzrok w bosmanie.

— Zrób coś! — wyszeptał wściekły.

Śmierdziuch wyprostował się i klepnął Jacka w ramię.

— Chodź, zuchu! — huknął rubasznie. — Pobujamy się na Długim Tomaszu!

Posadził Jacka na armacie, usiadł na jej drugim końcu i zaczął pokrzykiwać tak wesoło, jak gdyby nigdy w życiu nie widział lepszej zabawy.

Hak podszedł do relingu i popatrzył w stronę portu. W blasku księżycyca dostrzegł Maggie Banning siedzącą na podłodze w celi.

* * *

Piotr przechadzał się samotnie wzdłuż konaru Nibydrzewa i obserwował, jak ostatnie promienie słońca znikają w wodzie, a na ich miejsce wpełza poświata księżyców. Nagle zatrzymał się; w mroku połyskiwały światła pirackiego miasteczka i „Wesołego Rogera”. Powietrze było tak przejrzyste, że widział małe figurki ludzi poruszające się na nabrzeżu i na ulicach wśród wraków starych okrętów. Było tak cicho, że słyszał ich kroki.

Teraz jednak usłyszał coś niezwykłego. Ktoś śpiewał słodką, kojącą kołysankę. „Znam tą piosenkę” — zdziwił się.

Kolację kończył w dziwnym nastroju. Zagubieni Chłopcy zgromadzili się wokół niego, wszyscy gadając jak najęci, pytali o to i tamto, chcąc być jak najbliżej niego. Uśmiechał się do nich, kiwał głową i coś im odpowiadał — przez cały czas starając się zrozumieć, co zdarzyło się wtedy z mieczem i kokosami. Przez chwilę był. . . odmieniony. Głupio mu było to stwierdzić, ale żadne inne słowo nie pasowało mu. On przecież nie dałby rady tego zrobić, nawet gdyby kokosy leżały na stole, a co dopiero przeciąć lecące w powietrzu. To był po prostu niewiarygodnie szczęśliwy traf.

A jednak, przez krótką chwilę. . .

Pamiętał, że wróżka podleciała wtedy do ponurego Chulia pytając go, czy widział, co się stało.

— On tam jest, Chulio. Pomóż mi go wydostać. Naucz go walczyć, żeby mógł zmierzyć się z Hakiem. Popatrz w jego oczy, on tam jest! — i szarpnęła go za złoty kolczyk dla podkreślenia swoich słów.

Chulio jednak przegnał ją z rykiem:

— Uciekaj stąd, ty Nibyrobaczku! — i wróżka oburzona odleciała.

„Znam tę piosenkę”.

Wpatrywał się oszołomiony w światła pirackiego miasta, starając się usłyszeć słowa kołysanki. I wtedy pojawił się koło niego Baryłka. Wsłuchiwali się w płynące dźwięki i przez moment żaden z nich się nie odzywał.

— Piotrusiu — powiedział po chwili Baryłka. — Kiedy byłeś taki jak my, był też taki Zagubiony Chłopiec, Piszczaka. Czy pamiętasz go?

Piotr potaknął bez słowa.

Baryłka wyciągnął zza pazuchy woreczek.

— Nastaw ręce, Piotrusiu.

Chłopiec wysypał mu zawartość woreczka na dłoń. Piotr przyjrzał się. Trzymał w rękach garść kulek.

— To są jego szczęśliwe myśli — powiedział uroczystym tonem Baryłka. — Zgubił je dawno temu. Trzymałem je, ale dla mnie się nie nadają — uśmiechnął się. — Może będą dobre dla ciebie.

Uśmiech był smutny i zarazem pełen nadziei. Podał Piotrusiowi woreczek. Piotr wrzucił do niego kulki, schował i uściskał chłopca.

— Moja szczęśliwa myśl, to moja mama, Piotrusiu. Ale nie pamiętam jej. Czy ty pamiętasz swoją mamę? — zapytał.

Piotr potrząsnął głową.

Baryłka zaczął coś mówić, ale Piotr przyłożył mu palec do ust.

— Zaczekaj. Słuchaj.

Kołysanka Maggie płynęła przez mrok, niczym zapach kwiatów niesiony wiatrem.

Pucołowata twarz chłopca rozpromieniła się.

— Tak jak Wendy, Piotrusiu — powiedział cicho. — Ona była kiedyś naszą mamą — przerwał i zawahał się. — Czy myślisz, że kiedyś do nas wróci?

W pirackim więzieniu wszyscy Zagubieni Chłopcy pogrążeni byli we śnie. Maggie śpiewała coraz ciszej, obserwując zamykające się oczy, opadające głowy i coraz bardziej miarowe oddechy. Przestała śpiewać, ale nadal nuciała melodię wpatrując się w mrok celi. Myślała o domu.

Nagle usłyszała, że przy oknie coś się poruszyło. Siedział tam kapitan Hak; oczy błyszczały mu w świetle księżyca, jego ostre rysy łagodził mrok, a kontur peruki i trój graniastego kapelusza odcinał się wyraźnie na tle nieba.

Maggie przestała nucić, zawahała się przez chwilę, a potem delikatnie odsunęła głowy złożone na jej kolanach. Wstała i podeszła do okna. Oczy kapitana Haka były jakby rozmarzone i nieobecne, a ręce złożone przed sobą jak u dziecka.

— Kto kładzie cię spać, kapitanie Haku? — zapytała cicho.

Hak uśmiechnął się pod wąsami.

— Dziecino, ja jestem wodzem wszystkich piratów Nibylandii. Nikt nie kładzie spać kapitana Jakuba Haka. Sam się kładę spać.

Maggie utkwiała w nim swoje niebieskie oczy.

— No właśnie, i dlatego jesteś taki smutny. Nie masz mamy.

Hak zmieszał się. Przez chwilę wydawało się, że zaprotestuje, że gdzieś głęboko w jego pamięci ukryte jest coś, co przeczy słowom Maggie.

Zaraz jednak wzruszył ramionami.

— Nie, jestem smutny, bo nie mam swojej wojny.

Maggie potrząsnęła głową.

— Przez cały dzień wydajesz rozkazy, rządzisz, każesz robić ludziom różne rzeczy. Nikt nie dba o ciebie. Mama opiekowałaby się tobą. Bardzo potrzebujesz mamy. Bardzo, ale to bardzo.

Hak zastanowił się nad czymś i spojrzał na nią. Potem popatrzył na ukołysane przez nią do snu dzieci i na chwilę jego twarz złagodniała.

Zaraz jednak znów się nachmurzył. Wstał bez słowa i odszedł.

Muzeum Tik-Tak

Tik-tak. Tik-tak.

Ten dźwięk, wszechobecny, uporczywy, przerażający, nieustannie prześladował kapitana Haka. Nawiedzał go nawet we śnie niczym duch z przeszłości o dobrze znanym obliczu.

Tik-tak. Tik-tak.

Krokodyl wyślizgnął się z czeluści piekła, gdzie wtrącił go Hak, i szukał zemsty łaknąc większego kąska. Ręka kapitana już mu nie wystarczała. Zasmakował w kapitanie i chciał go więcej. Krokodyl podpłynął do „Wesołego Rogera”, kłapiąc łakomie paszczą i błyskając oczami. Hak próbował mu uciec, ale stwierdził, że nie może się ruszyć. Jego buty były przybite do pokładu. Kiedy próbował z nich wyskoczyć, okazało się, że jego skarpetki są przyklejone do butów. Szarpał się i jęczał przerażony, usiłując się uwolnić, gotów nawet zerwać skórę z pięt, jeśli będzie trzeba.

Nagle usłyszał śmiech. Niedaleko stał Piotruś Pan z przekrzywioną wesołą głową, młotkiem i gwoździarnią w jednym ręku i słoiczkiem kleju w drugiej.

Tik-tak. Tik-tak.

Kapitan Hak leżał zwinięty w kłębek w swoim łóżku z kołdrą naciągniętą pod brodę, twarz drgała mu w rytm tykania, a jego wąsy i brwi podskakiwały jak sprężyny prześladowającego go zegara.

Tik-tak. Tik-tak.

W końcu obudził się i łypnął przekrwionym okiem. Wciąż drgała mu jedna brew i jeden wąs. Przerażone i wściekłe oko kapitana spoglądało nie wiadomo gdzie. Hak zrzucił z siebie pościel i wyskoczył z łóżka, a jego nocna koszula załopotiała jak żagiel. Pobłyskując złowrogo swym hakiem, rozejrzał się wokół usiłując wysledzić, skąd dochodzi ten ohydny dźwięk. Spojrzał w jedną stronę, a potem w drugą, w górę i w dół. Podszedł na palcach, aby zbadać swoje biurko. Zajrzał pod łóżko. Podbiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Nic!

Oszalały z wściekłości wypadł z kajuty i pognał na pokład.

Tik-tak. Tik-tak.

Podążając za dźwiękiem wszedł po schodkach na rufę. Całe jego ciało trzęsło się w rytm tykania.

Czyżby on wrócił? Nie, przecież w końcu się z nim rozprawił. Przecież stoi wypchany na placu.

Hak omiół rozbieganym wzrokiem pusty pokład i wreszcie dostrzegł hamak, w którym spał Jack Banning.

Powoli, ostrożnie, zbliżał się do niego, a tykanie stawało się coraz głośniejsze. Zatrzymał się przy chłopcu, drżąc na całym ciele, jakby stał nagi na mrozie. Jego pazur zaczął przybliżać się do chłopca, aż w końcu zanurzył się w jego kieszeni.

Kiedy kapitan wyciągnął hak z powrotem, na jego czubku wisiał zegarek kieszonkowy Piotra Banninga.

Tik-tak. Tik-tak.

Uporczywy, monotony, potworny dźwięk rozsadzał kapitanowi głowę. Sekundnik skakał i zatrzymywał się, skakał i zatrzymywał się. Hak ujął zegarek w dwa palce jakby trzymał jadowitego węża. Dygotał na całym ciele a oczy płonęły mu czerwonym ogniem. Twarz Haka, zawsze straszna, stała się teraz odrażająca. Jak w transie zrobił krok do przodu i jego cień padł na śpiącego Jacka. Powoli uniósł w górę hak.

W tym momencie Jack się obudził. Ziewnął i spod na wpół przymkniętych jeszcze powiek dostrzegł jakiś przerażający, złowrogi kształt. Otworzył gwałtownie oczy i zobaczył nad sobą twarz kapitana i uniesiony hak. Zamknął oczy, skulił się oczekując na...

— Nie, kapitanie, tylko spokojnie! — łapa Śmierdziucha zacisnęła się na zegarku niemal zupełnie tłumiąc jego tykanie. — Kapitanie — rzekł błagalnym głosem. — Ten mały nie wiedział, co robi.

Hak utkwiał wzrok w bosmanie i teraz Śmierdziuch zaczął dygotać. Nagle kapitan uspokoił się i kiwnął głową wykrzywiając twarz w strasznym uśmiechu.

— Tak, Śmierdziuchu, to racja. Karać naszego gościa za przypadkowy przemyt? To byłyby złe maniery!

Wyjął zegarek z drżącej ręki Śmierdziucha, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby.

— Jest tylko jedno miejsce na to, Jack — oznajmił chłopcu, którego oczy wciąż były wielkie jak spodki. — Natychmiast do muzeum!

Roześmiał się tubalnie i wyciągnął chłopca z hamaka. Ubrali pirackie stroje i poszli, Hak ręka w rękę z Jackiem, a Śmierdziuch za nimi. Przez pomost na nabrzeże, przez nabrzeże do mola, przez molo do pirackiego miasteczka, a potem przez tłumy wiwatujących piratów, aż w końcu kapitan wszedł do ogromnego, ciemnego wraku, w którym nie widać było żywej duszy. W porównaniu z jarmarcznym gwarem ulicy w środku panowała cisza jak w kościele.

Nie był to jednak kościół, lecz olbrzymia sala wypełniona różnymi zegarami. Jedne były nowe, inne stare. Jedne wielkie, inne małe. Zegary stojące i bu-

dziki. Zegarki naręczne i kieszonkowe. W drewnianych obudowach wykładane złotem i srebrem, a także plastikowe i metalowe z kolorowymi wzorami. Niektóre miały na tarczach wymalowane słońce i księżyc, inne myszy i ludzi. Wyglądały jak owady przycupnięte na metalowych półeczkach. Były wszędzie, jak okiem sięgnąć, setki, a może tysiące zegarów. Jack ze zdumieniem przyglądał się tej niezwykłej kolekcji. Po chwili zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Żaden z zegarów nie chodził.

Hak zatoczył ręką koło po sali.

— Moje własne, prywatne, wspaniałe muzeum. Jack! Czy to nie jest cudowne! Całe mnóstwo zepsutych zegarów! Kiedyś każdy z nich tykał, a teraz już nie. Teraz jest już wszystko w porządku. Posłuchaj, zuchu.

Jack rozejrzał się z powątpiewaniem.

— Nic nie słyszę.

— Właśnie! I o to chodzi! — Hak wpadł w euforię. Kapitan podszedł do bogato zdobionego, starego zegara ze szmaragdami i rybkami na drewnianej obudowie.

— Ten zegar należał do Barbecue. Cóż to był za postrach siedmiu mórz, ten Barbecue. Bali się go niemal tak jak mnie! — Hak wykrzywił się w uśmiechu. — Zepsułem ten zegar zaraz po tym, jak przeciągnąłem Barbecue pod kilem!

Na boku szepnął do Śmierdziucha:

— Z tego Barbecue był grzeczny człowiek, do samego końca.

Śmierdziuch się uśmiechnął.

— Tak jest, kapitanie. Dobry, stary łotr, ale diabeł z nim zatańczył! A jak pięknie palił się jego okręt na tle niebieskiej wody.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Jack tymczasem zaczął przyglądać się zegarowi Barbecue; kiedy wziął go do ręki, nieruchome wskazówki nieoczekiwanie tyknęły.

Hak odskoczył natychmiast, zakręcił się wściekle, a w jego oczach pojawił się strach.

— Co to ma znaczyć, Śmierdziuchu? Co ja słyszę? Niemożliwe! Tykanie! Tykanie, Śmierdziuchu!

— Kapitanie, tu nic nie tyka, tu nie ma co tykać, klnę się na moje kości, wszystko w środku starte na proch. . .

Ale Hak go nie słuchał. Chwycił zegar, uderzył go hakiem i rzucił o podłogę. Jack przyglądał się temu z otwartą buzią.

— Znakomicie! — oznajmił Hak cofając się o krok i poprawił sobie przekrzywioną perukę. — To za tykanie, które mogło się zdarzyć! — zaczął skakać po rozbitych częściach. — A to za spóźnioną kolację wczoraj wieczorem!

Zatrzymał się nagle i spojrzał chytrze na Jacka.

— Może przyłączysz się do mnie, mój chłopcze? — zapytał i rzucił Jackowi kieszonkowy zegarek Piotra. — Śmiało. Wiesz, co masz robić.

Jack przez chwilę przyglądał się posępnie zegarkowi, a potem cisnął nim o podłogę.

— Za to, że zawsze muszę być w domu na kolacji! — wykrzyknął energicznie. — Czy jestem głodny, czy nie!

Hak roześmiał się i rzucił chłopcu następny zegarek. Jack trzepnął nim o podłogę i wskoczył na niego. Hak rzucał mu kolejne zegarki. Jack ciskał je wszystkie o podłogę i rozbijał.

— Śmiało, Jack! — zachęcał go kapitan. — Tak jest, zuchu! A teraz walnij w okno! Zbij szybę.

Hak chwycił zegar i cisnął nim w najbliższe okno tłukąc szybę. Nie zastanawiając się, Jack wybił kolejne okno. Zaczęli rzucać zegarami w szyby i w co popadło, rozkoszując się brzękiem tłuczonego szkła i padających zegarków. Śmierdziuch podskakiwał z uciechy.

— To za mycie zębów! — wrzasnął wściekle Jack. — I za to, że muszę się czesać! Za mycie rąk! Za to, że mam nie robić hałasu i nie gadać tyle! I za to, że muszę być dorosły!

— I za grubego, starego Piotrusia Pana jako tatusia! — ryknął Hak zrzucając na podłogę całą baterię zegarów.

— Który nie uratował nas! — krzyknął Jack w nagłym przypiływie rozpacz.

— Który nawet nie spróbował! — zasyczał kapitan chłopcu niemal wprost do ucha.

Jack padł z płaczem na kolana i zastygł pośród rozbitych zegarów.

— Nie uratował nas. Nawet nie spróbował. Tatus nawet nie... spróbował.

Szlochał tak bardzo, że nie mógł wykrztusić słowa. Hak spojrzął na Śmierdziucha i mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Kapitan przyklęknął przy Jacku obejmując chłopca przyjacielsko.

— Już dobrze, Jack — powiedział głosem słodkim jak miód. — Może jeszcze spróbuje. Myślę, że na pewno spróbuje.

Kiedy chłopiec uniósł zapłakaną twarz i spojrzął na niego, Hak przybrał współczującą minę.

— Pytanie tylko, zuchu, kiedy nadejdzie już ta chwila, czy chcesz, żeby cię uratował? Czy chcesz wracać do... kolejnych rozczarowań? Czy chcesz wracać razem z nim?

Hak energicznie potrząsnął głową.

— Nie, nie musisz teraz odpowiadać. Nie, nie. Teraz pora na coś innego. Pora, żebyś stał się, kim chcesz, na przykład piratem albo...

Jack zawahał się, ale w jego oczach zabłysnęła iskierka.

— Albo kim? — zapytał zaciekawiony.

Kapitan uśmiechnął się czarująco. Wyjął zza pleców rękę. W zagięciu jego ręki tkwiła baseballowa piłka Jacka. Chłopcu zaświeciły oczy i natychmiast sięgnął po nią.

— Powiedz mi zatem, Jack — zapytał kapitan łagodnie. — Czy zdarzyło się kiedyś, bym nie dotrzymał słowa?

Hak szcęknął zębami, jakby zamykał pułapkę.

Podkrecona piłka

Kiedy nikczemny Hak zmagał się z duchami przeszłości, Piotr Banning musiał spojrzeć w oczy trudnej prawdzie dotyczącej jego teraźniejszości. Przede wszystkim chodziło o to, że Zagubieni Chłopczy byli coraz bardziej przekonani, iż jest on — no tak, wiadomo kim — podczas gdy nim nie jest.

— Przygotować się — syknął Chulio.

Stali naprzeciw siebie na polanie koło Nibydrzewa, trzymając w rękach miecze; Chulio pewnie, jakby nic innego nie robił od urodzenia, natomiast Piotr wyglądał tak, jakby nie całkiem wiedział, który koniec miecza służy do walki.

— Tylko nie za ostro — rzekł błagalnym tonem, już ciężko dysząc. — Pamiętaj, że jestem początkujący.

— Tak, tak — ryknął Chulio. — Widziałem, co się stało z kokosami. Ja cię obserwuję, paskudny człowieczku.

Chulio przykucnął i zaczął zgrabnie przebierać nogami, a Piotr usiłował go bez powodzenia naśladować. „To nie jest dobry pomysł — pomyślał. — Wręcz okropny. Jak zwykle, wymyśliła to Dzwoneczek. Nie wystarczyło jej, że musiał biegać, skakać i wylatywać z procy. Trzeba było jeszcze, żeby nauczył się walczyć na miecze. Szermierka, też coś! Co on wiedział o fechtowaniu? Ledwie potrafił pokroić pieczeń przy niedzielnym obiedzie!”

Chulio zatoczył koło i Piotr, nie wiedząc co ma robić, podążył za nim.

— Chulio cię nauczy — upierała się wróżka. — Chulio jest najlepszy. On pokaże ci wszystkie sztuczki. Pomoże ci przypomnieć sobie, jak się walczy.

— Bardzo ładnie, ale czy po tym wszystkim będę jeszcze żywy, żeby móc podziękować?

Zagubieni Chłopczy kibicowali im, a większość z nich dopingowała Chulia. Ostatni wieczór już minął i zatarł się w pamięci, a Chulio przecież nadal był ich wodzem.

Wróżka podleciała do Piotra i usiadła na czubku jego miecza.

— Pamiętaj, plecy proste, ramiona rozluźnione. Nacieraj na niego i nie bój się. Tak samo jak z tamtymi kokosami.

Piotr spojrział na nią z irytacją.

— Mówiłem ci już, że nie wiem, jak to się stało! To był jakiś odruch!

Szczęknięty miecze.

— Powąchaj to, przyjemniaczku — powiedział Chulio uśmiechając się. — *Uno, dos, tres...*

Jego miecz spadł na Piotra jak wąż. Piotr usłyszał odgłos rozdieranego ubrania i poczuł nagle jakiś przewiew. Kiedy spojrzął na siebie, zobaczył, że spodnie opadły mu do kostek. Zagubieni Chłopczy pokrzykiwali z dezaprobatą.

— Poskarżymy! — zawołali wszyscy.

Chulio nie zwracając na nich uwagi uniósł miecz Piotrusia Pana, przekrzywił głowę i zapiał.

— Nie umiesz latać, nie umiesz fruwać, przyjemniaczku, i zupełnie nie umiesz pisać!

Kieszonka podszedł nieco bliżej.

— To nieładnie. Jak może zapisać, skoro z nicego nie może być dumny.

Zagubieni Chłopczy zaczęli głośno potakiwać, stając w obronie Piotra. Chulio rzucił im cierpkie spojrzenie i uśmiechnął się złowieszczo.

— No to powiedz mi, co ten gruby gość mógłby zrobić?

Kieszonka spoważniał.

— Mnóstwo zecy — wykrzyknął. — Może połykać ogień!

Piotr chwycił się przerażony za gardło.

— Może napisać list albo namalować obrazek! Może bawić się w Zagubionych Chłopców i Indian!

Nagle olśniło go.

— Wiem! Może pójść do miasteczka i ukraść kapitanowi hak!

Jęk rozpaczy Piotra utonął w okrzykach zachwyty Zagubionych Chłopców. Zaczęli tłoczyć się wokół niego, skakać, poklepywać go po plecach wrzeszcząc: „Tak, tak! Ukraść hak!”

Chulio stał z boku pewien, że niebawem spełni się jego najgłębsze pragnienie, i uśmiechał się jak kocur.

* * *

„Kolejny idiotyczny pomysł — pomyślał ponuro Piotr. — Najbardziej idiotyczny ze wszystkich”.

A jednak poszedł, jakby wcale nie uważał tego za głupie, jakby utracił wszelkie poczucie proporcji w swoim życiu, robiąc wszystko, co mu powiedzą, ponieważ nie miał żadnych własnych pomysłów. Wyrwanie z realnego świata i znalezienie się w Nibylandii pozbawiło go zdolności racjonalnego myślenia i postępowania. Jak inaczej mógł wyjaśnić to, że zakrada się do pirackiego miasteczka, by ukraść hak kapitana, aby zaimponować gromadce małych, umorusanych oberwańców, którzy mają uwierzyć, że jest kimś innym, niż jest naprawdę, i pomóc mu uratować jego dzieci z rąk jakiegoś szaleńca?

Oczywiście chodziło o coś więcej, ale Piotr nie był jeszcze w stanie tego dostrzec. Był dorosłym w dziecięcym świecie, w którym sny i marzenia były prawdziwe, a niezwykle przygody zdarzały się co chwila. Piotr spędził zbyt wiele czasu zajmując się regułami i przepisami prawa, nie mającymi sensu dla zwykłego człowieka, i pisanymi przez ludzi, którzy przemykają przez swoje dzieciństwo tak szybko, jak tylko mogą, żeby czym prędzej stać się dorosłymi. Piotr nie był jednym z nich, ale spędził wśród takich ludzi dostatecznie dużo czasu, by zacząć myśleć tak jak oni i zapomnieć, że był kiedyś małym chłopcem. Zarabianie pieniędzy, zawieranie kontraktów, wygrywanie procesów, to wszystko zastąpiło dawne zabawy i radości takie jak budowanie zamków z piasku, jazda na karuzeli, czy oglądanie pokazów ogni sztucznych w narodowe święto. Nawet gry nabrały zupełnie innego sensu. Piotr zbyt długo żył nie pojmując, co tak naprawdę ma w życiu wartość i męczył się okrutnie, by przetrzymać lekcje, dzięki którym znów mógł to zrozumieć.

I choć, jak się okazało, był to najważniejszy dzień w jego dorosłym życiu, Piotr potrafił pomyśleć jedynie, że jest na tyle głupi, iż daje się wodzić za nos gromadce dzieciaków.

Zbutwiałym pomostem szło czterech piratów — trzech bardzo wysokich i czwarty, nieco niższy, ale za to o groźniejszym wyglądzie. Mieli na sobie trójgraniaste kapelusze, peleryny, szarfy i buty. Oblicze jednego z nich skrywała przepaska na oku i ogromna broda, a chusta i blizny zasłaniały twarz innego. Najniższy z nich miał z kolei twarz tak wykrzywioną, że przechodzący piraci tylko rzucali mu spojrzenie i zaraz przyspieszali kroku. Każdy z czwórki piratów uzbrojony był po zęby w kordelasy, pistolety i noże.

Kiedy mijali sklep ze słodyczami, trzech wielkich piratów nagle zatrzymało się i z fałd płaszcza jednego z nich wyjrzała znajoma twarz.

— Śliwki w czekoladzie! — westchnął Baryłka, ale zaraz jakaś ręka wepchnęła jego głowę z powrotem pod pelerynę.

Oczywiście piraci nie byli wcale piratami. To szedł Piotr i jego Zagubieni Chłopcy; Baryłka i Kieszonka udawali jednego pirata, As i Nieśpik drugiego, Klamka i Niepytaj trzeciego, a czwartego Piotr. Zamały, jak to za mały, został w domu. Wróżka Dzwoneczek podróżowała w kapeluszu Piotra i wydawała polecenia.

— Tedy! Nie, tedy! Wolniej! Stać! Tamtędy! Z dala od tamtej zdziry! Uwaga! Rycz! Rycz!

Piotrowi przyszło to bez trudu. Gdyby miał okazję, z radością nawet by ugryzł.

Przemknęli do miasta bocznymi uliczkami, ale w swoich przebraniach wyglądali tak groźnie, że nikt nie chciałby mieć z nimi do czynienia. Szukali jakiegoś śladu Haka i niebawem stwierdzili, że wszyscy zmierzają w stronę Placu Piratów i krokodylowej wieży.

Kiedy zbliżali się tam, zataczając się jak pijani — bo chłopcy z trudem utrzymywali równowagę stojąc jeden na drugim — dobiegały ich coraz głośniejsze okrzyki. Przed nimi, wokół placu, kłębili się piraci. Piotr wspiał się na jakąś beczkę i spojrzał ciekawie ponad morzem głów.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Plac Piratów został zamieniony w boisko baseballowe!

Uprzątnięto ślady niezliczonych biesiad, znikły stragany i wózki. Nie było złodziejasków i kuglarzy (a przynajmniej nie rzucali się w oczy). Na boisku wymalowano starannie linie i pola, atlasowe poduszki ozdobiane drogimi kamieniami służyły jako bazy, obok boiska ustawiono trybuny, a na krokodylowej wieży wisiała tablica z wynikami.

Najbardziej zdumiewający byli jednak gracze — wszyscy w staroświeckich strojach z wielkim napisem PIRACI na koszulkach; no i oczywiście rękawice i czapeczki. Kilku było w kolcach, choć większość wołała zostać w swoich butach. Niektórzy mieli nawet zatknięte za pasem pistolety i noże.

Śmierdziuch i Jukes zajęli już swoje pozycje, a kapitan Hak usadowił się na widowni z hożą dziewczyną u boku.

Nagle na boisko wpadł jakiś niski, odrażający pirat, porwał zdobioną klejnotami poduszkę i rzucił się do ucieczki.

— Uwaga! — wrzasnął Śmierdziuch. — On ukradł drugą bazę!

Barczysty pirat pełniący rolę sędziego wyjął muszkiet, wypalił i położył trupem uciekającego złodzieja. Poduszkę odzyskano i położono z powrotem na swoim miejscu.

— Zagrywać! — huknął sędzia.

Kiedy Piotr i Zagubieni Chłopcy znaleźli się przy trybunach, zrzucili swoje ubrania i wpełzli pod metalową konstrukcję. Dotarli do miejsca, w którym siedział Hak i wyrzeli na zewnątrz.

Na boisku był także Jack Banning. Miał na sobie taki sam strój jak pozostali piraci, a w ręku zamiast kija trzymał sztuczną nogę. Uradowany i podniecony wymachiwał dziarsko protezę.

Piotr zerwał się i chciał już wbiec na boisko, ale Hak nagle krzyknął:

— Jack, zuchu, ten mecz wynagrodzi ci wszystkie inne, na które nie przyszedł twój tatuś. Stary Hak nigdy nie opuściłby twojego meczu.

Kiedy kapitan Hak z drwiną wymawiał słowo „tatuś”, Piotr zadrzał.

Jack, który szykował się właśnie do uderzenia, zamachał radośnie do Haka.

— Teraz na twoją cześć, kapitanie!

— Zedrzyj z niej skórę! — odkrzyknął mu Hak, śmiejąc się wesoło. — Wal, ile sił, synu!

Piotr nie mógł w to uwierzyć. Widać było, że jego syn i kapitan Hak są w dobrej komitywie. Nie dało się też zaprzeczyć, że jego syn jest rozradowany i podniecony. Jack świetnie się bawił. Jack i kapitan razem.

Hak zaczął kierować dopingiem i piraci siedzący na trybunach unieśli w górę kartony ukazując niezdarnie narysowane twarze kapitana i Jacka.

— Jack! Jack! To jest gość! Zaraz da wszystkim w kość!

Tablice znów poszły w górę i ukazał się napis: JACK DO DOMU! Jack przyglądał się temu przez chwilę i w jego oczach pojawił się cień wątpienia. Śmierdziuch odwrócił się, zobaczył napis, rzucił z jękiem piłkę i podbiegł do trybun krzycząc i wymachując rękami.

Po chwili dwie literki zostały zmienione i napis brzmiał już: JACK DO BOJU!

Śmierdziuch zajął pozycję i przyglądał się uważnie chłopcu, obracając w palcach jego piłkę. Jack zrobił kilka kroków i cofnął się, poprawiając czapkę. Splunął. Piraci też splunęli. Jack stuknął się w pas i piraci zrobili to samo.

Jack wrócił na swoje miejsce i nastawił kij do uderzenia. Śmierdziuch przygotował się do pierwszego rzutu.

— Zaczekaj, Śmierdziuchu! — krzyknął Hak. — Dajcie mi rękawicę!

Obrócił się do siedzącej obok niego kobiety, która ostrożnie odkręciła mu hak i nałożyła rękawicę. Kapitan był zachwycony. Żelazny pazur spoczął na poduszce obok Haka.

O kilka centymetrów od twarzy Piotra.

Zagubieni Chłopcy otworzyli szeroko oczy. Nigdy jeszcze nie mieli tak wspaniałej okazji! Szukali sposobu na to, jak ukraść hak i oto podany im został jak na tacy!

— Weź go! — szeptali do Piotra machając rękami i podskakując z podniecania. — Weź go! Weź!

Ale Piotr nie słuchał. Nawet nie zauważył, co leży przed jego nosem. Patrzył tylko na syna, który stał uradowany na boisku ściskając drewnianą nogę.

Śmierdziuch cisnął piłkę, ale nieprecyzyjnie. Jack nawet nie spojrział na nią. Śmierdziuch rzucił drugi raz, znów gdzieś w bok, i Jack nawet nie zareagował. Był czujny i napięty.

Śmierdziuch cofnął się i machnął.

To był straszliwy, podkreśniany rzut.

„Nie — pomyślał z rozpaczą Piotr. — Jack nie poradzi sobie z podkreśnianą piłką!”

Jack skupił się, odchylił o parę centymetrów drewnianą nogę i huknął nią jak z armaty.

Łup! Trafił piłkę dokładnie w sam środek i posłał ją wysoko w niebo. Piłka leciała coraz dalej, poza boisko, poza Plac Piratów, poza miasteczko, aż w końcu znikła z oczu. Takiego uderzenia jeszcze nikt nie widział.

Hak podskoczył podniecony.

— Widzieliście! — zawołał. — Widzieliście! O, mój Jack! Taka piłka! Jesteś zuch, Jack, mój synu!

Zszedł z widowni, rzucił rękawicę w powietrze i wrzasnął dziko. Jack truchtał po boisku, podskakując co chwila z radości, a piraci ściskali mu rękę i gratulowali. Hak podbiegł do niego, podniósł i zakręcił w koło. Obaj promienieli ze szczęścia. Piraci przydźwigali beczkę z napisem „CrocAde” i wizerunkiem krokodyla, i wylali jej zawartość na Jacka. Wszyscy zaczęli wiwatować.

Hak posadził sobie Jacka na plecy, po czym na czele graczy i kibiców ruszyli uroczystym pochodem do miasta.

Piotr stał jak skamieniały i w głowie kołatała mu tylko jedna, przerażająca myśl: „Jack nigdy dotąd tak się nie cieszył”.

Odwrócił się i odszedł, zapominając w ogóle, po co tu przybył. Zagubieni Chłopcy patrzyli na niego zdumieni. Co się z nim dzieje? Co on robi?

W końcu widząc, że nie ma zamiaru wracać, że naprawdę nie ma ochoty, by zrobić coś godnego zapiania, wymienili między sobą wymowne spojrzenia i rozczarowani podążyli za nim.

Witaj w domu, Piotrusiu Panie!

Piotr nie wiedział, jak wrócił do Nibydrzewa i chyba tylko szczęśliwy traf zrządził, że dotarł tam bezpiecznie. Przez cały czas biegł i chłopcy nie mogli za nim nadążyć. Także wróżka Dzwoneczek chyba gdzieś została, bo nie słyszał jej ani nie widział przez całą drogę. Prześladowany przez demony, które znał aż za dobrze, pędził przed siebie ogarnięty rozpaczą. Wszędzie, gdzie nie spojrzął, w ocienionych polanach, w taflach stawu, w obłokach żeglujących po niebie, widział Jacka z kapitanem Hakiem.

„Straciłem go. Straciłem”.

Nie chciał nawet myśleć, co mogło stać się z Maggie, co mógł jej zrobić Hak. Nawiedził go najstraszniejszy koszmar wszystkich rodziców — jego dzieci zostały wykradzione i poddane jakimś strasznym wpływom, złym zwyczajom, skazane na życie, które musi się źle skończyć. Piotr sypał sól na swoje rany i obwinał się o wszystko. Wiedział, że zawiódł, że przegrał swoją walkę o Jacka i Maggie, że Hak jest górą. A wszystko mogło przecież wyglądać inaczej. Mógł poświęcać swoim dzieciom choć trochę więcej czasu i uwagi, mógł dołożyć więcej starań, żeby być przy nich, kiedy go potrzebowały, ale niestety. Jack i Maggie byli z kapitanem Hakiem, właśnie dlatego, że on tak często ich opuszczał.

Nie było to oczywiście racjonalne rozumowanie, ale Piotr zupełnie nie był w stanie myśleć inaczej, on, ojciec wyzuty z Rodzicielskiej Odpowiedzialności, dorosły, pozbawiony wspomnień swojego dzieciństwa, człowiek, który zarządzał innymi, a nie potrafił pokierować samym sobą.

Przez wiszący most przedostał się z wyspy na lagunę, gdzie na tle niebieskich wód oceanu wznosiło się dumnie Nibydrzewo, i znów rozżłościł się na los, na stracone szansę, na złe wybory, jakich dokonał w życiu, na ziemię i niebo, i na Haka. Nawet nie całkiem wiedział, gdzie jest, czepiając się w myślach obietnicy, którą złożyła mu wróżka, ufnych spojrzeń Zagubionych Chłopców, marzeń o uratowaniu dzieci, które jakby ulatywały na zawsze.

Braął przed siebie z błędnym wzrokiem, mruzczał coś pod nosem, daremnie rozpościerał ramiona do lotu, przybierał pozę szermierza i fechtował wyimaginowanym mieczem. Powoli ogarniało go szaleństwo, zamykając go w sobie niczym

dom opuszczony i zatrzaśnięty na cztery spusty. Po policzkach ciekły mu łzy, a smutek dławił go tak, że prawie nie mógł zaczerpnąć tchu.

I nagle. . . Bęc!

Coś twardego rąbnęło go w głowę. Upadł jak kłoda z rozrzuconymi rękami. Oszołomiony i przestraszony leżał bez ruchu przez chwilę, kuląc się i chowając przed bólem, jaki spotykał go w tym świetle.

Kiedy w końcu otworzył oczy, zobaczył, że leży przy brzegu sadzawki. Dźwignął się na kolana, nachylił nad wodą i obmył sobie twarz. Przyglądając się swojemu odbiciu zobaczył twarz jakiegoś chłopca, który miał może czternaście lat, rozczochrane jasne włosy, chochliki w oczach, i . . . wydał się Piotrowi znajomy.

Bardzo przypominał Jacka, ale to nie był on.

„Jack! Jack! Jack!”

Gdzieś z oddali dobiegały głosy piratów skandujących imię jego syna.

Piotr dotknął tafli wody, która zadrgała delikatnie i obraz się zmienił.

Ujrzał teraz siebie.

„Jack! Jack! Jack!”

Nagle dostrzegł, że na dnie sadzawki coś leży, coś okrągłego i niedużego. Wyjął to ostrożnie z wody i uważnie obejrzał. To była piłka Jacka, ta, którą jego syn wystrzelił z Placu Piratów.

Raptem olśniło go. To właśnie ta piłka spadła w końcu na ziemię i uderzyła go w głowę. Piłka Jacka. Przyleciała do niego.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to drobiazg, przypadkowy zbieg okoliczności, ale Piotr Banning trzymał piłkę jak drogocenne trofeum i nagle poczuł w sobie jakiś pierwotny, dziki impuls, którego nie potrafił ani zrozumieć, ani powstrzymać. Odchylił się do tyłu i chciał wrzasnąć, ale zamiast wrzasku wydał z siebie szalone, wyzywające pianie. Piotr zerwał się podniecony tym dźwiękiem i skulony cofnął się do pnia Nibydrzewa. Nagle rozległ się szept: „Tutaj! Tutaj!” Piotr rozejrzał się dookoła. Jakiś cień zastygł pod rozłożystym drzewem. Piotr poruszył się i cień drgnął jednocześnie. To był jego cień.

Piotr wpatrywał się w piłkę Jacka i kątem oka zobaczył, jak jego cień porusza się i kiwa do niego ręką. Jakiś głos znów szepnął: „Tutaj!”

Rzucił szybkie spojrzenie w bok i cień znieruchomiał. Piotr zaczął podnosić swoje nogi i cień robił to samo. Wszystko jest w porządku.

Pomacał się po głowie tam, gdzie uderzyła go piłka i zrobił jeden krok. Tym razem cień nie poszedł za nim, ale wyprzedził go i machał na niego ręką ponagla-
jąc go: „Śmiało, Piotrusiu, chodź!” Poszedł posłusznie, nie zastanawiając się już, czy to, co go spotyka, jest możliwe. Cień pokazywał w dół na jakiś otwór. Piotr odsunął pnącza i trawę przykrywające drzewo i pochylił się. Zobaczył w promieniu słońca zarys twarzy wyryty w korze, oczy, nos i usta rozciągnięte jakby ktoś . . .
piał.

I było jeszcze coś. Na pniu wyryto też imiona, imiona z zamierzcłej przeszłości, którą utracił, jak sądził, na zawsze: PISZCZAŁKA, KĘDZIOREK, DROBINKA, STALÓWKA, JANEK, MICHAŁ.

„Zapomniani na tak długo — uświadomił sobie Piotr, posuwając palcem po wyłobieniach w korze i czując w dotyku coś znajomego. Zapomniani wraz z utratą dzieciństwa. Zapomniani wraz z dorosłością. Piszczątka — szepnął. — Wendy...”

I nagle odłoniło się wejście prowadzące gdzieś w głąb drzewa. Piotr zawahał się przez chwilę, ale zaraz zaczął wciskać się do środka. Panowała tam ciemność i przejście było bardzo wąskie, ale wsuwał się dalej, czując, że właśnie tam czeka na niego to, co utracił.

W połowie drogi utknął jak korek w butelce. Napał rękami na ścianki i pchnął. Nagle runął w dół i wylądował na czworakach.

Wejście zamknęło się za nim. Piotr zaczął szukać po omacku czegoś, o co mógłby się oprzeć i wstać.

W mroku błysnęło światelko, które przybliżało się do niego, świecąc coraz jaśniej, i nagle pojawiła się przed nim wróżka Dzwoneczek w powłóczyściej sukni z koronki i atlasu, błyszczącej kolorami tęczy i wschodów i zachodów słońca.

— Czekałam na ciebie, Piotrusiu — powiedziała.

Piotr wpatrywał się w nią bez słowa.

— Czemu nic nie mówisz?

— Ładnie wyglądasz, Dzwoneczku.

— Ładnie?

— Pięknie.

Zarumieniła się i złożyła mu ukłon wróżek, wygładzając fałdy sukni.

— Podoba ci się? — zapytała i zakręciła się w koło.

Uśmiechnął się jak nieśmiały chłopiec i potaknął.

— Bardzo — podszedł do niej i nachylił się. — Co to za okazja, Dzwoneczku?

— Ty. Wróciłeś do domu, ty głupi ośle.

Piotr zmieszał się i pomacał ostrożnie swój guz na głowie.

— Do domu? — powtórzył z powątpiewaniem.

Wróżka zaczęła jaśnieć, rozświetlając powoli wszystko wokół i rozpraszając panującą ciemność.

Piotr rozejrzał się ze zdumieniem. Stał w podziemnej sali wykopanej pod pniem Nibydrzewa. W jednym końcu był ogromny kominek, poczerniały i wygasły, a w drugim leżały szczątki bujanego fotela i dużej kołyski. W środku pokoju wystawał z ziemi pień, który mógł niegdyś służyć jako stół. Wszystko było osmalone ogniem, a czystą niegdyś podłogę porastały teraz grzyby.

„Znam to miejsce!” — pomyślał niespokojnie.

— Co tu się stało? — zapytał wróżkę, przyglądając się śladom zniszczeń.

— Hak — odpowiedziała.

— Hak?

— Owszem, Piotrusiu. Hak spalił to wszystko, kiedy nie wracałeś.

Piotr zaczął oglądać szczątki zgarnięte w kącie. Delikatnie, niemal z czcią, podnosił kawałki czegoś, co było niegdyś małym drewnianym domkiem krytym strzechą.

Drżały mu ręce.

— Wendy — westchnął. — To jest... to jest domek Wendy. Piszczalka i Stalówka zbudowali go dla niej. Były tam sztuczne róże i kapelusz Janka zamiast komina. — Dzwoneczku, ja to pamiętam! — jęknął.

Obrócił się.

— To jest podziemny dom! — podszedł do szczątków bujanego fotela. — Wendy siadywała w nim i opowiadała nam bajki — ale nie stał tu, tylko tam! Kiedy wracaliśmy z naszych wypraw, Wendy cerowała nam skarpetki. Ona tu spała. Dzwoneczku, Dzwoneczku, ty też tu mieszkawałeś, o tutaj! A łóżko małego Michała było tutaj! A Janek spał tutaj!

Wskazywał kolejne miejsca, a słowa same cisnęły mu się na usta. Wróżka przyglądała mu się z zapartym tchem, a na jej twarzy malował się zachwyt.

Nagle przystanął. Ukłękł, rozgarnął popiół i podniósł starego, wytartego niedźwiadka z jednym okiem.

— Misio. Mój Misio — szepnął.

Podniósł wzrok i spojrzał gdzieś przed siebie.

— Był ze mną zawsze w wózku. Moja mama... — wzruszył się. — Pamiętam jak moja mama...

— Co mama, Piotrusiu? Czy pamiętasz ją? Opowiedz mi!

— Pamiętam ją... moją mamę... i mojego tatę... jak patrzą na mnie, mówią, że jak będę duży, pójdę do najlepszych szkół...

Stare, utracone wspomnienia ożyły na nowo z wielką mocą.

Był malutki, leżał w swoim wózek, zawinięty w niebieską kołderkę, i patrzył w niebo na przepływające obłoki i szybujące ptaki.

„... z całą pewnością, najlepsze szkoły” — usłyszał jak mówi z przekonaniem jego matka. — Najpierw Whitehall, a potem Oxford. Oczywiście po studiach będzie się przygotowywał do zawodu sędziowskiego, a potem może parlament... ”

— Tego wszyscy dorośli oczekują od swoich dzieci — powiedziała poważnym tonem wróżka, a jej głos zadźwięczał delikatnie.

— Tak, ale to mnie przestraszyło — powiedział. — Nie chciałem dorosnąć i pewnego dnia... umrzeć.

Dziecko rzuciło się w swoim wózku i hamulce puściły. Wózek potoczył się w dół alejki nabierając rozpędu i zmierzał w stronę stawu. Matka Piotrusia spojrzęła za nim przerażona. Na brzegu stawu wózek nagle się zatrzymał.

Ale dziecka w środku nie było.

Potem zapadła noc. Padał deszcz, błyskało i waliły pioruny. Na wysepce na środku stawu leżało dziecko, przemoknięte i rozpaczliwie płaczące. Nagle pojawiło się małe światełko i ukazała się wróżka Dzwoneczek. Spojrzała na malutkiego chłopczyka i podniosła listek, żeby osłonić mu buzię przed deszczem. Szepcząc i szczebiocząc coś, starała się go pocieszyć. Potem dmuchnęła na niego czarodziejskim pyłkiem, wzięła go za rączkę i odleciała w noc.

— Zabrałam cię do Nibylandii — szepnęła wróżka.

Kiedy Piotruś miał trzy lata, wrócił nocą do Ogrodów Kensingtonskich. Podfrunął do okna i próbował je otworzyć. Ale okno było zamknięte. Chłopiec nie wiedział, co robić. Nagle zobaczył przez okno, że w pokoju śpi jego mama tuląc w ramionach inne dziecko i wpadł w rozpacz.

— Zapomniała o mnie — powiedział cicho. — Znalazła... kogoś innego.

Miał dwanaście lat, kiedy wleciał przez okno dziecinnego pokoju przy Kensington Gardens 14, a mijало również dwanaście lat od początku naszego wieku. W domu Darlingów panowały mrok i cisza, a w dziecinnym pokoju nie było tych mebli, które stoją tam teraz; leżało tylko kilka zabawek, choć wtedy wyglądały na nowsze. Skoro jego okno było zamknięte, znalazł inne. Ścigał swój głupi, uparty cień, ale w końcu chwyciła go Nana, a pani Darling schowała do szuflady biurka. Znalazł go, ale nie mógł sobie przymocować. Próbował przykleić go mydłem i kiedy mu się to nie udało, wybuchnął płaczem budząc śpiącą dziewczynkę...

— Dlaczego płaczesz, chłopcze? — zapytała.

Uklonili się sobie nawzajem, po czym zagadnął ją:

— Jak się nazywasz?

— Wendy Angela Moira Darling. A ty?

— Piotruś Pan.

Piotr otworzył szeroko oczy. Ile razy wracał jeszcze potem do niej? Zawsze na wiosnę, żeby zabrać ją do Nibylandii na wiosenne porządki...

Zobaczył, że ona jest już dorosła, że jej dzieciństwo dawno się skończyło, podczas gdy on pozostał taki sam. Trzynaście, piętnaście, siedemnaście...

I pewnego dnia zapomniał po nią przylecieć i nie pojawiał się przez wiele lat. Kiedy w końcu przyleciał, zobaczył, że Wendy klęczy przy kominku, jej twarz ukryta jest w półmroku, pokój znów przemeblowany...

— Witaj, Wendy — przywitał ją.

— Witaj, Piotrusiu — odpowiedziała.

Cisza.

— Wiesz, że nie mogę polecieć z tobą. Zapomniałam już, jak się fruwa. Dorostałam już dawno temu.

— Nie, nie! Obiecałaś, że tego nie zrobisz!

Ale tak się oczywiście stało pomimo jej obietnicy, ponieważ poza Nibylandią zawsze się dorasta. Piotruś zaprzyjaźnił się zatem z jej córką, Jane, i przez wiele lat razem z nią latał do Nibylandii.

Ale Jane także dorosła i pewnego dnia Piotruś zjawił się w pokoju dziecięcym Darlingów i zobaczył, że Wendy jest już babcią, a w jej łóżeczku śpi teraz córka Jane. Piotruś, jak zawsze śmiały, podbiegł do łóżka, żeby obejrzeć śpiące dziecko i znalazł się twarzą w twarz z Moirą. W jej uśmiechu było coś takiego, co oczarowało Piotrusia; chłopiec nie chciał już wracać. Chyba z dziesięć razy podbiegał do okna, przyzywany przez wróżkę Dzwoneczek, która chciała wlatywać do innych okien i zdmuchiwać gwiazdy na innych niebach. Za każdym razem jednak zatrzymywał się i wracał, żeby jeszcze raz popatrzeć na Moirę.

Wtedy przez drzwi dziecięcego pokoju wślizgnęła się Wendy i podbiegła do Piotrusia, by zatrzymać go przy sobie choć na chwilę. Ale tej nocy nie trzeba było go zatrzymywać, bo schwytyany został w sieć, z której nawet on nie potrafił się wymknąć.

— Pocałuję ją — powiedział w końcu.

Wendy się nie zgodziła.

— Nie, Piotrusiu. Żadnych guzików ani napastrków. Moira jest moją wnuczką i nie zniosę tego, jeśli i jej serce złamiesz, kiedy przekona się, że nie może cię zatrzymać — tak jak ja dawno temu — rozplakała się przerażona tym, co się mogło stać.

Piotr usiadł obok śpiącej Moiry i włożył jej między palce napastrzek. W ostatniej chwili zmienił jednak zamiar z powodów, które na zawsze pozostaną niejasne. Zauroczony Moirą pochylił się, by ją pocałować i kiedy jego usta dotknęły jej ust, napastrzek upadł.

Nie zauważył, że zamykają się okna, jak gdyby pchnięte podmuchem wiatru. Nie usłyszał szczęku ich zamka. Nie dostrzegł przerażenia na twarzy wróżki, kiedy spoglądała na niego przez szybę z drugiej strony. . .

— Myślałam, że straciłam cię na zawsze — wyszeptwała.

Potem Piotruś był w szkole, ubrany w marynarkę, krawat i lakierki, włosy obcięte i uczesane; wyglądał teraz bardzo schludnie i bardzo porządnie. Siedział w ławce pośród innych dzieci, patrzył przez otwarte okno na jesienne popołudnie, na kolorowe liście i czuł zapach wilgoci. Podeszła do niego nauczycielka, uśmiechnęła się i zapytała:

— Piotrusiu, gdzie byłeś?

Zamknęła okno, a on odpowiedział:

— Nie pamiętam. . .

Wspomnienia powoli zacierały się. Piotr stał patrząc przed siebie, a wróżka fruwała koło jego nosa połyskując w mroku.

— Och, Piotrusiu — powiedziała drżącym głosem. — Teraz widzę, dlaczego tak trudno ci znaleźć szczęśliwą myśl. Masz tak wiele smutnych.

Nie odpowiedział, oszołomiony nagle odkrytymi wspomnieniami. A zatem wróżka i Zagubieni Chłopcy mieli rację. Był tym, za kogo go uważali.

Był Piotrusiem Panem.

Smętnie przyglądał się zniszczonym okrucem swojego dzieciństwa, temu, co niegdyś było mu tak drogie. Gorzka prawda była jednak taka, że oba jego życia były w ruinie, zarówno w tym świecie, jak i w tamtym. A wszystkiemu winien jest on sam, bo porzucił swoje szczęśliwe myśli już dawno temu. Pozwolił im ulecieć.

Machinalnie podrzucił w powietrze misia, który uniósł się w górę i prawie stanął w powietrzu spoglądając na Piotra swoim jednym okiem. Piotr wyciągnął do niego powoli ręce.

— Zaczekaj — szepnął. — Złapię cię, Misiu. Złapię cię.

Stary, pluszowy miś spadł mu w ręce, ale kiedy Piotruś chwycił go, nie był to miś, lecz czteroletni Jack — jasnooki i uśmiechnięty.

— *Jack! Jack!* — zawołał do swojego syna.

— *Ja też chcę popfrunąć, Tatusiu, ja też!* — zawołał inny znajomy głos.

— *Maggie, dziecinko!*

Chwycił córkę w ramiona i trzymając ją mocno obracał się w koło. Śmiali się i wykrzykiwali radośnie. Przyłączyła się do nich Moira obejmując go. Uściskali się wszyscy i ucałowali.

— *Tak!* — zawołał. — *Moja rodzina: Jack, Maggie, Moira, tak bardzo was kocham! Uwielbiam być razem z wami! Jaki jestem szczęśliwy! Tak, Dzwoneczku! Dzwoneczku, to moja rodzina, moja wspaniała, cudowna rodzina. Oni wrócili! Oni...*

Otworzył szeroko oczy i rozejrzał się zdumiony. Znajdował się pięć metrów nad podłogą zawieszony w powietrzu. Nagle obleciał go strach. Zaczął opadać.

— Nie, Piotrusiu! — krzyknęła wróżka podtrzymując go. — To jest twoja szczęśliwa myśl! Nie trać jej!

Piotr obsuwał się, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by zapanować nad sytuacją.

— Co mówisz?

— Jest twoja na zawsze! — pisnęła wróżka. — Trzymaj się jej!

Piotr zamknął oczy i przywołał obraz Jacka, Maggie, Moiry i samego siebie, kiedy kręcili się w koło ze śmiechem, pomyślał o ciepłe i głębi uczucia, jakim obdarza go rodzina, o łączącej ich miłości...

Nagle zatrzymał się. Otworzył oczy. Poczul, że znów się unosi.

— Tak! — zawołała wróżka. — Tak, Piotrusiu Panie!

— Udało mi się! — szepnął, wciąż wznosząc się; ogarniało go uczucie, którego nie był w stanie opisać. — Spójrz na mnie, Dzwoneczku! Spójrz!

Określił się gwałtownie i odbił od ściany. Spadał w dół i podlatywał w górę. Dorosły Piotr zniknął jak duch o świcie i budziło się w nim śpiące dziecko. Obracając się w koło na nowo stawał się Piotrusiem Panem.

— Dzwoneczku, ja umiem fruwać! — zawołał. — Ja naprawdę fruwać!

— To leć za mną i wszystko będzie dobrze! — wykrzyknęła radośnie wróżka. — Kocham cię!

I wylecieli przez dziupłę Nibydrzewa.

Czarodziejski pyłek

Cóż to była za wspaniała chwila dla Piotra, kiedy wyfrunął z Nibydrzewa zrzucając ziemskie więzy, odzyskując tożsamość i odnajdując swoje dzieciństwo.

Mknął przez mrok za Dzwoneczkiem nabierając szybkości i pewności siebie i czując, jak wzbiera w nim niewysłowiona radość. Wystrzelili przez szczelinę w ogromnym pniu Nibydrzewa, wróżka i chłopiec, fruując we wszystkie strony i wirując pomiędzy liściastymi gałęziami niczym robaczki świętojańskie. Ptaki rozpierchły się ćwierkając przenikliwie.

— Spójrzcie, Piotruś Pan wrócił!

Piotr wzbił się ponad wierzchołek Nibydrzewa i leciał ku obłokom śmiejąc się w zachwycie. Odmieniony, ucieleśniał teraz to, co żyje w każdym z nas, tę cudowną iskrę dzieciństwa, którą tak często tracimy dorastając. Ta iskra rozpałała się w nim wielkim płomieniem i nagle poczuł, że wzbiera w nim coś, czego nie może powstrzymać.

Wyciągnął szyję, odrzucił do tyłu głowę i zaczął pisać.

— Tak, Piotrusiu, tak! — usłyszał krzyk Dzwoneczka. — Witaj w domu, Piotrusiu Panie!

Wlecieli razem w obłoki i zaczęli robić fikołki, nurkować jak łabędzie, ścigać się z cieniami i bawić w chowanego. Kiedy zmęczeni się, kiedy opadło już pierwsze uniesienie wspólnym lotem, usiedli na obłoku i szybowali z wiatrem.

Piotr po raz pierwszy przyjrzał się sobie i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie był już starym, grubym Piotrem Banningiem. Znikły gdzieś zbędne kilogramy, znów zarysowały się mięśnie. Był teraz smukły, zgrabny i wyglądał o wiele młodziej. Odchylił głowę i zaśmiał się zadziwiony tym, co się stało, cudem swojej przemiany.

— Jestem wspaniały! — wykrzyknął z pewnością siebie małego chłopca.

Poderwał się i dał nurka przez chmury ku zielonemu zarysowi Nibylandii. Leciał w dół coraz szybciej, a w jego oku widać było figlarny błysk. Za nim podążała wróżka, równie beztrosko i ochoczo co on, jakby instynktownie wiedząc, co Piotruś zamierza.

„Gdzie oni są?” — zastanawiał się przeszukując wzrokiem skałę i Nibydrzewo stojące na jej szczycie. „Gdzie są Zagubieni Chłopcy?”

Dostrzegł ich gdzieś między latem i jesienią zgromadzonych wokół swego przywódcy. Chulio rysował patykiem na ziemi plan ataku na kapitana Haka i piratów, a chłopcy przypatrywali się z uwagą.

Piotr spadł na nich jak tornado i zakręcił się nad ich głowami strącając jesienne liście. Siedzący z boku Kieszonka podniósł głowę. Kiedy zobaczył Piotra, otworzył szeroko oczy i upadł na plecy.

— To on! — zawołał, szarpiąc za ubranie siedzącego obok chłopca. — To zeczywiście on!

Piotr roześmiał się i znów zatoczył koło, a Dzwoneczek w ślad za nim. Zagubieni Chłopcy wpatrywali się w niego przez chwilę i zaraz się poderwali. Klamka i Zamały wrzeszczeli zachwyceni wymachując rękami. Chulio, któremu zakłócono opis planu bitwy, wstał, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Piotr chwycił w locie sztylet któregoś z chłopców i jednym ruchem przeciął pas Chulia. Spodnie Chulia opadły mu do kostek. Zagubieni Chłopcy podnieśli wrzawę. Piotr raz jeszcze zawrócił, nabrał w ręce wody ze stawu i prysnął nią na zdumionego Chulia.

Kiedy wylądował w końcu pośród chłopców, wszyscy zaczęli go poklepywać po ramionach i gratulować. Piotruś Pan wrócił! Teraz byli przy nim wszyscy, gotowi pójść za nim wszędzie.

Chulio zobaczył, co się dzieje, i spochmurniał. Nie mogąc ścierpieć, że nikt nie zwraca na niego uwagi, podciągnął spodnie, wspiął się po sznurowej drabince do swojego domku na Nibydrzewie i po chwili wyłonił się z mieczem Piotrusia Pana. Oczy płonęły mu wściekle, a miecz błyszczał groźnie w ostrym słońcu.

Piotr z Zamałym na ramionach, Kieszonką w objęciach i w otoczeniu innych Zagubionych Chłopców, nie zauważył go. Dopiero kiedy Chulio stanął na ziemi i zapiał przeraźliwie, wszyscy obrócili się w jego stronę i zobaczyli, że podchodzi do Piotra z uniesionym mieczem.

Chłopcy rozbiegli się przerażeni. Piotr odsunął Kieszonkę i Zamałego.

— Broń się, Piotrusiu Panie! — krzyknął As.

Ale było już za późno. Chulio wskoczył na Piotra, który przykucnął, by zerwać się do lotu.

I nagle Chulio padł na kolana i zaczął płakać. Łzy ciekły mu po ciemnej twarzy, jego pióropusz był zmierzwiony, a w oczach chłopca widać było cierpienie, ale i podziw.

— Ty jesteś nim — powiedział ciężko dysząc. — Ty jesteś Piotrusiem Panem — wyciągnął miecz do Piotra. — Jest twój, weź go, przyjemniaczku. Umiesz walczyć, umiesz latać, umiesz. . .

Słowa uwięzły mu w gardle. Westchnął ciężko. Na jego twarzy malowało się rozczarowanie i zazdrość, ale i podziw. Piotr przyjął miecz, cofnął się i nakreślił na ziemi linię. Piotr i Zagubieni Chłopcy stali po jednej stronie, Chulio po drugiej.

Chulio wstał i przeszedł linię. Dawny chłopiec i przyszły mężczyzna spojrzeli na siebie z łagodnym uśmiechem i uścisnęli się.

Stojący wokół chłopcy zaczęli wiwatować.

Tego wieczora odbyła się wielka uroczystość na cześć Piotrusia Pana. Zagubieni Chłopcy pomalowali się w najdziksze kolory, ubrali swoje najpiękniejsze stroje, jedli swoje ulubione potrawy, a potem tańczyli indiańskie tańce przy ogniskach, które rozświetlały pociemniałe niebo. Tworzyli wokół ognisk kręgi unosząc ręce, potrząsając groźnie bronią i śpiewając piosenki w prawdziwych i wymyślonych językach. W centrum uwagi znajdował się Piotr, którego chłopcy prosili ciągle o popisy akrobatyczne. Chętnie zgadzał się, brawurowo wykonując becзки, korkociągi, pętle i obroty, aż muskał w locie czubki traw i końce gałęzi. Piotr śmiał się i bawił ze wszystkimi przeżywając na nowo cud swojego dzieciństwa, fragmenty przeszłości powracające w oszałamiającym kalejdoskopie wspomnień.

Jak mógł się z tym rozstać! Jak mógł porzucić to na rzecz czegokolwiek innego!

Tak bardzo się cieszył, iż odnalazł w sobie chłopca i uwolnił się od dorosłości, że po raz pierwszy od bardzo dawna zatracił się w radości teraźniejszą chwilą, która przesłoniła mu resztę życia i jego najbliższych.

W końcu, tuż przed świtem, kiedy księżyc Nibylandii znikaty już na zachodzie, a na wschodzie zaczynało jaśnieć niebo gasząc gwiazdy, Piotr zauważył, że nigdzie nie ma Dzwoneczka. Na początku bawiła się razem ze wszystkimi, ale w pewnej chwili znikła.

Piotr fruwał wokół Nibydrzewa i nawoływał myśląc, że może bawi się z nim w chowanego. Ale Dzwoneczka nigdzie nie było.

W końcu dotarł do jej domku w zegarze. Zawołał ją, ale nikt nie odpowiadał. Słyszał tylko okrzyki tańczących Zagubionych Chłopców. Piotr przysiadł na gałęzi i zajrzał do środka.

Wróżka siedziała odwrócona do niego plecami, z głową w dłoniach, a jej ramiona drżały. Piotr uświadomił sobie, że wróżka płacze.

— Dzwoneczku? Dzwoneczku, to ty? — zapytał zaniepokojony.

Nie odpowiedziała. Jej pokój usłany był dziwnymi przedmiotami. Męski portfel służył jako parawan, szpulka nici jako stół, klucze jako wieszaki do ubrań, a drobne pieniądze i cukierki stanowiły dekorację wnętrza. Na ścianie niczym rodzinny portret wisiało prawo jazdy.

Większość z tych rzeczy należała oczywiście do niego, ale mały chłopiec, jakim teraz był, nie zauważył tego.

— Dzwoneczku? — powtórzył tym razem głośniejszym głosem. — Co się stało? Czy coś cię boli?

Płacz ustał.

— Nie, po prostu wpadło mi do oka trochę czarodziejskiego pyłku i to wszystko.

— Wyjmę ci go — zaproponował wyciągając sztylet.

Wróżka, nie odwracając się, potrząsnęła głową.

— Czy jest ci smutno, Dzwoneczku? — zapytał.

— Nie. Proszę, odejść.

Piotr ucieszył się nagle.

— A może chcesz robaczka świętojańskiego? Albo trochę rosy? Wiem. Jesteś chora! Potrzebny ci jest termometr. Termometr ci pomoże.

— Nie, nie o to chodzi.

Piotr nie słuchał.

— Tak właśnie Stalówka pomógł Wendy, kiedy Piszczalka zestrzelił ją z łuku, trochę też przez ciebie. Stalówka włożył jej termometr do ust i od razu pomogło. Nie pamiętasz?

Wróżka potaknęła z płaczem.

— Pamiętasz, jak naśladowałeś Haka i uratowałeś tę okropną Tygrysią Lilie i zawarłeś pokój z Indianami?

— Oczywiście, że pamiętam — wyprostował się. — Ahoj, wy nędzne szczury — powiedział naśladując głos Haka. — Macie ją wypuścić! Tak, przetnijcie więzy i uwolnijcie ją! I to zaraz, albo nadzieję was na mój hak! — zaśmiał się wesoło. — Przeżyliśmy razem piękne przygody, prawda, Dzwoneczku?

Wróżka podniosła rozczochraną główkę. Nie odwracając się zapytała z wahaniem:

— Piotrusiu, czy pamiętasz twoją ostatnią przygodę? Tę... z uratowaniem twoich dzieci?

Piotr zamrugał zmieszany i zapytał:

— Piotruś Pan ma dzieci?

Wróżka ciągnęła dalej.

— Odpowiedz mi, dlaczego jesteś w Nibylandii?

Znów się roześmiał.

— To proste. Żeby być Zagubionym Chłopcem i nigdy nie dorosnąć. Żeby walczyć z piratami i zdmuchiwać gwiazdy. Zapytaj mnie jeszcze. Podoba mi się ta zabawa.

— Och, Piotrusiu — wyszeptwała.

Zapłonęła tak jaskrawym światłem, że Piotr musiał cofnąć się do drzwi jej domku i zmrużyć oczy. Domek Dzwoneczka nagle zaczął się rozpadać. Piotr jęknął i otworzył szeroko oczy. Blask był coraz większy i mocniejszy — jak gdyby z nieba spadł okruch słońca.

I wreszcie pojawiła się wróżka, już nie maleńka, ale taka duża jak on, a na głowie i ramionach tkwiły jeszcze resztki jej domku.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

— To jest jedyne życzenie, jakie spełniłam dla siebie — powiedziała.

Piotr wpatrywał się w nią. Była tak... duża. Miała na sobie długą i powłóczystą koronkową suknię. Jej oczy iskrzyły się, a włosy połyskiwały, jak gdyby usiane maleńkimi gwiazdkami. Stała bez ruchu, ale z nim zaczęło dziać się coś dziwnego, czego nie mógł zrozumieć.

Próbował coś powiedzieć, ale przyłożyła mu palec do ust, uciszając go zaraz. Objęła go i przybliżyła swoją twarz do jego twarzy.

Piotr, teraz chłopczyk w każdym calu, spojrzał na nią zdziwiony.

— Co ty robisz?

Wróżka przytknęła swój nos do jego nosa.

— Chcę cię pocałować.

Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. W jego dzieciństwie pocałunkami były zawsze naparstki albo guziki i właśnie czegoś takiego teraz oczekiwał.

Ale wróżka chwyciła go za rękę, przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

Potem cofnęła się.

— Och, Piotrusiu. Nie czułabym się tak, gdybyś i ty mnie nie kochał. Kochasz mnie, prawda? To zbyt wielkie uczucie, żeby czuć je samemu. To największe uczucie w moim życiu. I po raz pierwszy jestem tak duża, aby móc je okazać.

Nachyliła się i pocałowała go jeszcze raz. Piotr stał bez ruchu; całowanie spodobało mu się i chciał jakoś dzielić z nią jej największe uczucie, skoro należało także i do niego. Kiedy jednak dotknęła go ustami, dostrzegł kwiat wpięty w jej włosy.

Przypomniał mu się inny kwiat.

Przypomniała mu się...

— Maggie — szepnął i cofnął się. — Jack. Moira.

W tym momencie poczuł, jakby chłopiec i dorosły mężczyzna stali się na powrót sobą, jakby chłopiec oddał z powrotem coś, co zabrał, a mężczyzna przyjął to od niego nie prosząc o więcej.

— Proszę! — błagała wróżka, starając się go zatrzymać przy sobie. — Proszę, Piotrusiu — szepnęła. — Nie psuj tego.

Ale było już za późno. Czar prysł. Twarz Piotra się zmieniła.

— Dzwoneczku — szepnął, trzymając ręce na jej ramionach. — Ty jesteś i zawsze będziesz częścią mojego życia. To nigdy się nie zmieni. Ale moje dzieci, Jack i Maggie są częścią mnie. To moja rodzina, Dzwoneczku. Nie mogę o nich zapomnieć.

Spojrzał na światła pirackiego portu i „Wesołego Rogera”.

— Moje dzieci są na okręcie. Muszę je uratować.

Odwrócił się. Wróżka miała w oczach łzy, których nie dałoby się wytłumaczyć żadnym czarodziejskim pyłkiem. Skinęła powoli głową. Przez chwilę wpatrywała się w niego. Stali oboje nieruchomo niczym posągi. Nagle wróżka odezwała się.

— Czego się gapisz? Idź i ratuj je, Piotrusiu.

Chciał coś powiedzieć, ale wróżka sypnęła mu w twarz czarodziejskim pyłkiem. Kichnął i cofnął się.

— Śmiało! — zawołała. — Leć, Piotrusiu Panie! Leć!

I odleciał, wzbijając się jak ptak w jaśniejące światłem niebo, nie pamiętając już o pocałunku wróżki. Teraz myślał wyłącznie o Jacku i Maggie. Trzy dni minęły. Hak czeka na niego.

Nie oglądał się za siebie. Gdyby się obejrzał, zobaczyłby, że wróżka spowita cieniem Nibydrzewa znowu robi się maleńka.

Złe maniery!

Na rufie „Wesołego Rogera” stał kapitan Jakub Hak i myślał sobie, jakim jest szczęściarzem; w swoim purpurowo-złotym płaszczu, pobłyskując hakiem w świetle porannego słońca, prezentował się wspaniale.

Z uśmiechem błakającym się na kościstej twarzy kapitan spoglądał na tłum piratów, którzy zgromadzeni na głównym pokładzie wpatrywali się w niego. Wierne, lojalne psy. Obok niego stali Śmierdziuch i Jack; bosman w okularach uśmiechnięty od ucha do ucha; chłopiec, miniatura swojego nowego opiekuna, ubrany jak kapitan od butów po kapelusz. Hak czekał już trzeci dzień na pojawienie się Piotrusia Pana, w nowej, ulepszonej, jak miał nadzieję, postaci, ale postanowił już nie wybrzydzać. Podkręcił wąsa. Ostatni dzień, dzień, w którym rozpocznie się wreszcie jego ukochana wojna, a Piotrusia Pana spotka zasłużony koniec.

Zakręcił się na czubkach palców jak baletnica. Ach, już czuł zapach prochu grzmiących armat i słyszał huk wystrzałów.

Ale najpierw co innego.

— Śmierdziuchu, podaj z łaski swojej szkatułkę — rozkazał.

Bosman wyjął płaskie, drewniane pudełko, otworzył je i podsunął Jackowi. Na aksamitnej wyściółce leżały rzędy złotych kolczyków. Jack przyglądał się im bez słowa.

Hak nachylił się.

— Jest duży wybór, Jack. Który chcesz? Który?

Jack zawahał się przez chwilę. Potem sięgnął szybko po kolczyk z hakiem, taki jak nosił kapitan.

— Dobre maniery, Jack! — oznajmił Hak z zachwytem. — Doskonały wybór. Musisz wiedzieć, że to bardzo szczególna chwila, kiedy pirat otrzymuje swój pierwszy kolczyk — spojrzął na swoją załogę. — Prawda, zuchy?

— Tak jest, kapitanie — potwierdzili chórem i ich surowe twarze rozciągnęły się w uśmiechach.

Co za bydlę.

Hak odwrócił się do chłopca.

— A teraz Jack, poproszę żebyś odwrócił głowę — o tak, troszeczkę — od-
słonił mu ucho i do jego koniuszka przyłożył czubek swojego haka. — A teraz
trzymaj się Jack, bo to może zabołec — roześmiał się.

Jack zacisnął oczy.

Nagle rozległo się pianie i Huk znieruchomiał. Wszystkie spojrzenia skiero-
wały się na grotzagieli; na jego płótnie rysował się jakiś cień.

Cień Piotrusia Pana.

Miecz wyciął w żaglu otwór i na pokład padł kontur Piotrusia. Piraci wzdry-
gnęli się.

Śmierdziuch przykucnął za kapitanem.

— Kapitanie, to duch! — jęknął.

Hak uśmiechnął się lodowato.

— Nie sądzę, Śmierdziuchu. Myślę, że to wrócił nasz żartowniś.

— Kto to jest? — zapytał Jack przerażony.

Jakaś postać wyskoczyła zza płótna i zjechała po promieniu słońca, lądując
dokładnie tam, gdzie wcześniej padł jej kontur.

I oto Piotruś Pan stał z mieczem w ręku, uśmiechem na ustach, promieniejąc
młodością i radością. W zielonym wdzianku, jakby skrojonym z liści Nibydrzewa,
wyglądał na wcielenie dawnego Piotrusia Pana. Piraci rozpierzchli się w popło-
chu, następując sobie na drewniane nogi. Hak uśmiechał się w błogim zadowole-
niu. Śmierdziuch kulił się w cieniu kapitana, a Jack stał nieruchomo.

Piotr frunął w powietrze i wylądował przed schodkami rufy prowadzącymi do
Haka. Przez chwilę zapanowała zupełna cisza. Kapitan podszedł bliżej.

— Piotruś Pan — zasyczał jak wąż. — To prawda, czas leci i ty także, jak
widzę. Dobre maniery. Powiedz mi, jak ci się udało wcisnąć w te szykowne łaszki?

Piraci rechotali z żartu swojego kapitana. Kiedy Piotr postawił nogę na schod-
kach, Hak uruchomił dźwignię i schodki przekreśliły się, chowając czerwony dy-
wan.

Piotr zmieszał się, ale wchodził dalej, aż stanął przed kapitanem.

— Oddaj moje dzieci, Jakubie Haku, a daruję wolność tobie i twoim ludziom.

Hak zaśmiał się szyderczo.

— Naprawdę? Jak to miło z twojej strony!

Nagle przybrał poważny ton.

— Coś ci powiem. Dlaczego by nie zapytać tych maleństw, czego one chcą?
Zacznijmy od tego. Jack? Ktoś chce się z tobą zobaczyć, synu.

Z uroczystą miną przyprowadził Jacka. Od razu zauważył, że Piotr stracił nie-
co ze swojego animuszu, kiedy zobaczył, jak wygląda jego syn.

— Czy nic ci nie jest, Jack? — zapytał Piotr. — Czy on ci nic nie zrobił?
Gdzie jest Maggie? Obiecałem, że przyjdę po ciebie i jestem. Nigdy mnie już nie
stracisz. Kocham cię, Jack.

Jack nie zareagował. Z tego, co pamiętał, był raczej synem Haka. Popatrzył przez chwilę na Piotra i cofnął się wyzywająco.

— „Obiecałem” — powiedziałaś? — zadrwił Hak. — Ha! To u ciebie nic nie znaczy, Piotrusiu. I czy może słyszałem też to słowo na „k”? Na kości Barbecue, to naprawdę bezczelność!

Piotr udał, że go nie słyszy.

— Jack, daj mi rękę. Idziemy do domu.

Jack potrząsnął uparcie głową.

— Ja jestem w domu.

Hak wbił szyderczy wzrok w Piotra.

— Jak widzisz, Piotrusiu, on jest teraz moim synem.

On mnie kocha. I w przeciwieństwie do ciebie, jestem gotów walczyć o niego.

Odsunął Jacka za swoje plecy i podniósł złowieszczo swój hak.

— Długo czekałem, żeby ucisnąć twoją dłoń tym hakiem! — zasyczał. — Szukaj się na śmierć!

Piotr pochylił się wyczekująco i uniósł miecz. Hak dał znak piratom, wśród których rozległ się szmer podniecenia. Piotr zawahał się przez chwilę, a potem zeskoczył ze schodków i obrócił się, gotów do odparcia ataku.

Piraci byli już przy nim, połykując groźnie sztyletami i kordelasami. Piotr, szybki i zwinny jak kot, parował wszystkie ciosy. Makaron i Bili Jukes natarli pierwsi, ale Piotr popchnął ich i obaj polecili do tyłu na swoich towarzyszy.

Z rufy walce przyglądał się Hak, który wyjął szpadę i dla rozgrzewki wykonał serię szybkich pchnięć. Jack stał z boku i obserwował walczących, a na jego twarzy widać było niepewność. W Piotrusiu Panie było coś znajomego.

— Czy ja go nie znam, kapitanie? — zapytał ostrożnie.

— Nigdy go nie widziałeś — rzucił mu Hak.

Nacierający piraci byli coraz bliżej Piotra, Jukes i Makaron doszli już do siebie i prowadzili swoich kamratów do ataku. Piotr zaczekał, aż podejda całkiem blisko i pofrunął w górę stając na żaglu, skąd krzyknął do Jacka.

— Jack! Jack, posłuchaj mnie! Nie uwierzysz, ale znalazłem swoją szczęśliwą myśl! Zajęło mi to trzy dni, ale w końcu udało mi się i pofrunąłem! Czy wiesz, co to była za myśl? To byłeś ty!

Hak wpadł we wściekłość. Obrócił się, podbiegł do relingu i pociągnął za sznur od sieci, która wisiała tuż nad Piotrem.

Jack zawołał:

— Tatusiu, uważaj!

Za późno. Ciężka sieć spadła na Piotra, ściągając go z żagla na pokład. Piraci podbiegli do niego z wrzaskiem wymachując bronią. Piotr zerwał się z uniesionym mieczem i zapiał wojowniczo.

Jack zrobił wielkie oczy.

— To jest mój tatuś! — szepnął do siebie z niedowierzaniem. — To naprawdę on!

Nagle rozległo się pianie i zewsząd zaczęli pojawiać się Zagubieni Chłopcy z bojowymi okrzykami na ustach. Byli pomalowani w wojenne barwy i odziani w zbroje — hełmy z wydrążonych tykw, na ramionach, piersiach i kolanach ochraniacze z bambusa połączone skórzanymi rzemykami, naramienniki z muszli i drewna, a z ich zbroi zwisały się kolorowe wstążki i pióra. Chulio prowadził pierwszy zastęp Zagubionych Chłopców, skacząc z trampoliny na olinowanie okrętu. Nie wiadomo skąd obok „Wesołego Rogera” pojawił się stateczek chłopców „Mroczny mściciel”, a z jego pokładu wysypała się kolejna grupa chłopców. As i kilku innych spuszczały się z dźwigów i belek wystających z nabrzeża. Inni zjeżdżali po linach i wdrapywali się na piracki okręt.

Hak przyglądał się temu wszystkiemu z niedowierzaniem. Wyglądało to tak, jakby na okręt spadła nagle jakaś nawałnica. Chwytał Śmierdziucha za koszulę.

— Wołaj straż miejską! Potrzebujemy wszystkich naszych ludzi!

Śmierdziuch wbiegł po schodkach na rufę i zaczął uderzać w mosiężny dzwonek.

— O rany, co będzie ze Śmierdziuchem? — mruzczał, a jego entuzjazm dla wojny Haka wyraźnie osłabł.

Rozpoczęła się walka; Chulio i inni chłopcy ruszyli z maczugami na stalowe ostrza. Tymczasem Piotr uwolnił się z sieci i dołączył do walczących. Pokład zamienił się w pole bitwy.

Hak podbiegł do relingu.

— Na krew Billy’ego Bonesa, kocham dobrą wojnę! Dobry początek udanego dnia! — odwrócił się do Jacka. — Po raz pierwszy posmakujesz krwi co, synu?

Jack pobladł. „Posmakuję krwi?” Zaczynał myśleć, że to wcale nie jest takie wspaniałe być piratem.

Na schodki wbiegła gromadka chłopców wymachując maczugami, ale u góry pojawił się Hak i przewrócił wszystkich jak domino.

Nagle zabrzmiały nowe wrzaski — to Baryłka pojawił się na nabrzeżu z resztą Zagubionych Chłopców. Wpadli na pomost roztrzając na wszystkie strony piratów, którzy powpadali do wody.

Piotr i Chulio formowali chłopców w szereg, by odeprzeć atak piratów związających szyki na rufie. Baryłka i As pospieszyli im z odsieczą. Łuki, kusze, proce i dmuchawy wystrzeliły w stronę piratów gradem twardych pocisków wysmarowanych klejem. W powietrzu zaczęły śmigać noże.

Atak piratów załamał się przy ogłuszającym wrzasku i wyciu.

— Przegrupować się, obmierzłe szczury! — krzyknął wściekle Hak Przypomnijcie sobie bitwy, które was zrodziły!

Piraci oczywiście nie rozumieli, o czym mówi ich kapitan, ale posłusznie wykonywali rozkaz. Trudno było powiedzieć, czy wiedzieli, w co się pakują, bo ni-

czego nie nauczyły ich wcześniejsze potyczki z Zagubionymi Chłopcami. Byli jednak uparci i nacierali, wydając z siebie mrozące krew w żyłach okrzyki, które mieszały się ze szczękiem stali.

Zagubieni Chłopcy uformowali się w dwa szeregi: jedni uklękli z przodu, a za nimi stanęli drudzy.

— Spokojnie, chłopcy — powiedział Piotr. — Pokażemy im białe światło, które nas zrodziło.

Piraci podeszli z groźnym rykiem. Piotr unióśł miecz.

— Pierwszy szereg — oślepiaj! — rozkazał.

W górę powędrowały lusterka i chłopcy posłali promienie słońca prosto w oczy atakujących piratów, którzy zaczęli zasłaniać się przed oślepiającym blaskiem, wpadając na siebie i przewracając się.

Na czele chłopców pojawił się teraz As z groźnie wyglądającą armatą, na której umocowana była klatka z gdaczącymi kurami. As wycelował lufę w stronę piratów. Zaczęły z niej wylatywać jajka, rozbijając się na ich twarzach. Żółte strugi tryskały z lufy, a skorupki odskakiwały jak łuski. Kiedy kury zaczęły szybciej znosić jaja, ogień się wzmógł.

Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić. As cofnął się i Zagubieni Chłopcy przegrupowali się. Uniosły się bambusowe rury, w ruch poszły ręczne pompki i na piratów spadł grad kulek. Piraci zaczęli padać jak kłody ślizgając się na kulkach.

Nagle z mrocznego tunelu wyłonili się piraci, przywołani dzwonkiem przez Śmierdziucha. Potrząsali bronią i groźnie pokrzykiwali. Ale Zagubieni Chłopcy już na nich czekali uformowani w dwa szeregi. Pierwszy szereg ukląkł z wyrzutniami umocowanymi na ramieniu, a chłopcy z tylnego szeregu ładowali do nich zgniłe pomidory, które rozpryskiwały się na twarzach napastników. Raz, drugi, trzeci. Piraci zaczęli padać, oślepieni pomidorową mazią. Kiedy jakaś grupka piratów chciała wejść na pomost, Baryłka zwinął się w kulkę i Zagubieni Chłopcy spuścili go po poręczy, roztrzając piratów na wszystkie strony jak kręgle.

Tymczasem Chulio z garstką chłopców wyłamali kratę w luku pokładowym i zapędzali tam wszystkich schwytych piratów. Wysmarowana jajami i pomidorami załoga kapitana Haka była w rozsypce. Ci, którzy nie zostali wrzuceni pod pokład, uciekali pomostem do portu. Bitwa była przegrana.

Hak przyglądał się temu z wściekłością i rozpaczą. Wszystko układało się nie po jego myśli.

— Śmierdziuchu — zawołał — wymyśl coś inteligentnego!

Śmierdziuch nie namyślając się długo pobiegł do kajuty kapitana. Hak spoglądał za nim z furją. „Bardzo trudno w tych czasach znaleźć dobrą pomoc” — pomyślał ponuro.

Wbiegł na schodki z silnym postanowieniem, że ktoś musi zapłacić za tę niesprawiedliwość i stanął twarzą w twarz z Chuliem.

— Hak! — syknął chłopak.

Hak uśmiechnął się i kiwnął na niego ręką.

Ale nagle stanął między nimi Piotr z uniesionym mieczem.

— Nie, Chulio — powiedział. — Hak jest mój.

I byłoby tak zapewne, ale Piotr niespodziewanie usłyszał znajomy głos, dobiegający gdzieś z portu.

— Jack! Jack! Na pomoc!

— Maggie! — krzyknął Piotr i pofrunął w tamtą stronę.

Strażnik więzienny, któremu Hak powierzył pilnowanie Maggie i dzieci, doszedł do wniosku, że sprawy nie układają się po myśli kapitana. Kiedy jego nieustraszony wódz zajęty był czym innym i droga z miasta wydawała się wolna, uznał, że pora zatroszczyć się o siebie, zabezpieczając się też na przyszłość, oczywiście. Zdjął klucz z szyi, otworzył zamek i pchnął drzwi. Przywitał groźnym rykiem gromadkę wystraszonych dzieci i zaczął kłać na nich.

— Jack! Jack! — zawołała z okna dziewczynka.

— Wyrwij stamtąd, ty mały gnoju — ryknął na nią. — Będę tu jeszcze tyle, żeby wziąć, co mi się należy, a potem. . .

Urwał nagle. Jeden z małych więźniów spuszczał właśnie przez okno linę skręconą z zasłon.

— Zaraz, zaraz! Dokąd się wybierasz? Złaż z tego okna!

Ale chłopczyk już był po drugiej stronie, a reszta dzieci wymknęła się przez otwarte drzwi. Została tylko Maggie wciąż wzywając pomocy. Strażnik schwycił ją i zaczął wlec za sobą. Piotr wylądował obok niego, stając oko w oko z innym piratem, który wypadł z sąsiednich drzwi. Ale ten spojrzał na Piotra, zakręcił się na pięcie i czmychnął.

Kiedy Piotr wpadł do pokoju, strażnik rzucił Maggie jak worek gorących kartofli.

Maggie otworzyła szeroko oczy.

— Tatuś?

Piotr popędził za strażnikiem obracając po drodze ogromny globus.

— Mały ten świat, co? — rzucił, przykładając piratowi do piersi czubek swego miecza.

Strażnik rozpląszczył się na greckim posągu, który zachwiał się i runął przyniatając pirata do ziemi.

Maggie rzuciła się Piotrowi w ramiona.

— Tatusiu! — zawołała radośnie.

Podniósł ją i zakręcił w koło, a potem przycisnął do siebie.

— Tak bardzo cię kocham — wyszeptał.

— Ja też cię kocham — odparła Maggie.

— Nigdy cię już nie utracę.

— Pieczętka, panie poczmistrzu.

Pocałował ją w czoło. W tej samej chwili wbiegł Klamka z gromadką Zagubionych Chłopców. Piotr pomachał im.

— To jest moja córka, Maggie — powiedział, stawiając ją na podłodze.

— Cześć! — przywitała się Maggie.

— Cześć! — zawołali Zagubieni Chłopcy i popatrzyli na nią zdumieni.

Piotr ruszył do wyjścia.

— Oni zaopiekują się tobą, dopóki nie wrócę. Teraz muszę znaleźć Jacka. Chłopcy, pilnujcie jej jak oka w głowie.

Zasalutował im i wzbil się w powietrze.

Klamka i inni nawet nie zwrócili na niego uwagi, bo ich oczy utkwione były w Maggie. W końcu Klamka szepnął:

— Czy naprawdę jesteś dziewczynką?

Armia Zagubionych Chłopców rozprawiała się tymczasem z niedobitkami piratów, zapędzając pod pokład tych, którzy zostali schwytani, i rozganiając pozostałych przez pomost na wszystkie strony. Nawet Łaskotka, którego ścigał Niepytaj, uciekł ze statku, porzucając swoją harmonię. Baryłka zmęczony już toczeniem się po poręczach, wystąpił teraz ze swoją ukochaną Czwór-rurką. Rzucił się w wir walki strzelając z czterech rur cuchnącym płynem na twarze zdumionych piratów, którzy dławili się i przewracali.

W kajucie kapitana Śmierdziuch pracowicie upychał do spodni skarby Haka.

— A co ze Śmierdziuchem? — powtarzał. — Jemu też się coś należy. Tak, przyszła jego pora.

Nagle przez drzwi wpadła gromada walczących piratów i Zagubionych Chłopców, przewracając wokół meble. Śmierdziuch skulił się i schował pod flagę Czerwonego Krzyża. Kiedy dwóch piratów zbliżyło się do niego, zarzucił im flagę na głowy i ściągnął jednemu z nich złoty kolczyk.

— Pięknie, pięknie — mruczał sprawdzając złoto zębem i zмирzając ku wyjściu obładowany łupami.

Kiedy dotarł do ściany, zatrzymał się przy posągu kapitana Haka, przekreślił mu nos i odsłonił otwór.

„Ostrożności nigdy za wiele” — pomyślał.

Wyrzwał ukradkiem.

Hak stał na rufie, wpatrując się groźnie w Chulia. Za nim stał Jack, którego pilnowali Makaron i Jukes.

— Chulio, Chulio — wyszeptał kapitan.

Chłopiec zbliżył się do niego, wywijając mieczem.

— Koniec spotyka pana Haczyka!

— Przykro mi, ale nie masz przyszłości jako poeta — zadrwił kapitan.

Piotr leciał do nich ile sił, aby zdążyć na czas, ale tym razem nie udało mu się. Szczęknęły ostrza, Hak i Chulio zwarli się w walce przetaczając się po całym pokładzie. Chulio na chwilę stracił swój miecz, ale zaraz chwycił go z powrotem.

Jedno z uderzeń Haka trafiło w okrętowy dzwon. To była wyrównana walka między mężczyzną i chłopcem, między piratem i młodzieńcem, aż w końcu podstępny kapitan wyrwał swoim hakiem miecz przeciwnikowi i ugodził Chulia szpadą.

Kiedy Piotr znalazł się przy nich, Chulio padł z jękiem na pokład. Piotr ukląkł obok niego i ujął w dłonie głowę chłopca, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

Jack wyrwał się Jukesowi i Makaronowi i podbiegł do Piotra. Chulio spojrział na niego.

— Czy wiesz... o czym marzę? — szepnął. — Mieć takiego tatę jak twój.

Z tymi słowami na ustach skonał, gdyż nawet w Nibylandii nie wszystko kończy się szczęśliwie.

Zapanowała cisza i Jack wpatrywał się w martwego Chulia. Czuł, jak jego żołądek zamienia się w kamień. Mimo że na pozór był miniaturą kapitana Haka, gdzieś w środku pozostał sobą. Podniecenie i radość z zabawy w pirata dawno przysnęły. Nie czuł też już złości i rozczarowania, których doznał jako syn Piotra Banninga. Jego tato tym razem dotrzymał słowa i przybył po niego i Maggie. Jackowi przypomniał się dom i rodzina, ciche popołudnia spędzane w domu na wspólnych zabawach, słowa otuchy i mądre rady, jakie wielokroć otrzymywał, kiedy życie okazywało się trudniejsze niż przypuszczał, przypomniawszy mu się wszystko, co miał do zawdzięczenia swoim rodzicom.

Odwrócił się do Haka ze łzami w oczach. Jego prawdziwy tato nikogo by nie zabił.

— To był tylko chłopiec, taki jak ja, kapitanie — powiedział drżącym głosem. Nagle zacisnął gniewnie zęby i rzucił:

— Złe maniery, kapitanie Jakubie Haku! Złe maniery!

Hak wyglądał na przerażonego. Piotr wstał i ruszył w stronę Haka z wyciągniętym mieczem, kiedy Jack nagle zawołał:

— Tato! Zabierz mnie do domu, tatusiu. Ja chcę do domu.

— Ale... ty jesteś w domu! — wybełkotał Hak.

Piotr wpatrywał się w swojego syna, a potem nachylił się, by wziąć go na ręce. Jack zdjął swój kapelusz i rzucił go z pogardą Hakowi. Trzymając chłopca Piotr odwrócił się i zaczął odchodzić.

Hak przyglądał mu się z niedowierzaniem.

— Zaczekaj! Dokąd idziesz?

— Do domu — odpowiedział cicho.

Sfrunął ze statku na nabrzeże, na którym niepodzielnie panowali już Zagubieni Chłopcy. Powitały go okrzyki radości i chłopcy stłoczyli się wokół niego. Także Maggie podbiegła do niego i Piotr uściskał ją i ucałował. Jack zdjął swój kapitański płaszcz i odrzucił go.

— Hurra! — zawołali Zagubieni Chłopcy.

— Uczta zwycięstwa! Uczta zwycięstwa!

Nagle Klamka zapytał:

— Gdzie jest Chulio?
— Tak, gdzie jest Chulio? — powtórzyli inni.
— On nie żyje, prawda? — zapytał cicho As.
— Czy Chulio nie żyje na zawsze? — szepnął Zamały.
Piotr próbował coś odpowiedzieć, ale nie potrafił. Nagle z pokładu „Wesołego Rogera” dobiegło wołanie Haka.
— Piotrusiu!
Piotr nawet nie spojrzął w tamtą stronę. Wziął na ręce Maggie i wraz z Jackiem i Zagubionymi Chłopcami odszedł.
— Piotrusiu!
Hak wrzeszczał oszalały z wściekłości. Podbiegł do schodków.
— Piotrusiu! Wracaj i walcz ze mną! Dokąd idziesz?
Nie skończyłem z tobą jeszcze, Piotrusiu Panie! Czy tylko tyle masz mi do zaoferowania? Jestem zaskoczony i rozczarowany! Złe maniery!
Maggie spojrzała na niego.
— Bardzo, ale to bardzo potrzebujesz mamusi! — krzyknęła.
Hak był już na schodach, kiedy Śmierdziuch wyłonił się z jego kajuty obładowany skarbami kapitana. Skradał się właśnie do szalupy, kiedy Hak go zauważył.
— Śmierdziuchu! — zaryczał.
Śmierdziuch zmartwiał i zamknął oczy.
— Schody! — wrzasnął Hak.
Bosman otworzył oczy, a na jego twarzy widać było ulgę. Uruchomił mechanizm i schodki obróciły się ukazując czerwony dywan. Hak zaczął schodzić bez słowa.
Śmierdziuch uśmiechnął się przymilnie.
— Ja właśnie... zbierałem pańskie rzeczy osobiste, kapitanie. Żeby nic nie zginęło ani...
Hak potraktował go jak powietrze i skierował się w stronę trapu.
— Nie umkniesz mi, Piotrusiu! — ryknął. — Zawsze pozostanę twoim najstraszniejszym koszmarem, tyle że prawdziwym! Nigdy się mnie nie pozbędziesz! Przysięgam ci, że wszędzie, gdzie spojrzysz, będą tkwiły sztylety z kartkami podpisanymi Jak. Hak! Będę przybijał je po wsze czasy na drzwiach pokojów dzieci, twoich wnuków i prawnuków! Słyszysz mnie?
Piotr zatrzymał się, odwrócił, posadził na ziemi Maggie i wrócił do pomostu. Stał naprzeciw rozwścieczonego Haka.
— Czego chcesz, Jakubie Haku? — zapytał spokojnie.
Twarz Haka wykrzywił grymas.
— Ciebie, Piotrusiu.
Piotr wreszcie zrozumiał. Dla kapitana liczyła się tylko zemsta na Piotrusiu Panie. Była jego obsesją, która nie minie, dopóki jeden z nich nie będzie martwy.

Hak nie żartował. Piotr i jego rodzina nie zaznają spokoju, zanim nie rozstrzygną tej sprawy raz na zawsze. Westchnął.

— No to mnie masz, staruszk.

Hak odrzucił swój kapitański płaszcz i zerwał szarfę. W jednej ręce trzymał pewnie szpadę, a na drugiej połyskiwał złowrogo jego hak.

As i Niepytaj wysunęli się z uniesionymi mieczami, ale Piotr odsunął ich.

— Schowajcie broń, chłopcy — rozkazał im. — Tym razem Hak albo ja.

Krokodyl

Jakub Hak zbiegł po trapie „Wesołego Rogera” wywijając groźnie szpadą.

— Szykuj się na śmierć, Piotrusiu Panie. To twoja ostatnia przygoda — rzucił z wilczym uśmiechem.

Ruszyli na siebie i szczęknęła stal. Hak natarł z furią spychając Piotra wzdłuż nabrzeża, a Jack, Maggie i Zagubieni Chłopcy rozpierchli się przed nimi. Po chwili Piotr opanował sytuację i sam zaczął atakować. Hak uniknął z pola, wciągając go do tunelu.

— Pamiętam cię jako dużo większego — powiedział Piotr parując groźne uderzenie.

— Dla dziesięciolatka jestem ogromny.

Piotr uśmiechnął się.

— Dobre maniery, Jakubie.

— Nie bierz mnie pod włos, Piotrusiu.

Wypadli na drugą stronę tunelu. Piraci i Zagubieni Chłopcy umykali im z drogi, a po chwili znów podążali za nimi, niczym rzeka wpadająca do wyschłego koryta. Walczący dotarli do piwiarni, skąd Piotr porwał obrus i machał nim przed Hakiem jak torreador przed rozjuszonym bykiem.

— Fantastyczny powrót do formy, Piotrusiu — rzucił kapitan parując kolejne cięcie. — Trzy dni! Proszę, proszę. Zdradź swój sekret staremu Hakowi. Dieta? Ćwiczenia? A może kobieta? Odpowiednia kobieta może zdziałać cuda z mężczyzną, przywrócić mu młodość w kilka chwil.

Nagle obrus frunął w powietrze, a kiedy opadł, Piotra już nie było.

Hak rozejrzał się zdumiony i wszedł do piwiarni. Gapie stłoczyli się przy oknach i drzwiach zaglądając do środka. Piotr opierał się o bar i spokojnie sączył kufel piwa. Hak zawahał się i dołączył do niego. Na moment jakby stracił animusz. „Być może pospieszyłem się nieco z tym ostatnim wyzwaniem” — pomyślał.

Zacisnął usta. Wcale nie bał się Piotrusia Pana. Nie, nie on, Jakub Hak, człowiek, który był bosmanem Czarnobrodego. Ale nie mógł się nadziwić. Choćby nie wiadomo jak przemyślnie układał swój plan, Piotruś zawsze mu się wymy-

kał. Jak można mieć takie szczęście? To niesamowite. Tyle razy chwycił go, a on zawsze znajdował jakiś sposób, żeby się wywinąć. To było doprawdy męczące.

Hak westchnął. A gdzie jego wierna piracka załoga? Na krew Billy'ego Bone-sa, nie mógł liczyć na nikogo! Wszyscy rozpierzchli się. Jak szczury z tonącego okrętu. Nawet Śmierdziuch go opuścił. Próbował pocieszać się tym, że w końcu ma swoją z dawna wyczekiwaną wojnę. I starał się nie zauważać, że ją przegrywa.

Zamachnął się na Piotra, ale ten odskoczył. Znow rozpoczęli walkę zadając i parując kolejne ciosy i co chwila przerywając, żeby się napić. Kiedy w końcu opróżnili kufle, postawili je na barze i wyszli na ulicę.

Tu znow rozpoczęli walkę posuwając się wzdłuż głównej ulicy. Kiedy dotarli do cyrulika, Piotr frunął w górę i zawisł w powietrzu nad kapitanem.

Hak łypnął okiem na swojego odwiecznego wroga ciężko dysząc.

— Przybyłeś do Nibylandii o jeden raz za dużo, Piotrusiu.

Piotr zaśmiał się.

— Gdzie ja to już słyszałem?

Hak tupnął wściekle.

— Przestań podfruwać! Złaż na dół, żebym mógł cię dosięgnąć!

Piotr wylądował i przykucnął z wyciągniętym mieczem. Hak raz jeszcze rzucił się do ataku. Walczyli klinga w klingę sycząc i stękając zawzięcie.

Kiedy znaleźli się przy kuźni, Piotr zaczął przerzucać miecz z jednej ręki do drugiej jednocześnie odpierając uderzenia Haka.

— Niech cię diabli wezmą! — rzucił wściekle kapitan.

I nagle Hak przecisnął się przez gardę Piotra i naparł na niego całym ciałem. Był zbyt blisko, by móc zadać cios, ale zaczął przyciskać głowę Piotra do wirującego szlifierskiego kamienia.

— Taki jesteś pewny siebie, co? — zadrwił kapitan.

Jego hak dotknął kamienia i posypały się iskry.

— Ale wiesz o tym, że nie jesteś Piotrusiem Panem. Wiesz o tym, prawda? Jesteś Piotr Banning! Tak, Piotr Banning, pamiętasz?

W oczach Piotra pojawiło się zwątpienie.

— Jesteś Piotr Banning — mówił szybko Hak. — A to wszystko, panie Banning, to tylko sen. To nie jest prawdziwe. Inaczej być nie może, prawda? Cóż ci podpowiada racjonalne myślenie? Bo przecież jesteś racjonalistą, czyż nie? To musi być sen!

Twarz Piotra dzieliły od wirującego kamienia już tylko centymetry.

— Kiedy się obudzisz — ciągnął szyderczo Hak — będziesz znow starym, grubym Banningiem, wyrachowanym, samolubnym człowiekiem, który przy każdej okazji opuszcza swoją żonę i dzieci, który opętany jest swoją karierą i pieniędzmi! Okłamujesz wszystkich, prawda? A zwłaszcza siebie. A teraz udajesz, że jesteś Piotrusiem Panem? Wstyd!

Piotr czuł, że opuszczają go siły. Uleciały jego wszystkie szczęśliwe myśli, kiedy Hak przypomniał mu, kim jest naprawdę. Czy rzeczywiście stał się teraz kimś innym? Czy nie była to tylko zabawa w Piotrusia Pana?

— Jesteś niedojdą! — rzucił Hak.

Miecz wypadł Piotrowi z rąk. U wejścia do warsztatu stali Zagubieni Chłopcy i spoglądali po sobie bezradnie. Nagle Jack podbiegł w ich stronę.

— Wierzę w ciebie, tatusiu — zawołał. — Ty jesteś Piotrusiem Panem.

— Ja też w ciebie wierzę, tato — powtórzyła Maggie.

I nagle wszyscy Zagubieni Chłopcy zaczęli wykrzykiwać to samo, a na ich twarzach widać było niezachwianą pewność. As, Klamka, Kieszonka, Baryłka, Zamały, Nieśpik, Niepytaj i wszyscy inni powtarzali to raz za razem.

— Wierzę w ciebie! Jesteś Piotrusiem Panem!

Piotr odzyskał nagle siły, poderwał się i odepchnął Haka, który potoczył się na podłogę. Kapitanowi wypadła z ręki broń, a na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie. Kiedy próbował sięgnąć po szpadę, Piotr chwycił swój miecz i powstrzymał go.

Hak pobladł i znieruchomiał.

Piotr zawahał się, po czym przekreślił szpadę i podsunął ją Hakowi rękojeścią.

— Niech diabli wezmą twoje wiecznie dobre maniere! — wrzasnął Hak.

Natarł bez słowa, stękając przy każdym cięciu.

— Piotrusiu Panie — zawołał z rozpaczą. — Kimżeś jest?

— Jestem młodością! Jestem radością! — wykrzyknął Piotr i zapał przeraźliwie.

Chwilę później znaleźli się na Placu Piratów. Klingi skrzyżowały się raz jeszcze i nagle Piotr frunął w górę i wylądował na krokodylu. Jack, Maggie i Zagubieni Chłopcy otoczyli kołem walczących. Hak obrócił się dookoła przyglądając się ich twarzom.

I nagle rozległo się tykanie. Tik-tak. Tik-tak. Hak wzdrygnął się. Jack, Maggie i chłopcy wyciągnęli zegarki różnych rodzajów i wielkości, które zaczęły tykać, dzwonić i piszczeć. Powstał taki hałas, że Hak skulił się przerażony.

Piotr stanął przed nim.

— Czyżby to był wielki kapitan Hak? — spojrzał na krokodylową wieżę. — Boi się starego, zdechłego krokodyla?

Nagle Piotr zaczął naśladować dziecięcy głos.

— Tik-tak, tik-tak, stracha ma kapitan Hak!

Zagubieni Chłopcy natychmiast podchwycili rymowaną.

— Tik-tak, tik-tak, stracha ma kapitan Hak!

Hak rzucił się wściekle na Piotra, ale ten z łatwością odparował cios i odskoczył.

— To nie chodzi wcale o krokodyla! — zawołał Piotr i zaraz zniżył głos. — Jakub Hak chyba boi się czasu, który upływa wraz z tykaniem...

Tego już było za wiele dla Haka, który natarł na Piotra wściekle rycząc.

Znów zgrzytnęły klingi. Hak zadał groźne pchnięcie, ale Piotr był szybszy. Sparował cios i zręcznym uderzeniem miecza wytrącił kapitanowi broń z ręki. W tej samej niemal chwili na Haka spadło drugie cięcie zrywając mu kapelusz i perukę, które frunęły w powietrze i spadły na głowę Zamałego. Bez broni i bez włosów, wyczerpany i załamany, Hak osunął się na kolana.

Ostrze miecza Piotrusia Pana spoczęło na jego gardle.

Hak spojrzał na swój kapelusz i perukę na głowie Zamałego.

— Piotrusiu, przynajmniej nie odbieraj mi godności — błagał. — Odciąłeś mi już rękę. Coś mi się należy od ciebie.

Piotr podszedł do Zamałego, zdjął mu kapelusz i perukę, kapelusz odrzucił, a perukę podał Hakowi, który wyrwał mu ją z ręki jak niesforny dzieciak.

Miecz Piotra znów oparł się na szyi kapitana.

— Zabiłeś Chulia. Porwałś moje dzieci. Zaslługujesz na śmierć, Jakubie Haku.

Hak przełknął ślinę i uniósł hardo głowę.

— To tnij, Piotrusiu Panie! Raz a dobrze!

Piotr spojrzał groźnie na swojego wroga. Wszyscy wokół wstrzymali oddech — Zagubieni Chłopcy i piraci. Hak zamknął oczy.

— Kończ!

Ale Piotr jakoś nie potrafił zmusić się do tego. Ani Piotruś Pan, ani Piotr Banning nie mogli dobijać bezbronno przeciwnika — nawet tak nikczemnego jak kapitan Hak.

Piotr poczuł na ramieniu rękę Maggie.

— Chodźmy do domu, tatusiu — szepnęła. — Dobrze? To tylko stary, zwariowany człowiek, który nie ma mamusi.

— Tak, chodźmy stąd, tatusiu — powiedział Jack, stojąc obok niej. — On już nie zrobi nam nic złego.

Hak otworzył oczy i rozplakał się.

— Dzięki ci, dziecino — wymamrotał z wdzięcznością.

Nałożył sobie perukę na głowę.

— Dobre maniery, Jack!

Piotr opuścił miecz i cofnął się mierzając Haka lodowatym wzrokiem.

— Dobrze, Haku, zabieraj swój okręt i zmykaj. Nie chcę cię więcej widzieć w Nibylandii. Przyrzekasz?

Hak, wyraźnie się ociągając, kiwnął głową potakująco. Piotr obrócił się, przypasał miecz i wziął za ręce swoje dzieci. Zagubieni Chłopcy zaczęli radośnie pokrzykiwać.

Nie zauważyli jednak złowróbnego błysku w oku kapitana. Coś szcęknęło w jego rękawie i w dłoni zalśnił nóż.

— Głupcy! — zawołał. — Nibylandia to ja!

Zerwał się i rzucił do ataku. Piotr zdołał tylko odsunąć na bok Jacka i Maggie. Hak przycisnął Piotra do krokodyla.

— Skłamałeś, Haku — rzucił Piotr przez zaciśnięte zęby, nie mogąc sięgnąć miecza. — Złamałeś przyrzeczenie.

W czerwonych oczach kapitana widać było szaleństwo.

— Odtąd po wsze czasy, kiedy dzieci będą czytać o tobie, na końcu będzie napisane: „Tak zginął Piotruś Pan!” I zamachnął się na niego hakiem.

Kiedy wydawało się, że to już naprawdę koniec, nie wiadomo skąd nadleciała wróżka Dzwoneczek i trąciła Haka w ramię; cios chybił i utkwił w brzuchu krokodyla. Ze środka zaczął wydobywać się obłok gazu i pyłu, oślepiając Haka. Kapitan usiłował wyszarpnąć hak, ale bez skutku. Krokodyl kiwał się i trząsł, a z jego szczęk wysunął się budzik i z głośnym łupnięciem upadł tuż obok Haka. Wieża zakołysała się i zaczęła pękać. Rozległ się jęk, jakby obudził się jakiś duch. Zagubieni Chłopcy cofnęli się, a piraci rozbiegli z dzikim krzykiem. Piotr odciągnął na bok Jacka i Maggie.

Hak szarpał się rozpaczliwie i cała wieża zakołysała się niebezpiecznie. Kapitan wrzasnął jak szaleniec. W końcu wyswobodził się, ale nadwątlona jego szmataniną konstrukcja zaczęła walić się na niego. Hak próbował uciec, ale stąpnął na leżący budzik i upadł. Leżał i patrzył przerażony, jak pada na niego krokodyl z rozwartymi szczękami.

Hak zdążył jeszcze jęknąć i zniknął w paszczy krokodyla.

* * *

Kiedy opadł kurz, wszyscy podeszli, by zajrzeć w paszczę krokodyla. Jeden po drugim zaglądali zaciekawieni. Ale kapitana Haka tam nie było.

— Gdzie on jest? — dopytywała się Maggie. Nikt jednak nie znał odpowiedzi.

Raz jeszcze rozległ się okrzyk: „Uczta zwycięstwa!” i wszyscy zaczęli marszerować wokół leżącego krokodyla wykrzykując: „Nie ma już Haka!” i „Hurra, Piotruś Zwycięzca!”

Na czele pochodu szedł Piotr, nie zdając sobie jeszcze sprawy, że jego czas w Nibylandii dobiega końca.

— A może utopimy kilka syren? — zaproponował Niepytaj. — To będzie świetna zabawa!

— Nie! — powiedział Klamka. — Narysujemy na ziemi koło i będą przez nie skakać lwy!

— Ja chcę upiec ciasto i zanieść je Nibypentakowi! — powiedział Nieśpik.

— Ale najpierw musimy przebrać się za piratów i splądrować okręt — oznajmił As.

Wszyscy zaczęli mówić, co należy teraz zrobić. Piotr też zgłaszał swoje propozycje, na moment znów będąc małym chłopcem.

Kiedy jednak spojrział na Jacka i Maggie, uświadomił sobie, że jego przygody już się skończyły i pora wracać do domu.

Podniósł ręce i wrzawa ucichła. Zagubieni Chłopcy spojrzeli na niego.

— Nie mogę tu zostać — powiedział. — Przybyłem tu po swoje dzieci i odzyskałem je. Teraz muszę wracać.

Radość znikła z ich twarzy.

— Muszę wracać do domu.

— Ale Piotrusiu, tu jest twój dom — upierał się Kieszonka.

— Tak, tu jest dom Piotrusia Pana — zgodził się Baryłka.

Piotr uśmiechnął się.

— Nie, już nie. Ja dorosłem. Kiedy wy będziecie dorośli, też nie będziecie mogli się cofnąć. Ale możecie zachować w sobie cząstkę waszego dzieciństwa; możecie zachować pamięć o nim. Nie uda się wam jednak przejść z powrotem całej drogi.

Odwrócił się podszedł do Jacka i Maggie.

— Dzwoneczku, posyp ich czarodziejskim pyłkiem — poprosił. — Mały cud na drogę — wziął dzieci za ręce. — Musicie tylko znaleźć w sobie jedną szczęśliwą myśl i polecicie tak jak ja.

Jack i Maggie zamknęli oczy, a wróżka zatoczyła nad nimi koło, rozsypując czarodziejski pyłek.

— Mamusia! — powiedziała Maggie i uśmiechnęła się.

Jack otworzył oczy i spojrział na Piotra.

— Mój tatuś, Piotruś Pan — szepnął.

Wszyscy troje wzbili się w powietrze lekko jak piórka unoszone wiatrem. Przodem leciała wróżka migocąc w promieniach słońca. Pod nimi stali Zagubieni Chłopcy spoglądając z przejęciem w górę. Kilku nieśmiało podniosło ręce machając im na pożegnanie.

Piotr spojrział na nich, zawahał się i zawołał wróżkę.

— Znasz drogę do domu, Dzwoneczku. Weź Jacka i Maggie i leć przodem. Ja was dogonię.

Patrzył, jak odlatują, a potem poszybował na ziemię do Zagubionych Chłopców.

— Nie zostawiaj nas, Piotrusiu — prosił Baryłka. — Zostań w Nibylandii.

— Mam żonę i dzieci, które mnie potrzebują — powiedział cicho. — Tam jest moje miejsce.

— Ale my też cię potrzebujemy — chlipnął Zamały.

Piotr podniósł go i uściskał.

— Zagubieni Chłopcy nie potrzebują nikogo — powiedział. — Macie siebie nawzajem i Nibylandię. To naprawdę bardzo wiele.

— Znowu o nas zapomnisz — powiedział As.

— Tym razem nie — obiecał. — Już nigdy więcej.

— Ale ty jesteś naszym wodzem — upierał się Baryłka.

— Już nie — powiedział i wręcz! mu miecz Piotrusia Pana.

Baryłka jęknął.

— Ty jesteś teraz Piotrusiem Panem — Piotr próbował się uśmiechnąć. —
Przynajmniej dopóki nie wrócę.

— A cy wrócisz? — zapytał cicho Kieszonka.

Piotr spojrział na jego smutną buzię i przytaknął.

— Pewnego dnia — szepnął.

Klamka, Niepytaj, Nieśpik, As, Baryłka, Kieszonka, Zamały i wszyscy inni stali wokół niego, a on podchodził do nich, ścisnął im ręce i obejmował ich. Tylko tyle mógł dla nich zrobić na pożegnanie.

— Dziękuję wam — powiedział — Pomogliście mi uratować moje dzieci z rąk Haka. Pomogliście mi stać się znów Piotrusiem Panem. Nigdy tego nie zapomnę.

Uniósł się w górę i pofrunął ku bezchmurnemu błękitowi nieba. Po chwili zawrócił raz jeszcze i zatoczył koło nad Zagubionymi Chłopcami. Baryłka podniósł miecz i zasalutował nim. As zadał w róg. Niepytaj, Nieśpik i Klamka zaczęły machać rękami. Zamały płakał.

— To była piękna zabawa, Piotrusiu! — zawołał.

Piotr w odpowiedzi zapał donośnie i przeciągle, a potem odwrócił się i odleciał ku zachodzącemu słońcu.

Baryłka objął Kieszonkę i uściśnął. Obaj mieli łzy w oczach.

— Już za nim tęsknię — szepnął Kieszonka.

Przy wyjściu z zatoki na wprost dymiącego „Wesołego Rogera” Śmierdziuch siedział w łódce i wpatrywał się w niebo. Na chwilę odłożył wiosła i przyglądał się, jak Piotruś Pan ulatuje w niebo i znika w oddali.

— Polecą chyba do samego księżycyca — powiedział i pociągnął nosem. — Biedny kapitan Hak, zawsze nie cierpiał szczęśliwych zakończeń.

Bosman usadowił się wygodniej i popatrzył na stos skarbów piętrzący się w łódce. U jego stóp siedziały trzy syreny, uśmiechając się do niego i bawiąc złotymi bransoletami. Jedna z nich połaskotała go w brodę ogonem i bosman się zaczerwienił.

— No dobrze — westchnął i znów zaczął wiosłować.

Jedna z syren odnalazła wśród jego łupów harmonię i zaczęła grać. A Śmierdziuch zaśpiewał: „Jo ho! Jo ho! Życie pirata to jest to!”

Ogromnie wielka przygoda

I tak oto dotarliśmy do ostatniego rozdziału naszej opowieści, w którym będziemy wszystko porządkować — mniej więcej tak jak matki, które układają myśli swoich dzieci, kiedy one śpią. Zazwyczaj jest to rozdział, w którym nic szczególnego się nie dzieje, bo wszystko, co niezwykle, wydarzyło się już wcześniej, ale za to jest okazja do refleksji. Jest to także pora, aby bohaterowie wrócili do domu i znów radowali się zwykłymi przyjemnościami, jak to bywa po skończonej podróży. Niektórzy czytelnicy chcieliby może do razu przeskoczyć do nowej bajki, ale ci, którzy zrozumieli, co to znaczy być Piotrusiem Panem, będą zapewne chcieli zostać z nami jeszcze trochę, aby wraz z rodziną Banningów ogrzać się przez chwilę w zasłużonym cieple ich domowego ogniska.

Piotr, Jack i Maggie lecieli przez całą noc pośród gwiazd wskazujących im drogę, a przed nimi pulsowało jak latarnia morska światelko Dzwoneczka. Piotrowi przychodziła czasem ochota, by zboczyć z drogi, okręcić się wokół gwiazdy i zdmuchnąć ją — stare, dobre czasy — ale wymagałoby to czasu, a on nie chciał już się spóźniać. Opowiadał po drodze swoim dzieciom o zdarzeniach, które znikły z jego życia na wiele lat, zagubione w dorosłym człowieku, nie mającym dotąd czasu na takie błahostki. Często obejmował je i całował, jak gdyby bał się, że nie będzie miał po temu okazji i śmiali się razem z jakichś żartów i głupstw.

Po pewnym czasie zaczęli jednak ziewać usypiani kołysanką wiatru, a wspomnienia i słowa rozbiegały się we wszystkie strony jak owieczki z bezpańskiego stada.

Przed świtem, kiedy większość gwiazd zbladła już na jaśniejącym niebie i księżyc schował się za horyzontem, dostrzegli Ogrody Kensingtonskie, strzeliste dachy i kominy z cegieł okryte śniegiem. Powieki Piotra zrobiły się tak ciężkie, że nie mógł już ich otworzyć.

Zapamiętał jeszcze, że puścił ręce Jacka i Maggie.

* * *

Mrok panujący w dzieciennym pokoju zaczął z wolna ustępować przed nadchodzącym porankiem. Porcelanowe lampki nocne paliły się nad dwoma pustymi

łózkami rzucając swoje nikłe światło w ciemność i oświetlając kontury żołnierzy stojących na warcie przy kominku, konika na biegunach, czekającego cierpliwie na swojego jeźdźca, domek dla lalek, gdzie Ken obsługiwał Barbie, a także na książki i zabawki, które użyczają głosu marzeniom bawiących się nimi dzieci.

Moira spała w bujanym fotelu na środku pokoju. Czasami poruszała się przebiegając palcami po sukience i wymawiając przez sen imiona swoich dzieci. Wyglądała bardzo samotnie.

Nagle wiatr otworzył okna i poruszył koronkowe firanki; postaci Piotrusia Pana zatańczyły jak żywe i do pokoju wpadło trochę liści. Wtem pojawił się Jack, który wpłynął przez otwarte okno i usiadł na podłodze jak piórko; po chwili wpadła zaspana Maggie. Spojrzeli na śpiącą Moirę.

— Kto to jest? — szepnął w końcu Jack, mrugając sennie oczami.

— To mama — odpowiedziała ziewając Maggie.

— Ach tak — Jack przyglądał się uważnie śpiącej kobiecie: rysom jej twarzy, rękom, kącikom ust.

— Wygląda jak anioł — westchnęła Maggie. — Nie budźmy jej.

Podeszli na palcach do swoich łóżek i po cichutku wsunęli się pod kołdry. Ale Moira, słysząc jakiś szmer, a może instynktownie czując ich obecność, obudziła się. Zamrugała oczami, strzepnęła liść, który odpadł na jej ramię i spojrzała na otwarte okno i firanki tańczące na wietrze. Wstała, zamknęła okno i przekreśliła klamkę.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła wybrzuszone kołdry. „To cienie padają na pościel” — pomyślała. Ale wyglądało to tak, jakby wróciły jej dzieci i przez chwilę nie ruszały się, by to złudzenie nie prysło za szybko.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Wendy; powoli i ostrożnie podpierając się laseczką podeszła do Moiry.

— Dziecinko — szepnęła. — Czy nie spałaś całą noc?

Moira uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Bardzo często śnią mi się właśnie tak, zawinięci w kołdry, i kiedy obudziłam się, pomyślałam, że naprawdę tu są. . .

Ale Wendy nie słuchała jej. Wpatrywała się w leżące na łózkach tłumoczki pościeli.

Nagle spod kołdry wyskoczył Jack.

— Mamusiu! — zawołał i głos uwiązł mu w gardle.

Za chwilę wychynęła także i Maggie.

— Mamusiu — powiedziała i w tym momencie Moira osunęła się na podłogę.

Dzieci wyskoczyły z łóżek i podbiegły do niej. Moira objęła Jacka i uścisnęła go z całych sił. Zaraz przytuliła do siebie też Maggie i szlochając całowała ich.

— Moje maleństwa, moje kochane maleństwa.

— Mamusiu — powiedział Jack, chcąc jej zaraz wszystko opowiedzieć. — Tam byli piraci i włożyli nas do sieci i. . .

— Ale tatuś nas uratował — wtrąciła Maggie. — I lecieliśmy! Babciu, my...
Moirą chciała już coś powiedzieć, ale Wendy objęła Maggie serdecznie i roześmiała się.

— Piraci? I lataliście? To wspaniale, moje dzieci. Cudownie, to mi przypomina dni, kiedy fruwałam razem z Piotrusiem — powiedziała i raz jeszcze uściśniła dzieci i zdumioną Moirę.

* * *

Piotr Banning leżał na przymie śniegu oddychając spokojnie i miarowo.

Dzyń-dzyń-dzyń — rozległo się gdzieś w pobliżu.

Obudził się i gwałtownie usiadł. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani co tutaj robi.

— Jack, Maggie, musimy lecieć... — zaczął mówić bez zastanowienia i nagle urwał.

Wziął głęboki oddech i rozejrzył się wokół. Był w zaśnieżonym parku. Trzydzieści metrów od niego płynęła rzeka, a nad nią unosiła się jak dym mgła wczesnego poranka. Nad jego głową wyrastały grube pnie drzew z nagimi gałęziami.

— Jak się czujemy w ten piękny poranek, Piotrusiu Panie? — zapytał znajomy głos. — Spsociliby się coś, nie?

Piotr odwrócił się zaskoczony i dostrzegł Śmierdziucha, który stał parę metrów od niego, trzymając się pod boki. Tyle, że to nie był Śmierdziuch, ale śmieciarz, który właśnie robił swój obchód po parku. I wcale nie mówił do Piotra, ale do jakiegoś posążka. To była figurka Piotrusia Pana postawiona w parku przy Serpentine River przez pisarza J. M. Barriego w 1912 roku — Piotruś Pan dmucha w swoje piszczałki gotów do następnej przygody. Wieczny chłopiec, który nie chciał być dorosły.

Piotr wstał i zbliżył się do posążka. Śmieciarz skończył zbierać porzrzucone papiery, co przypisał psotom Piotrusia Pana, i odszedł. Piotr zatrzymał się przed figurką.

Nagle powróciły wszystkie wspomnienia. Nibylandia. Hak. Jack i Maggie.

Na ramieniu posążka pojawiła się maleńka postać połyskując delikatnie skrzydełkami w świetle poranka.

Zamrugał oczami.

— Dzwoneczek?

Uśmiechnęła się.

— Powiedz to, Piotrusiu. Powiedz to, ale z przekonaniem.

On też się uśmiechnął.

— Wierzę we wróżki.

Wróżka zajaśniała ostrym blaskiem.

— Czy znasz to miejsce między snem a jawą? Tę chwilę, kiedy jeszcze śniesz i już pamiętasz? Tam zawsze będę cię kochać, Piotrusiu Panie. I tam czekam na ciebie, aż wrócisz.

Nagle promień słońca padł na posązek i wróżka znikła.

Piotr zmrużył oczy i podszedł bliżej. Ale Dzwoneczka już nie było i on też zaczął z wolna o niej zapominać. Śmieciarz podniósł dwie puste butelki rzucone przez kogoś bezmyślnie poprzedniej nocy.

Dzyń-dzyń-dzyń — zabrzęczały butelki.

— Dzwoneczek? — powiedział po raz ostatni Piotr i wspomnienie o niej znikło w jakimś zakamarku jego pamięci, bezpiecznie zamknięte do czasu, kiedy go będzie znów potrzebował.

Nagle ogarnęło go wzruszenie. Jest przecież w domu!

— Jack? Maggie? — zawołał z niepokojem.

Rozejrzył się wokół. Byli przecież razem z nim, kiedy wracał z... Wzdrygnął się. Nieważne. Ale byli na pewno bezpieczni i to jest najważniejsze.

— Moiro! Wróciłem! — krzyknął.

Podbiegł alejką przez park wesoło pokrzykując na powitanie napotykanym po drodze ludzi.

W parę chwil był już na tyłach domu Darlingów. Ponieważ nie chciało mu się iść naokoło do wejścia, wskoczył na murek tarasu i przebiegł po nim zwinnie niczym linoskoczek i dotarł do frontowych drzwi.

Były zamknięte. Sięgnął do mosiężnej kołatki, ale nagle cofnął rękę. Nie, nie dzisiaj.

Znów pobiegł na tył domu, przeskakując jeszcze jedno ogrodzenie i nucąc coś wesoło pod nosem. Był już niemal pod oknem pokoju dziecinnego, kiedy usłyszał dźwięk telefonu. Rozejrzył się wokół i w końcu stwierdził, że dzwonicie dobiega spod jego stóp. Ukląkł, odgarnął śnieg, świeżą ziemię i wyjął swój przenośny telefon. Pozwolił mu jeszcze raz zadzwonić i włączył go.

— Halo, tu mówi Piotr Banning — powiedział. — Nie ma mnie teraz — wyszedłem specjalnie, żeby uniknąć tego telefonu. Dopóki nie wrócę, proszę zachować wszystkie swoje niecierpiące zwłoki wiadomości dla siebie. Życzę szczęśliwych myśli!

Włożył telefon z powrotem do dziury i zagrzebał go.

Zaczął wspinać się po rynnie i robił to z niezwykłym zapałem. Jeszcze przed czterema dniami, przed życiem pełnym przygód w Nibylandii, nawet nie przyszłoby mu to do głowy, ale teraz wszystko wyglądało inaczej, choć nie był całkiem pewien, jak to się stało.

Dotarł do okien dziecinnego pokoju i próbował je otworzyć. Zamknięte. Spróbował jeszcze raz, ale nic z tego. Przyłożył twarz do szyby i zajrzał do środka.

W pokoju Wendy ścisnęła Moirę, Jacka i Maggie. Ten widok wywołał w nim jakieś niewyraźne wspomnienia, coś, co zdarzyło się bardzo dawno temu. Nie

mógł się do nich dostać! Raz jeszcze był zamknięty na zewnątrz! Wisiał na poręczy balkonu, przerażony, że znów się spóźnił. . .

Zaczął stukać w szybę, chcąc za wszelką cenę znaleźć się w środku.

— Jestem już w domu! — zawołał. — Wróciłem! Proszę, wpuście mnie!

Usłyszeli go oczywiście i Jack podskoczył do okna. Na jego twarzy widać było figlarny błysk (czy tak samo podejrzliwy jak u Piotrusia Pana?), ale w oczach zalśniły mu łzy.

— Przepraszam — powiedział. — Czy był pan umówiony?

Piotr się uśmiechnął.

— Tak. Z tobą i z resztą rodziny, mój mały piracie.

Jack przekreślił klamkę i otworzył szeroko okno. Piotr wszedł do środka i spojrzął mu w oczy. Przyglądali się sobie przez chwilę w milczeniu. Piotr szepnął:

— Co ci mówiłem o tym oknie? — chwycił Jacka i uściskał go. — Nigdy go nie zamykaj! Ma być zawsze otwarte!

Zakręcił Jacka w koło i obaj się roześmiali.

Maggie podskoczyła na łóżku.

— Ja też chcę polecieć, Tatusiu. Ja też!

Piotr chwycił ją i zakręcił dookoła.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, księżniczko!

Potem podniósł zaskoczoną Moirę i ją także zakręcił w koło, a na jego twarzy malowało się szczęście. Moira przywarła do niego piszcząc i kiedy w końcu postawił ją z powrotem na podłodze, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

— Piotrze, och, Piotrze — jęknęła z ulgą. — Gdzie ty się podziewałeś?

Ale on nagle dostrzegł Piszczątkę, który spozierał zza drzwi pokoju, i podszedł do niego. Piszczątkę uśmiechnął się nieśmiało i zaczął się cofać.

— Nie — zaprotestował Piotr i obejmując go wprowadził do pokoju.

— Witaj, Piotrusiu — powiedział niepewnie. — Znowu przegapiłem przygodę, prawda?

Piotr potrząsnął głową i uśmiechnął się. Wtem przypomniał sobie coś. Sięgnął do koszuli i wyciągnął woreczek, który dostał od Baryłki. Rozwiązał sznurki i wysypał jego zawartość na drżące dłonie Piszczątki.

— To chyba twoje — szepnął.

Staruszek zdumiony otworzył szeroko oczy. Po policzkach zaczęły mu płynąć łzy.

— Spójrz, Wendy. Czy widzisz? Znowu je mam. Nie straciłem swoich kulek.

Wendy podeszła do niego i obejmując pogładziła po włosach. Piszczątkę wziął kulki i podszedł do okna, aby obejrzeć je przy świetle; mruzczał coś pod nosem o utraconych wspomnieniach, pieszcząc w dłoniach swoje utracone szczęśliwe myśli. Chwilę później, ku zdziwieniu wszystkich, zaczął unosić się w powietrze. Na dnie woreczka znalazł odrobinę czarodziejskiego pyłku i posypał się nim.

Unoszony przez swoje szczęśliwe myśli wyfrunął przez otwarte okno wołając: „Żegnajcie! Żegnajcie!” i znikł im z oczu.

Wendy podeszła do Piotra i wzięła go za rękę.

— Witaj, chłopcze.

Piotr wzruszył się.

— Witaj, Wendy.

— Dlaczego płaczesz, chłopcze?

Uśmiechnął się.

— Jestem szczęśliwy. . . , że jestem w domu.

Wendy objęła go i przypomniała sobie tamte czasy, kiedy odlatywała z Piotrusiem Panem do Nibylandii, aby wędrować po wyspie piratów, Indian i syren, aby mieszkać u podnóża Nibydrzewa i opowiadać bajki Zagubionym Chłopcom, spełniać marzenia dzieciństwa i młodości, aby nie mieć obowiązków i trosk, jakie niesie ze sobą dorosłość. Chciała tam wrócić natychmiast i gdyby tylko mogła, zrobiłaby to.

— Piotrusiu — szepnęła. — Co z twoimi przygodami? Czy nie będziesz tęsknił do nich?

Potrząsnął głową.

— Samo życie jest ogromnie wielką przygodą.

I kiedy to powiedział, ostatnia z nocnych gwiazd — jeśli to rzeczywiście była gwiazda — odleciała w mrok i zniknęła.